

Najnowszy bestseller nr 1  
mistrza thrillerów psychologicznych

# SEBASTIAN FITZEK



PREZENT

  
AMBER

**SEBASTIAN  
FITZEK**

**PREZENT**

Przekład  
**RAFAŁ SARNA**



Wydawca i redaktor prowadząca  
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta  
Małgorzata Denys  
Halina Lisińska

Zdjęcie na okładce  
© Svetlana Cherruty/Shutterstock

Tytuł oryginału  
Das Geschenk

Copyright © 2019 by Verlagsgruppe Droemer Knauer GmbH & Co. KG,  
Munich, Germany  
[www.sebastianfitzek.de](http://www.sebastianfitzek.de)

The book has been negotiated through AVA international GmbH,  
Germany  
([www.ava-international.de](http://www.ava-international.de)).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7142-2

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58  
tel. 691962519

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA

## Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Cytaty](#)

[1](#) / [2](#) / [3](#) / [4](#) / [5](#) / [6](#) / [7](#) / [8](#) / [9](#) / [10](#) / [11](#) / [12](#) / [13](#) /  
[14](#) / [15](#) / [16](#) / [17](#) / [18](#) / [19](#) / [20](#) / [21](#) / [22](#) / [23](#) / [24](#) /  
[25](#) / [26](#) / [27](#) / [28](#) / [29](#) / [30](#) / [31](#) / [32](#) / [33](#) / [34](#) / [35](#) /  
[36](#) / [37](#) / [38](#) / [39](#) / [40](#) / [41](#) / [42](#) / [43](#) / [44](#) / [45](#) / [46](#) /  
[47](#) / [48](#) / [49](#) / [50](#) / [51](#) / [52](#) / [53](#) / [54](#) / [55](#) / [56](#) / [57](#) /  
[58](#) / [59](#) / [60](#) / [61](#) / [62](#) / [63](#) / [64](#) / [65](#) / [66](#) / [67](#) / [68](#) /  
[69](#) / [70](#) / [71](#) / [72](#) / [73](#) / [74](#) / [75](#) /

[Tło i podziękowanie](#)

*Psychopatia (...) ma przypuszczalnie przyczyny genetyczne.*

*Pewne obszary mózgu, na przykład odpowiadające za współczucie i kontrolę odruchów, są u ludzi nią dotkniętych od urodzenia niedorozwinięte.*

Fanny Jiménez *Tak można rozpoznać psychopatę*, „Die Welt” z 14 sierpnia 2014

*Wszystko, co naprawdę złe, zaczyna się w niewinności.*

Ernest Hemingway

*Człowiek jest z natury zły.*

*Dobro czyni on nie ze swej skłonności,  
tylko z sympatii lub uczciwości.*

Immanuel Kant *Refleksje o antropologii*

*Psychopatia to zaburzenie osobowości.*

*Zakłada się, że jest nim dotkniętych jedna na sto osób.*

*Zaburzenie to dotyka cztery razy częściej mężczyzn niż kobiet.*

*Badania na bliźniakach pokazują, że czynnik dziedziczny odgrywa ważną rolę.*

Hildegard Kaulen *Przełącznik dla empatii*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z 16 marca 2018

*To, jak jutro będzie wyglądać świat, w znacznej mierze zależy od wyobraźni tych, których dziś uczymy czytać.*

Astrid Lindgren

# 1

## Dzisiaj

**B**ył nagi i rozrywany na dwie części.

Nie tylko tak mu się wydawało. To się działo naprawdę. Tu i teraz w starej pralni więziennej, na wyłożonej płytkami podłodze, obok przemysłowej suszarki.

Milan słyszał swoje nieludzkie rżenie. Gdyby nie knebel ze skarpetek, jego krzyk wypełniłby cały zakład karny. Nie, żeby zrobiło to jakąś różnicę. Grupa dobrze za to zapłaciła, żeby zostawiono ją tu z tym nowym na całą noc samą.

Było ich pięciu. Dwóch klęczało na jego ramionach, dwóch przytrzymywało jego nogi, a piąty, ciężko dyszący studwudziestokilowy wór z oddechem cuchnącym metką, wciskał mu właśnie do odbytu coś, co przypominało owiniętą drutem kolczastym maczugę. Choć być może była to tylko jego pięść, którą go gwałcił.

Nagle nacisk zelżał. Tak nagle, że Milana chwycił skurcz i aż zadrżał na całym ciele. Ból nie ustępował. Coś, co było bardziej gorące niż piec w saunie, płonęło w jego wnętrznościach, ale przynajmniej mógł teraz znów swobodnie poruszać rękami i przekreślić się na plecy.

Nowa, szósta twarz unosiła się nad nim. Starszy mężczyzna z wyrazistym przedziałkiem z boku i jasnoblękitnymi oczami za grubymi szklami okularów, którego nie było przy tym, jak Milana pobito pod prysznicem i przywleczono tutaj.

Przyglądał mu się wnikliwie z ciekawością dziecka, które przypała owada za pomocą lupy.



– A więc jesteś policjantem?

Milan skinął głową, podczas gdy mężczyzna wyjął mu knebel.

– Jestem „Zeus”. Znasz mnie, prawda?

Zeus, bóg więzienia. Milan ponownie skinął głową. Tylko ktoś w stanie śmierci mózgowej lub leżący w śpiączce nie wiedziałby, kim był człowiek, który nadużywał imienia greckiego boga i który tak naprawdę rządził tu, w Zakładzie Penitencjarnym Tegel.

– Posłuchaj dobrze. Ludzie tacy jak ty są u nas na samym dole łańcucha pokarmowego. Masz mniej praw niż kłaki w pępku „Gładkiego”. – Zeus uśmiechnął się do grubasa, który właśnie podciągał spodnie.

Milan najchętniej wcisnąłby się w kąt, by tam umrzeć. Jeśli to, co jeszcze przed chwilą tkwiło w nim, było penisem tego faceta, musiał on mieć wielkość sikawki strażackiej.

– Masz tylko jedną szansę, chyba że chcesz, aby Gładki pokazał ci, w czym tak naprawdę jest dobry. Wiesz, dlaczego nazywamy go Gładkim?

*Bo ma niepofałdowany mózg?*

– Bo lubi wszystko gładzić żelazkiem. Takim jak to.

Zeus polecił swojemu wytatuowanemu pomocnikowi podać sobie starodawne żelazko.

– Gładki nagrzej je teraz do dwustu stopni. Podczas gdy żelazko będzie osiągało temperaturę pracy, ty masz szansę opowiedzieć nam wszystko. Prawdę i samą prawdę, tak ci dopomóż Bóg. – Zeus uklęknął i sprawdził otwartą dłońią swój przedziałek, mówiąc przy tym: – Siedzisz w celi z „Kleszczem”. Mały jest w porządku, a ty masz szczęście. Zaręczył za ciebie. Mówi, że płaczesz przez sen. I że naprawdę możesz być yeti.

– Czym?

– Niewinnym. Tu w środku yeti można spotkać równie często co na zewnątrz.

Zbiry Zeusa zaśmiały się z dowcipu, który z pewnością słyszały już setki razy.

– Opowiedz mi swoją historię – zażądał ich przywódca kolejny raz.

– Co?

– Czy ja mówię po chińsku? – Zeus wymierzył Milanowi policzek. – Chcę wiedzieć, czemu tu jesteś, policjancie. Ale uwaga, bądź ostrożny. –



Starszy mężczyzna zdjął okulary i wskazał na swoje oczy. – Wiesz, co to jest?

Milan zignorował retoryczne pytanie, między innymi dlatego, że starał się nie zwymiotować, podczas gdy ból w nim wybuchł ponownie jak ogień.

– To moje dwa wykrywacze kłamstw. Jeśli coś stwierdzą, Gładki to zobaczy. Nie będę musiał nawet mrugnąć, a wsadzi ci rozpalone żelazko prosto aż do dwunastnicy. Zrozumieliśmy się?

Gładki skinął głową i wyszczerzył się.

Milan miał łzy w oczach. W ustach zebrała mu się flegma. Musiał dwa razy przełykać, zanim mu się udało.

Zanim udało mu się dostrzec ostatnią szansę w tym, że opowie wszystko Zeusowi – równie niewiarygodną, co straszną historię, która poprowadziła go przez środek piekła i przywiodła aż tutaj, do więzienia.

I aby zyskać na czasie oraz pozostać przynajmniej jeszcze przez godzinę przy życiu, zaczął od początku.

## 2

### Dwa lata wcześniej

**J**est pani sama?

– Tak.

– A co z personelem kuchennym?

– Wszyscy już poszli. Robię rozliczenie. Poza mną nikogo tu nie ma.

– Okej. Mimo to nie musi się pani bać – powiedział Milan.

– Nie muszę się bać? – Kobieta przy telefonie roześmiała się histerycznie.

– Czy wyście w tej policji całkiem zdurnieli? Dzwonicie do mnie, mówicie, że jakiś psychol, który wymknął się wam z rąk, za kilka sekund weźmie mnie jako zakładniczkę, a JA MAM SIĘ NIE BAĆ?

Młoda kelnerka, która przedstawiła się jako Andra Sturm, brzmiała tak, jakby mogła własnymi rękami oderwać kawałek drewna od restauracyjnego baru, aby stanąć na drodze potencjalnego napastnika. Milan jednak wiedział, że szorstki, energiczny głos w słuchawce nie zawsze tak dobrze pasował do sylwetki jak w jego przypadku. Być może Andra była drobnym aniołkiem, a jej głos brzmiał jak tarka jedynie na skutek śmiertelnego strachu, jakiego jej napędził. W każdym razie nie zapomniała języka w gębie, co zaimponowało Milanowi. Sprawiała wrażenie kobiety, którą w normalnych okolicznościach chętnie by bliżej poznał, nawet jeśli ta myśl w tym momencie była w najwyższym stopniu nieprofesjonalna.

– Słucha mnie pani?

– Nie, zatkałam uszy. *Oczywiście*, że wciąż pana słucham.

Milan spojrział przez przednią szybę samochodu na wejście do restauracji, wziął głęboki oddech i odezwał się tak spokojnie, jak tylko sytuacja na to

pozwalą:

– Po pierwsze sprawca nam nie uciekł. Obserwujemy go od dwóch godzin, a nawet namierzamy jego rozmowy przez komórkę. Dlatego wiemy, że na krótko przed moim telefonem zadzwonił do pani. Zgadza się?

– Tak – odpowiedziała Andra po chwili zwłoki. Pewnie skinęła głową, zanim uświadomiła sobie, że nie słychać tego przez telefon. – Chciał wiedzieć, czy o tej porze jest jeszcze ktoś w restauracji.

Cud, że kelnerka w ogóle podeszła do aparatu. Telefon na pięć minut przed zamknięciem mógł w zasadzie oznaczać tylko nieprzyjemności, zwłaszcza że lokal All-American-Diner nie był miejscem, gdzie się rezerwowało stoliki. Goście, którzy lubili burgery, frytki, nachos, steki T-bone, shaki i inne bomby kaloryczne, bez zapowiedzi przychodzili do małej restauracji przy ulicy odchodzącej od placu Roseneck.

– A po drugie – kontynuował wyliczanie Milan – ten mężczyzna nie weźmie pani jako zakładniczki. Chce tylko gotówki.

– Skąd pan to wie, panie mądraliński? – Andra się zaśmiała.

Milan musiał się uśmiechnąć. Andra mówiła z oburzeniem i pewnością siebie w głosie jak najprawdziwsza berlinianka, która zawsze wali prosto z mostu. I to zapewne nie tylko w tak wyjątkowej sytuacji jak ta. Oceniał, że ma dwadzieścia kilka, góra trzydzieści parę lat. Podobnie jak on.

– Sprawca ma już zakładniczkę – odpowiedział na pytanie.

– Proszę?

– Dziewczynkę. Uprowadził ją. Dziś przed południem nie powiodło się przekazanie okupu. Od tego momentu go obserwujemy.

Cisza.

Najwyraźniej Andra musiała przetrwać to, co usłyszała. Zapewne te informacje były dla niej znacznie trudniejsze do strawienia niż tłuste naleśniki, którymi restauracja tuczyła gości przychodzących na śniadanie.

Milan spróbował ze swojego miejsca na nowo uchwycić coś we wnętrzu lokalu, ale ze względu na ciągły śnieg z deszczem mało co można było dostrzec przez okna frontowe wychodzące na skąpo oświetlone ulice.

*Cholernie złe miejsce akcji.*

Wszystko wyglądało tak, jakby obserwował to przez drzwiczki pracującej pralki. Milan nie rozpoznałby ani jednego przedmiotu we wnętrzu, gdyby w

tysiącu innych amerykańskich restauracji tego świata nie widział już wcześniej ich stereotypowych rekwizytów: sztucznie postarzanego znaku drogowego Route 66, atrapy szafy grającej, flagi w gwiazdy i pasy, a także licznych plakatów z Elvisem i Wujem Samem wiszących na ścianach.

Milan mógłby się założyć o swoje niespłodzone jeszcze dzieci, że miejsca do siedzenia były wyściełane czerwonym skajem, a na laminowanej podłodze znajdował się wzór szachownicy.

– Dlaczego nie złapiecie tego drania od razu, gdy tu wpadnie?

– Bo nie wiemy, dokąd zaciągnął swoją ofiarę.

– Co? – spytała ponownie Andra, lecz tym razem w jej głosie słyhać było zdumienie.

– Gdy sprawca będzie w restauracji, pomajstrujemy przy samochodzie, którym ucieka, aby zaprowadził nas do zakładniczki, nawet jeśli stracimy go z oczu.

– Czy on jest niebezpieczny?

Milan chrząknął. Przejechał ręką po ciemnobrązowych, sterczących po krótkim śnie włosach, które od miesiący nie widziały fryzjera.

– Nie chcę kłamać. Tak, jest niebezpieczny. Ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, jest umięśniony... i uzbrojony.

– Mój Boże. – Andra przełknęła głośno ślinę.

– Proszę. Wiem, że dużo wymagam. Ale dopóki nie zacznie pani odgrywać bohaterki, nie ma niebezpieczeństwa. Niech pani da mu pieniądze z kasy i co tylko zechce. Może jest głodny i potrzebuje prowiantu. Zatroszczymy się o to, aby nic się pani nie stało.

– Niby jak? – Głos jej się załamał.

Milan usłyszał przez telefon kroki. Zapiszczały gumowe podeszwy. Może kelnerka szukała schronienia za barem. *Miejmy nadzieję*. Przy drzwiach, w strefie bezpośrednio zagrożonej, nie mógł dostrzec żadnego ruchu.

*Na szczęście.*

Zatrzeszczał jego radiotelefon. Sięgnął po niego, rzucił krótki rozkaz: „Czekać”, po czym z powrotem odłożył urządzenie.

– W tym momencie w wejście do restauracji są wycelowane trzy celowniki optyczne – próbował uspokoić Andrę. – Przy najmniejszej oznace jakiejś nieprawidłowości dam swoim ludziom sygnał, by wkroczyli do

akcji.

– Co pan rozumie pod pojęciem nieprawidłowości? Kulę w głowie? Mój mózg rozprysnięty na barze?

Milan zaczął teraz szeptać. Nie, żeby to było konieczne, ale ponieważ wiedział, że zdenerwowani ludzie słuchają wtedy znacznie uważniej.

– W każdej chwili sprawca może wejść frontowymi drzwiami. Niech pani zachowa spokój i robi to, czego on zażąda. I proszę się teraz nie wkurzyć, ale on nosi czarną maskę narciarską.

– Nie mówi pan poważnie!

– Niech pani odłoży teraz słuchawkę. Nie powinien pani widzieć przy telefonie. Sprawca jest skrajnie nieufny.

– Okej – odpowiedziała Andra, ale nie brzmiało to przekonująco. Co zrozumiałe, zupełnie jej się nie podobało, że ma przerwać połączenie z policją.

– Niech pani po prostu robi to, co on każe. Gdy sobie pójdzie, proszę poczekać na moich ludzi. Wszystko będzie dobrze – obiecał jej po raz ostatni.

Zatrzeszczało i połączenie zostało przerwane.

Zamknął oczy.

*Wszystko będzie dobrze?*

Milan miał jakieś dziwne uczucie.

Coś się nie uda.

*Przerwać akcję?*

Spojrzał na zegarek. Głęboko odetchnął. I postanowił zignorować wewnętrzny głos.

Wzdychając, Milan Berg sięgnął po maskę narciarską leżącą na siedzeniu obok i wciągnął ją na głowę, a potem wyszedł i ruszył w stronę amerykańskiej restauracji.

### 3

**S**ztuczka, dzięki której na ulicy nadano mu przezwisko „Policjant”, zadziałała już siedem razy.

Milan wybierał sobie lokale, gdzie było mało personelu, a możliwie dużo gotówki. Kawiarnie, bary, restauracje, raz nawet stację benzynową. Zawsze na krótko przed zamknięciem lub końcem zmiany. Najlepiej w bocznych uliczkach, z dala od tłumu.

Było zadziwiające, jak bardzo skłonni byli do współpracy ludzie, gdy słyszeli przez telefon zastraszająco niski głos, który nakazywał im, aby bez wahania przekazali napastnikowi dzienny dochód. Każdy trzeciorzędny serial kryminalny uczył widzów, że powinni prosić policjantów o pokazanie legitymacji. Najwidoczniej obowiązywało to tylko jednak w progu domu. Przez telefon wystarczało się przedstawić jako „nadkomisarz Stesow, jednostka specjalna policji” lub powiedzieć coś równie głupiego. Od czasu do czasu Milan włączał swój trzeszczący radiotelefon zabawkę i mówił coś do niego. Dla uzyskania pozorów autentyczności nic więcej nie było potrzebne.

O wiele trudniej było wyczekać na dogodny moment. Taki jak teraz, gdy sklepy były już zamknięte, świąteczne zakupy zrobione, a ulice opustoszałe, bo wszyscy siedzieli już w domach, szykując jedzenie i prezenty. W końcu była Wigilia i zbliżała się szesnasta.

Z trzech obiektów, które Milan wyszukał w internecie, tylko ta amerykańska restauracja w dzielnicy Schmargendorf była wciąż otwarta i – jak sobie wymarzył – obsadzona nadzwyczaj skromnym personelem.

Zakasłał, bo już po kilku krokach wilgotna maska narciarska przykleiła mu się nieprzyjemnie do skóry.

Tego dnia, przy tej pogodzie trudno było trafić nawet na jakichś posiadaczy psów, a jeśli już, to szli oni ze spuszczoneymi głowami, aby zimna breja nie leciała im prosto w twarz.

*Okej, do dzieła.*

Trzydzieści metrów dzielących go od skradzionego samochodu do wejścia z obowiązkowym neonem nad drzwiami miał już bez świadków za sobą.

*A więc.*

Wszedł do restauracji. Było w niej mroczno, a poza małymi lampkami na stołach z resopalu włączone było tylko oświetlenie awaryjne. W nos uderzyła go mieszanina frytury, burgerów i krwi.

*Krwi?*

Trzask przeleciał przez jego głowę dopiero po chwili zwłoki. Jak huk po przekroczeniu przez samolot prędkości dźwięku. Potem pojawił się ból, a on uświadomił sobie, że się nie mylił: w amerykańskiej restauracji rzeczywiście była podłoga w szachownicę. A na niej kłęczał on – niezdolny, by się na powrót wyprostować.

*Powiniem być posłuchać przeczucia.*

Kopnięcie w żołądek sprawiło, że się obrócił. Upadł na plecy i ujrzał unoszącą się nad nim maskownicę chłodnicy cadillaca, którą jakiś architekt wewnątrz zawiesił pod sufitem. Potem pochyliła się nad nim kobieta z lekko zakrzywionym nosem, o wiele ładniejszym niż jego gruby kinol, który właśnie napełniał się krwią.

*Andra, pomyślał Milan. Rzeczywiście wygląda jak kobieta, z którą bym się chętnie umówił.*

*– Wesołych świąt, łachudro – powiedziała.*

*Po czym złamała mu kijem bejsbolowym czaszkę.*



# 4

## Dwa lata później

**J**ak się państwo poznali? – spytała terapeutka. Prawdopodobnie pomyślała przy tym, że siedząca przed nią para z uśmiechem przypomni sobie romantyczny początek swego związku. Dobra podstawa dla skutecznej terapii par, na którą chwilę przedtem się oboje zgłosili. „Dziesięć spotkań po dziewięćdziesiąt minut. Dwieście euro za wizytę”. Okazja, o ile doktor Henriette Rosenfels naprawdę się uda postawić drogowskaz, który pomoże im wybrnąć z dżungli problemów, w jaką zmienił się ich związek. Lub chociaż da radę, jak przetrwać dzień, nie rozbijając sobie głowy.

*Przy czym tak właśnie się to zaczęło*, pomyślał Milan i to była także przyczyna, dla której uśmiechnęła się Andra.

– Przywalałam mu kijem bejsbolowym – odpowiedziała na pytanie doradczyni małżeńskiej, a Milan dodał:

– To była miłość od pierwszego uderzenia.

Podczas przywitania w wejściu do gabinetu mieszczącego się w starym budownictwie w dzielnicy Moabit Milan pomyślał, że doktor Rosenfels była stałą klientką producentów botoksu. Jak na pięćdziesięcioośmioletnią kobietę, siwowłosą i w okularach, miała nadzwyczaj gładką cerę (*jakby nałożyła na twarz nadmuchany balon*, to była jego pierwsza myśl), teraz jednak czoło terapeutki pokryło się zmarszczkami.

– Jak mam to rozumieć? – spytała, marszcząc czoło.

– Andra jest kelnerką. Przed dwoma laty w Wigilię napadłem na jej restaurację. Jej mądra główka jednak przejrzała moją sztuczkę.

„Niech pani odłoży teraz lepiej słuchawkę” – zacytowała go wówczas

szyderczo Andra, gdy Milan wrócił do przytomności. „Człowieku, mój były służył w policji. Był głupi jak stołowa noga, ale nawet on nie przerwałby połączenia z ofiarą w przypadku brania zakładników”.

Pełen niewiary wzrok terapeutki spoczął teraz na Andrze, która bez słowa potwierdziła wyznanie Milana, wydając z siebie westchnienie w stylu „smutne, ale prawdziwe”.

– Jak sądzę, mogę już teraz powiedzieć, że jesteście doprawdy niezwykłą parą. – Doktor Rosenfels się uśmiechnęła, a Milan przyznał jej rację. Nawet zewnętrznie nie pasowali do siebie. On, noszący się konserwatywnie i w sposób niezwracający uwagi, w stylu chłopaka z college’u, ubrany był w buty sportowe, dżinsy i koszulkę polo. Ona była trzy lata starsza od niego, a jej wygląd można było opisać jako styl jarmarczno-dziewczęcy: czarne buty motocyklowe, ufarbowane na stalowy kolor, sięgające ramion włosy, jaskrawokolorowe legginsy, plisowana spódniczka mini z motywem trupich główek, a do tego zielona bluza z kapturem, na której widniał napis: „Jezus cię kocha. Inni mają cię za dupka”.

Ta sama bluza, którą miała na sobie w dniu, gdy się poznali.

Przy czym „się poznali” to eufemistyczne określenie dla „na wpół martwy został zaciągnięty do pokoju na zapleczu”.

Zdaniem doktora Google’a Andra spowodowała u niego „złamanie sklepienia czaszki bez uszkodzenia mózgowia”, nawet jeśli czuł się potem raczej tak, jakby na powitanie rozplaszczyła mu mózg. Jeszcze całe miesiące później każdy bardziej energiczny ruch Milan opłacał łzami napływającymi do oczu, a nawet teraz budził się czasem z kulą do wyburzania za czołem, tylko dlatego że w koszmarze sennym zbyt energicznie poruszał głową.

Mimo wszystko przeżył jednak złamanie czaszki bez pomocy lekarskiej. Inaczej niż uszkodzenie głowy w dzieciństwie. Milan wychował się na Rugii. Jako czternastolatek musiał spędzić wiele tygodni w szpitalu po tym, jak w domu spadł ze schodów wiodących do piwnicy. Drugie złamanie czaszki w swoim życiu wyleczył za pomocą katalodonu oraz kompresów chłodzących. „Cud”, jak potwierdzały wyniki wyszukiwań na różnych forach medycznych. Jednak nie tak wielki cud jak jego związek z Andrą.

Gdy pół godziny po nieudanym napadzie Milan obudził się – leżąc na

sofie w biurze kierownika restauracji, z orkiestrą źle nastrojonych instrumentów w głowie – liczył się z tym, że Andra dokończy to, co zaczęła. Zaledwie tydzień wcześniej media donosiły o właścicielu kiosku w dzielnicy Prenzlauer Berg, który zatłukł na śmierć złodzieja sklepowego, będącego dla niego przedstawicielem wszystkich tych łobuzów, którzy przez lata wymykali mu się z rąk. Jednak ta niespodziewanie drobna kobieta o twarzy anioła nie pozwoliłaby teraz, aby spadł mu włos z głowy. Nie wezwała nawet policji. Zrobiła za to coś, czego Milan nigdy by się w życiu nie spodziewał: zaproponowała mu pracę.

„Co za marnotrawstwo. Taki miły facet jak ty z tak kreatywną inteligencją. Dlaczego zajmujesz się takim gównem, a nie normalną pracą?”

Nie było dnia, w którym wielokrotnie nie przypominał sobie jej pierwszych słów. A także odpowiedzi, której jej do dziś nie udzielił: „Bo jestem analfabetą. Nie umiem czytać ani pisać. Nigdy się nie nauczyłem, podobnie jak miliony innych ludzi w Niemczech”.

– Czasami myślę, że Milan cierpi na rozdwojenie osobowości – powiedziała Andra, która wciąż nie miała bladego pojęcia o tym, jak bardzo wstydził się tego, co różniło go od wszystkich jego bliźnich. – Mam na myśli to, że opowiadał mi o swoim ojcu, za opiekę nad którym czuje się bardzo odpowiedzialny. I o swoich długach. To chyba była przyczyna, dla której Milan próbował wszystkich środków, aby zyskać forszę.

– Dla której został kryminalistą – zwróciła się do niego doktor Rosenfels. Andra skinęła głową za Milana.

Właściwą przyczyną, dla której zaczął robić karierę drobnego oszusta, było to, że analfabetyzm nie był w Niemczech uważany za upośledzenie i z tego względu nie przysługiwały mu prawa do świadczeń opiekuńczych. Mimo to bardzo trudno było mu zarobić na własne utrzymanie. Miał dwie lewe ręce, więc czysto fizyczne prace nie wchodziły w grę. A z pracy umysłowej, do której jego wybitnie inteligentna głowa była wprost stworzona, społeczeństwo go wykluczyło.

W końcu Milan nie miał już ochoty kolejny raz ponosić porażki przy wypełnianiu wniosku o zasiłek dla bezrobotnych i spróbował wykorzystać swoje zdolności intelektualne w jedynym zawodzie, który nie wymagał egzaminów wstępnych, a mimo to oferował dochody wyższe od płacy

minimalnej: zawodzie przestępcy.

– Historia o jego zubożałym ojcu zbiegła się oczywiście z moim syndromem pomagacza – powiedziała Andra. – Poza tym było mi przykro, że tak brutalnie go potraktowałam. Byłam zdenerwowana i bałam się.

– I dlatego z litości przepała się ze mną.

– Dupek – zbesztła go Andra. – To było pół roku później. Wtedy się w tobie zakochałam.

*Wtedy.*

– Pracujecie razem? – spytała terapeutka.

– Tak, w tej samej amerykańskiej restauracji, w której próbowała mnie zabić.

– W której ty próbowałeś mnie obrabować.

Milan spojrzał na doktor Rosenfels.

– Dlaczego jednak przemilczała napad i nie wydała mnie nawet Hulkowi, jeśli nie z litości.

– Hulkowi?

– Szefowi firmy. W zasadzie ma na imię Harald, ale nazywamy go Hulkiem, bo najchętniej ubiera się na zielono.

– Ty go tak nazywasz, bo wydaje ci się zabawne, że określasz mającą pięćdziesiąt kilogramów osobę wagi muszej mianem Hulka – poprawiła go Andra, potrząsając głową. – Nie mogę cię rozszyfrować, Milan. To znaczy, jesteś geniuszem, nie znam nikogo innego, kto by potrafił zapamiętać zamówienie dwudziestu osób bez robienia notatek i nigdy niczego by nie zapomniał. Jesteś też niewiarygodnie uzdolniony artystycznie. Musiałaby pani zobaczyć jego rysunki, na których przedstawia naszych gości. On ma fotograficzną pamięć, szczerze. I przy tym wszystkim tylko kelneruje?

– Chwila, zgubiłam się – stwierdziła doktor Rosenfels. – Sądziłam że pani *chciała*, aby on pracował razem z panią w restauracji.

– Jasne, na pewien czas – odparła Andra – ale nie do emerytury. To znaczy, ja sama z wielkim trudem skończyłam szkołę główną<sup>1</sup>. Przed Milanem tymczasem świat stoi otworem, a on nie chce niczego zrealizować. Nie ma planów, nie ma celów. A skończył dopiero dwadzieścia osiem lat!

*I jest upośledzony literowo, pomyślał Milan.*

Nawet Louisa, trzynastoletnia córka Andry, lepiej radziła sobie w

realnym świecie, w którym analfabeci byli ludźmi czwartej kategorii: bez ukończonej szkoły, bez wykształcenia, bez prawa jazdy. Louisa już w pierwszej klasie umiała odczytywać szyldy uliczne, podczas gdy dla Milana weekendowe zakupy były prawdziwym horrorem.

„Kochanie, masz tu listę zakupów. Mógłbyś to załatwić?”

„Jasne, tylko jedno pytanie: Co znaczy Χοζα Χολα? Czy to ta brązowa, brzuchata butelka z białymi esami-floresami na czerwonym tle?”

W Niemczech żyło ponad sześć milionów funkcjonalnych analfabetów. Ludzi, którzy w szkole nauczyli się rozpoznawać tylko tyle zdań, by jakoś prześlizgnąć się przez życie.

W przypadku Milana było jeszcze gorzej. Oczywiście chodził do szkoły, nauczył się alfabetu, a nawet umiał rozpoznawać pojedyncze słowa i cyfry. Nigdy jednak nie napisał dyktanda ani wypracowania. Zawsze na krótko przedtem wszczywał jakąś rozróbę, udawał chorego lub ranił się w rękę, aby się tylko wymigać. Skutek był taki, że umiał odczytać godzinę na zegarku cyfrowym, wklepać rachunek w kasę i rozpoznać własne nazwisko. Nie potrafił jednak odszyfrować zdania z książki dla dzieci, jeśli mu się go wcześniej nie przeczytało na głos.

– A więc to brak ambicji was tu przywiódł? – spytała terapeutka, patrząc na zegarek.

Minęło dopiero dwadzieścia minut. Milanowi wydawały się one wiecznością.

– Nie. – Gdy Andra się denerwowała, nieświadomie dłubała przy swoim kolczyku w nosie. – Ukrywa coś przede mną. – Podniosła dłoń w obronnym geście. – I nie jest to inna kobieta. Nie byłby to dla mnie problem. Potrafię rozdzielić seks i miłość.

Wydawało się, że ta wypowiedź zaskoczyła doktor Rosenfels nie mniej niż Milana, który nigdy czegoś takiego od Andry nie słyszał.

– Nie gap się tak. Wy mężczyźni jesteście tak samo stworzeni do monogamii jak lotnisko BER<sup>2</sup> do latania. Teoretycznie jest to możliwe, praktycznie nic z tego nie będzie.

Terapeutka się zachnęła.

– To z pewnością nadzwyczaj interesujący temat, ale może moglibyśmy wrócić do przemilczania.

– Niczego nie ukrywam – skłamał Milan.

Raz prawie jej powiedział. Było to, gdy siedzieli w swoją rocznicę w restauracji 893 na ulicy Kanta i Andra go poprosiła, aby wybrał dla niej coś z egzotycznego menu. Tym razem nie chciał posłużyć się swoim standardowym kłamstwem o okularach. Od czasu do czasu nosił okropne, masywne okulary z płaskimi szklami, aby móc je potem „zapominać”, gdy przewidywał, że zostanie skonfrontowany ze słowem pisanim: „Sorry, ale z moimi kiepskimi oczami nie mogę niczego odcyfrować”.

Tego szczególnego wieczoru jednak nie chciał używać tej wymówki. Chciał jej wyznać prawdę.

Kiedy jeszcze Milan zbierał w sobie wszystkie siły, Andra zaczęła opowiadać o jakimś niesympatycznym macho, którego dzień wcześniej musiała obsługiwać, a który się do niej podwalał. „A przy tym okazał się kompletnym idiotą. Facet mnie zapytał, czy moje perfumy to Be Fau El Gari”.

„Co to ma być?”

„Też nie od razu pojęłam. Ale on miał na myśli Bulgari. Dureń jeden po prostu przeczytał poszczególne litery z nazwy”.

*A zatem kompletny idiota, pomyślał Milan i zaśmiał się z przymusem. Skończony dureń. I nawet taki dureń potrafi lepiej czytać niż ja.*

Tego dnia z niczym się nie ujawnił ani niczego nie zjadł, jeśli nie liczyć „tabletki pierwszej pomocy”. Penicylina, pięćset miligramów. Milan był silnym alergikiem i nie minęły dwie minuty od zażycia, jak ledwo mógł oddychać. Dlatego też zawsze nosił tę tabletkę w kieszeni spodni. Słyszał kiedyś o pewnej analfabecie, która podczas jakiegoś wesela została poproszona o odczytanie ślubnej sentencji biblijnej. Aby nie musieć się ujawnić przed zebraniem towarzystwem, kobieta poszła na chwilę do toalety, włożyła dłoń w drzwi i zatrasnęła je. On nie musiał łącać sobie wszystkich palców. Wstrząs anafilaktyczny, który mógł się wydarzyć każdego dnia, całkowicie wystarczał, aby Milan nie wpadł.

– Mentalnie prowadzi podwójne życie – powiedziała Andra, patrząc na terapeutkę. – Nie umiem tego wyjaśnić, ale w sytuacjach publicznych, gdy jesteśmy z przyjaciółmi lub w drodze, nastrój Milana może się zmienić z sekundy na sekundę. Staje się wówczas nerwowy, niepewny. Nagle, jak

grom z jasnego nieba. Gdy jedziemy metrem lub stoimy w kolejce do kina.

*Lub podczas terapii par.*

– Wtedy ucieka. Dosłownie. Zostawia mnie samą i próbuje sam rozwiązać problem, jakikolwiek by on nie był. Dłużej już tego nie zniosę. Kocham go, Bóg raczy wiedzieć czemu, ale gdy następnym razem wstanie i sobie pójdzie, odejdę.

Terapeutka skinęła wymownie głową, po czym spytała Milana:

– Co pan o tym sądzi?

*Że ona ma rację. Okłamuję ją. Rano, w południe, wieczorem.*

*Tak jak innych ludzi z mojego otoczenia. Nie mogę przestać. Bo każdy, komu kiedykolwiek zaufałem, wyśmiał mnie, wymówił mi pracę lub mnie opuścił.*

– Że widzi duchy – zaprzeczył Andrzej od niechcienia.

– A zatem. – Terapeutka spojrzała ponownie na zegarek, a potem wręczyła każdemu z nich kartkę białego papieru.

Milan wziął ją do ręki, czując narastającą w gardle kulę, choć pusta kartka była o wiele mniej groźna od zapisanej.

Gdy usłyszał kolejne zdanie terapeutki, kula urosła do wielkości piłki lekarskiej.

– Chciałabym, abyście wykorzystali następne dziesięć minut i spisali dla mnie to, co w waszym związku jest absolutnie nienegocjowalne.

*Spisali?*

Puls mu przyspieszył, a ciało oblało się potem.

– Jakie wartości są dla was ważne? Co robicie dla waszego partnera? I o czym żadną miarą nie chcecie z nim rozmawiać?

Milanowi zrobił się niedobrze. Chciałby zwymiotować. Albo – jeszcze lepiej – stracić przytomność. Prawie odruchowo jego ręka powędrowała do kieszeni spodni po tabletkę pierwszej pomocy.



## 5

**N**o to chyba skończone.

– Pewnie tak.

Milan wyszedł w gęstą listopadową mgłę, która już rankiem spowodowała wiele wypadków na obrzeżach Berlina, a teraz wkraczała do centrum miasta. Mróz robił sobie przerwę aż do nocy, a za to opary wzbijające się z kanału Landwehrkanal osiągnęły już wysokość mostu Gotsowsky’ego. Choć nie było widać dalej niż na dwadzieścia metrów, Milan widział to tak jasno jak rzadko kiedy w swoim życiu: to już koniec z Andrą. Kłamstwo życiowe, które ich do siebie zbliżyło, ostatecznie ich teraz rozdzieliło.

– Czy ja cię dobrze zrozumiałem? Po prostu wstałeś i tak sobie wyszedłeś z terapii par?

– Tak, tato.

Milan poprosił Kurta, aby nie odchodził od telefonu, podczas gdy on wetknął sobie słuchawki do uszu. Dzięki temu miał wolne ręce, aby zziębniętymi palcami chwycić swój rower, który przedtem niedbale oparł o poręcz mostu. W samochodzie Andry były właśnie wymieniane opony, więc Milan zaproponował, by pojechali na terapię par taksówką. Równie dobrze mógł jednak zaproponować użycie promu kosmicznego. Andra nienawidziła taksówek i wzbraniała się przed wsiadaniem do nich. Dlatego oboje wzięli rowery. Jej nowa kolarzówka była zabezpieczona wieloma kłódkami, a jego koza z targu staroci była tak rozklekotana, że żaden złodziej rowerów nie chciałby sobie pobrudzić nią rąk. Raczej wzięliby ją przez pomyłkę śmieciarze.

– Równie dobrze mogłeś wyznać Andrze swoją tajemnicę. Osiągnąłbyś

ten sam efekt.

– I to mówi mężczyzna, który zataił przed mamą, że tak naprawdę nienawidzi Rolling Stonesów.

Jego ojciec ciężko westchnął, a naznaczony przez kaszel palacza głos stał się teraz teatralny:

– To prawda, ale wierz mi, gorzko za to zapłaciłem. W domu, samochodzie, przez całe miesiące wciąż te same piosenki. Musiałem nawet bez słowa protestu znieść jeden koncert. Wycie Micka Jaggera na leśnej arenie prześladowuje mnie jeszcze dziś, po śmierci twojej cudownej matki, w koszmarach sennych – zażartował. – Jedyne, co ta kukielka o napompowanych ustach mi ułatwiła, to gdy Jutta, słuchając go, rozsunęła suwak i...

– Tato!

– ...i mogłem wygodnie zdjąć kurtkę. A co sobie pomyślałeś, chłopcze? Ty masz rzeczywiście chorą fantazję. – Huczny śmiech jego ojca rozbrzmiał w słuchawce, podobnie jak niegdyś odbijał się echem w korytarzach szpitalnych. Inni konserwatorzy złościли się zapewne z powodu zepsutych systemów zamykających, oberwanych przez nieuważnych pacjentów drzwi szafek i zatkanych toalet. Kurt „Kurtchen” Berg umiał we wszystkich usterkach, do których naprawy był wzywany, znaleźć ich komiczną stronę. Było tak dawniej, w klinice na Rugii, a także później, już po przeprowadzce do Berlina w Szpitalu Ortopedycznym Marzahn. Przy czym skłonność Kurta, aby żartować z każdego i ze wszystkiego, była dla mamy Milana niezwykle kłopotliwa. Do legendy przeszła uwaga Kurta na pogrzebie jego teścia. Ponieważ ten pracował przez długie lata jako pielęgniarz na oddziale kardiologicznym, zażyczył sobie urny w kształcie serca, co skłoniło Kurta do wyrażenia uwagi, że należy się tylko cieszyć, iż teść nie był zatrudniony na ginekologii.

Milan przejechał rowerem przez chodnik i zatrzymał się w wyznaczonej dla rowerzystów strefie przed światłami na rogu Franklin- i Helmholtzstraße.

– Potrzebowałeś dwunastu miesięcy, aby w końcu wyznać jej prawdę.

– W zasadzie to twoja mama mnie przyłapała, jak odruchowo wyłączyłam radio w kuchni, gdy zaczął się w nim wydzierać Jagger. Myślałem, że jest

wtedy na zakupach. Człowieku, ależ była wściekła, gdy jej wszystko wyjaśniałem. Dla niej to było tak, jakbym ją zdradził z najlepszą przyjaciółką.

– Taaa, ale gdybyś powiedział mamie prawdę na pierwszej randce...

– ...nigdy bym twojej mamy nie zdobył. Jutta w życiu nie umówiłaby się z fanem Beatlesów. Jednak w twoim przypadku nie chodzi o coś tak banalnego jak ulubione zespoły czy coś w tym stylu. Chodzi o ciebie, chłopcze. O twoje życie. O to, co cię stanowi i co cię obciąża. I o nic innego na świecie.

– No właśnie. I dlatego moje kłamstwo na dzień dobry jest jeszcze gorsze.

Jeśli normalny człowiek czuje się wystawiony do wiatru, gdy przez miesiące jest okłamywany w kwestii gustów muzycznych, jak musiałyby się poczuć Andra, skoro zataił przed nią coś tak podstawowego jak swój analfabetyzm. Zwłaszcza że w zasadzie była tak empatyczna, że nie musiał się spodziewać z jej strony żadnych szyderstw. Przegapił jednak właściwy moment, by się ujawnić, i z czasem wstyd, który towarzyszył mu przez całe życie i który jak tatuaż na trwałe stał się częścią jego charakteru, urósł do niebotycznych rozmiarów nawet przed Andrą.

Pomimo hałasu ulicznego usłyszał przez słuchawki swojej komórki, jak ojciec zapala papierosa.

– Nie wolno palić w pokojach.

– Wymądrzać się też. Stoję na balkonie i patrzę z góry w dekolt nowej opiekunki. Widok, który u Andry zasłoniłeś sobie na stałe. – Ojciec zaśmiał się z przymusem, bo sam rozpoznał, że dowcip nie odniósł spodziewanego skutku. – Przykro mi. Chciałem cię tylko rozweselić.

– Nie udało ci się. – Milan zaczął chuchać ciepłym oddechem w dłoń.

– W porządku. A może to ci się spodoba: Zastanawiam się, czy nie dać ogłoszenia towarzyskiego takiej treści: *Pilnie szukamy kogoś do trójkąta. Jesteśmy mężczyzną i szukamy dwóch kobiet.*

Strzałka w bok zapaliła się i samochód, który stał obok Milana, skręcił w lewo we Franklinstraße. Milan zamierzał jechać prosto, więc stał dalej, a zimny wiatr, który dziwnym trafem nie chciał przepędzić mgły, wyciskał mu łzy z oczu.

– Bardzo śmieszne, tato.

– Wiem. Posłuchaj, może wpadniesz do mnie i pogadamy trochę o ekstrablondynkach. U mnie w domu...

– ...alkohol jest tabu, a ja muszę jechać do pracy. Przykro mi.

– Właśnie to chciałem powiedzieć. A tak na marginesie, dziś rano ktoś się o ciebie dopytywał.

Milana zamrużył. Poczł ucisk w brzuchu.

– Kto?

Kolejne samochody skręcały w lewo, choć strzałka paliła się już na żółto.

– Nie mam pojęcia. Nie podał nazwiska, a ja go nie widziałem. Połączył się ze mną z recepcji. Głos wydawał mi się znajomy, stary piernik, jakiś dziwny...

– Czego chciał? – Ucisk w żołądku stał się bolesny.

– Numeru twojej komórki, kontaktu. Nie podałem mu go, ale...

W tym momencie światło na pasie dla skręcających zmieniło się na czerwone i kolejny samochód zatrzymał się obok Milana. Od tej chwili nie myślał już o kontynuowaniu rozmowy z ojcem. Także nieprzyjemne uczucie w żołądku zeszło na dalszy plan. Samochód obok pochłonał całą jego uwagę.

Sam nie wiedział, czy to przez przypadek spojrział w bok, czy też był to nieuchronny odruch. Duże, zielone volvo podjechało bardzo blisko, tak że stanęło dwoma kołami na jego pasie dla rowerów. Wzrok Milana natychmiast powędrował do wnętrza pojazdu. To, co zobaczył, na zawsze miało odmienić jego życie.

## 6

**W** pierwszej chwili pomyślał, że to jakieś małe dziecko bawi się na tylnym siedzeniu i dla żartów przyciska do szyby sklepową ulotkę.

Gdy jednak kartka na mgnienie oka oderwała się od szyby i Milan zobaczył głowę za nią, stało się dla niego jasne, że nie siedziało tam małe dziecko, tylko zapłakana dziewczynka.

*Co, do diabła...?*

Jej twarz była wykrzywiona strachem. Duże oczy były tak zapuchnięte jak u Milana, gdy cierpiał na katar sienny lub był niewyspany. *W kolorze khaki*, pomyślał, choć nie był pewien, czy to szczególne zabarwienie jej tęczywek nie wynikało z odcienia szyby, za którą dziewczynka płakała. Miała jasnobłond włosy związane w koński ogon. Różowa spinka z błyszczącymi kamykami trzymała kucyk z dala od czoła, które pokrywało stanowczo zbyt wiele zmarszczek jak na dziewczynkę w tak młodym wieku.

Miała co najwyżej trzynaście lat, ale w chwili gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, odniósł wrażenie, że jej oczy zobaczyły już wystarczająco dużo, by wystarczyło na całe życie. I było coś jeszcze, co w nich zobaczył.

Samego siebie.

W jakimś dokumencie telewizyjnym usłyszał kiedyś teorię psychologiczną, że ludzie zawsze odczuwają sympatię do tych, którzy w dzieciństwie doznawali podobnych zranień duchowych.

Tego typu poczucie przynależności, wspólne więzy utkane z psychicznych okropieństw, które poczuł na widok tej małej, niezwykle zmieszały Milana, bo nie mógł sobie przypomnieć żadnych ran duchowych, które by mu ktoś w młodych latach celowo zadał.

Wargi dziewczynki nie poruszały się. Było to nieme błaganie. To, co w

strachu chciała wykrzyczeć światu, najwyraźniej napisała na kartce w linie, którą przyciskała do szyby. Złożonej na pół kartce formatu A4, wyrwanej w pośpiechu ze szkolnego brulionu.

*Wołanie o pomoc?*

Milanowi łzy napłynęły do oczu.

– Jestem analfabetą – wyszeptał do dziewczynki słowa, które był winien Andrzej. Mógłby te słowa wypowiedzieć głośno, nawet wykrzyczeć, gdyby tylko istniała szansa, że w tym hałasie ulicznym i przy zamkniętych oknach dziewczynka by go usłyszała. Bo z powodu jakiegoś niewytłumaczalnego logicznie poczucia więzi zaufał jej.

Pękało mu serce. Ona potrzebowała pomocy, a on nie umiał jej pomóc. Rozumiał jej cierpienie, ale nie to, co chciała mu przekazać.

Πομοζ μι.

Το νε σα μοι ροδζιτσε.

W oczach Milana litery na kartce były tym, czym były zawsze, gdy patrzył na słowa: znakami nierozwiązywalnej zagadki, bezsensownymi hieroglifami.

Spojrzał do przodu, na kierowcę i pasażera obok niego. Coś, co powinien zrobić dużo wcześniej, bo teraz volvo ruszyło, zmieniło pas i pojechało Helmholtzstraße w stronę centrum.

*Ciemnowłosa mężczyzna za kierownicą, blondynka na siedzeniu obok.*

Zbyt późno przyszło Milanowi do głowy, aby zapamiętać numer rejestracyjny, wkleić go do albumu, jaki tworzyła jego fotograficzna pamięć. Zamiast tego zajął się kwestią, czy się przypadkiem nie pomylił i czy nie zobaczył długowłosego mężczyzny na siedzeniu obok kierowcy. Zanim do niego dotarło, jak kiepski byłby z niego świadek, tylne światła samochodu zaczęły znikać we mgle.

*Kostka do gry na lusterku wstecznym.*

To jedyne, co utkwiło mu w głowie. Najwyraźniej znak, że kierowca był zapalonym graczem i bardzo lubił się ścigać.

*Oraz porywać dzieci?*

Milan wsiadł na rower i nacisnął na pedały. Ujrzał, jak na następnym rogu kierowca wrzuca migacz. Potem auto skręciło w lewo i sekundę

później zamglone miasto połąkneło masywną zieloną limuzynę z zapłakaną dziewczynką na tylnym siedzeniu.



# 7

## Dziś, Tegel

**T**wój ojciec miał rację. Jesteś mięczakiem. Dlaczego od razu nie powiedziałeś prawdy tej zdzirze, Andrze?

Milan zwlekał z odpowiedzią, bo wciąż tkwił myślami w decydującym momencie swojej przeszłości. Chłód, który z wyłożonej płytkami podłogi w więziennej pralni przenikał aż do jego kości, wzmacniał tylko siłę wspomnienia tego mokrego i mroźnego zimowego południa, gdy stał na moście Gotzkowsky'ego. Wiele nie pomagało wilgotne prześcieradło, które rzucił mu Zeus w przypiływie wyrozumiałości. Ledwie zakrywało górną część ciała i już od dawna było czerwone.

– Nie ma pan pojęcia – mruknął.

*Dorosły, który nie umie czytać i pisać?*

Całe jego życie było określone przez jedno słowo: stres. Stres przy automatach biletowych, gdy ktoś z tyłu zaczynał niecierpliwie mlaskać, podczas gdy liczby i cyfry krążyły przed oczami w dzikim tańcu.

Stres w urzędzie, gdy prosiło się urzędnika o pozwolenie na wzięcie do domu formularza, aby móc go tam w spokoju wypełnić. Stres na widok księgarni i bibliotek, których się omijało jak dealer posterunek policji. Wprawdzie Milan słyszał o dotkniętych tym samym nieszczęściem, którym stygmatyzacja została oszczędzona, gdy wreszcie się odważyli ujawnić, ale on sam miał pecha i został potraktowany jak trędowaty, kiedy podczas rozmowy wstępnej, podczas której ubiegał się o jakąś odmóżdżającą pracę w fabryce, nie trafił nawet we właściwe drzwi.

*Zgłupiał pan całkiem, młody człowieku? Co z panem jest nie tak?*

Aby dalej się nie wystawiać na pośmiewisko, stał się mistrzem w oszukiwaniu. Już w szkole uczył się na pamięć lektur z niemieckiego na podstawie nagrań, aby nie wpaść podczas czytania na głos. W fabryce śrub miał w głowie ponad dziesięć tysięcy numerów magazynowych różnych produktów, których nauczył go ojciec na podstawie grubego jak książka telefoniczna katalogu. W amerykańskiej restauracji rysował gości siedzących przy stołach, aby zapamiętać ich zamówienia. Jakkolwiek by się jednak starał, jego życie tkwiło w ślepej uliczce. Od czasu przeprowadzki z Rugii do Berlina, gdy musiał pozostawić wszystkich swoich przyjaciół i z trudem nawiązywał kontakty w anonimowym wielkim mieście, żył w permanentnym strachu, że kiedyś zostanie zdemaskowany.

– Dlaczego nigdy się tego nie nauczyłeś? – chciał wiedzieć Zeus. Rozsiadł się w swoim krześle, które przynieśli mu jego ludzie, zanim zamknęli drzwi. Zapewne czekali za nimi na kolejne rozkazy, które wyda ich przywódca, gdy skończy przepytować nowego.

– A dlaczego nie jesteś śpiewakiem operowym? Nie wybrałem sobie moich talentów. – Głos Milana odbijał się dziwnym echem w pozbawionym okien, pomalowanym na biało pomieszczeniu, w którym śmierdziało proszkiem do prania i środkiem do szorowania.

*I rzygowinami.*

Już po pierwszych zdaniach zwymiotował i Zeus go zmusił do wytarcia szmatą świństwa, którym zabrudził podłogę, zanim mógł mówić dalej.

– I niczego nie możesz odcyfrować? Nawet tego, co jest napisane na moim T-shircie? – Zeus chwycił i odsunął nieco od swego chudego ciała niebieską koszulkę z białym napisem.

Milan pokręcił głową.

Odróżniało go to od większości funkcjonalnych analfabetów, którzy przynajmniej rozumieli znaczenie poszczególnych słów, a nawet zdań, nawet jeśli odszyfrowanie znaczenia wyrazów zajmowało im nieskończenie wiele czasu. On natomiast cierpiał na aleksję – całkowitą niemożność przeczytania czegokolwiek, choć jego zmysł wzroku funkcjonował bez zastrzeżeń.

– Ani jednego słowa?

– Nie.

Zeus westchnął i spojrzął na zegarek.

– No to się cieszę, że nie zaczęłaś swej opowieści od tego łzawego dramatu. Wróćmy jednak do tematu. Co z tym volvo?

Milan zamrugał. Wystarczyło napomknięcie o marce samochodu i wspomnienie cierpiącej dziewczynki z tajemniczą kartką natychmiast wróciło.

– Próbowałem sobie wmówić, że nic tam nie było. To znaczy, co ja takiego niby widziałem? Kartkę i płaczącą dziewczynkę. To mogło znaczyć wszystko i nic.

– W życiu rzadko chodzi o to, co widzą oczy – powiedział Zeus z dziwnie zamyślonym wyrazem twarzy.

Milan zadał sobie pytanie, czy jego rozmówca zdawał sobie sprawę z tego, że w ten sposób cytuje Małego Księcia i jego słowa, że dobrze się widzi tylko sercem. Tę książkę czytała mu na głos matka. I rzeczywiście tego dnia na moście to jego serce przejęło prowadzenie, a on – wiedziony intuicją – wskoczył na powrót na siodełko.

– Podjąłem pościg – powiedział Milan i poczuł się w tym momencie tak samo wykończony i przemarznięty jak wtedy. Dosłownie poczuł znów wiatr, który napierał na niego, gdy próbował pedałowac w ślad za samochodem. Sypiący śniegiem, lodowaty wiatr, którego porywy ciągnęły go za włosy i szarpały go za ubranie. Nie zwracając uwagi na sygnalizację świetlną i innych uczestników ruchu, przeciął ulicę i chodnik, po czym wjechał na teren Volkswagena. Miał nadzieję, że z wielkiego centrum sprzedaży i obsługi samochodów, które zajmowało cały kwartał ulic, był także wyjazd w kierunku Gutenbergstraße, w której zniknęło volvo. I rzeczywiście, skrót opłacił się.

Niedbale zaparkowanemu samochodowi firmy przeprowadzkowej Milan zawdzięczał swą drugą szansę. Limuzyna przecisnęła się z prędkością lodowca przez ucho igielne, które pozostawiła innym pojazdom ciężarówka, i obrała kurs w kierunku ulicy Salzufer. Stamtąd ruszyła w kierunku ulicy 17. Juni. Ciągłe zniknęła między autobusami i ciężarówkami, za światłami ulicznymi lub na rondach. I wciąż na nowo we mgle pojawiały się jej tylne światła, przy czym codzienny chaos uliczny panujący w dzielnicy rządowej Berlina okazał się Milanowi bardzo na rękę.

Pościg zakończył się w pobliżu dzielnicy ambasad, niedaleko od hotelu Interconti, w okolicy stanowiącej popularny cel wycieczek, pełnej domów i mieszkań, na które mógł sobie pozwolić rzadko który śmiertelnik.

Milan znowu skrócił sobie drogę, przez park Tiergarten, i dlatego na ostatnich metrach ponownie stracił volvo z oczu. Przemierzał teraz bez celu ulice otaczające kawiarnię nad jeziorem Neuer See. Chciał już zrezygnować i ruszyć w kierunku amerykańskiej restauracji, gdzie miał zacząć drugą zmianę, gdy na Rauchstraße prawie wpadł na tę rodzinę.

– Rodzinę? – spytał Zeus, któremu Milan przedstawił ogólny zarys swojego pościgu.

– Tak. – Milan ciężko westchnął. Zbyt dobrze przypominał sobie, jak głupio i bez sensu poczuł się na widok ojca, matki i córki. Całkowicie wykończony, ledwie dysząc, ukrył swój rower za przydrożnym drzewem i uznał sam sobie za skończonego durnia, gdy zobaczył, jak cała trójka wnosi do małej miejskiej willi zakupy z supermarketu.

Z powodu wilgotnej pogody Milanowi wydawało się, jakby oglądał całą tę scenę przez kamerę z nałożoną nasadką zmiękczającą.

Volvo zaparkowało na podjeździe do budynku z czerwonego klinkieru. Ze swoimi fantazyjnymi narożnikami i małą wieżyczką w zachodnim skrzydle dom wyglądał jak budowla z baśni braci Grimm. Ojciec, ciemnowłosa mężczyzna w typie przedstawiciela handlowego, w pomiętym garniturze i z poluzowanym krawatem, dźwigał skrzynkę z lemoniadą. Jego córka męczyła się z dużym kartonem, podczas gdy raczej drobna, jasnoblond żona, której widział tylko plecy, zniknęła już z torbą z zakupami w wejściu do domu.

„Nie zapomnieliśmy niczego?” – usłyszał wołanie ojca, na które dziewczynka, nie odwracając się, odparła nieco zdenerwowanym tonem: „Gdybyśmy kupili jeszcze coś więcej, musielibyśmy się nazywać KaDeWe”<sup>3</sup>.

– I co potem? – spytał niecierpliwie Zeus.

Milan wzruszył ramionami.

*Potem wszyscy zniknęli we wnętrzu domu.*

– Byłem pewien, że się zagalopowałem. Że goniłem za jakimś urojeniem, podczas gdy w rzeczywistości jakaś bezczelna dziewczynka spłatała mi

figła.

– I?

Milan spojrział na swoje dłonie. Cały czas związał palce w pięść i prostował je w nadziei, że w ten sposób utrzyma w nich krążenie krwi.

– Potem pojechałem na swoją zmianę do restauracji. I tak byłem już spóźniony.

Zeus przewrócił oczami i zdjął okulary, aby przetrzeć je skrajem koszulki.

– A ja sądzę, że znalazłeś bardzo dziwny sposób, aby wyblagać sobie żelazko w dupie. Gładki?!

Imię swojego pomocnika Zeus wykrzyczał w kierunku wyjścia i rzeczywiście drzwi się natychmiast otworzyły, a tłuszcioch wetknął swoją nabrzmiałą głowę do pralni.

– Stop. Niech pan zaczeka, proszę! – Milan podniósł dłoń w obronnym geście. – Muszę się cofnąć jeszcze trochę, aby pan wszystko zrozumiał. Proszę! – Instynktownie próbował odsunąć się od Zeusa, ale siedział już na podłodze oparty plecami o pralkę. Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdzie, jego noga nigdy już więcej tu nie postanie. Już raz musiał wytrzymać na wyłożonej płytkami podłodze najgorszy ból swego życia. Gdy miał jedenaście lat, wpadł na wspaniały pomysł, że w domu rodziców ukryje się w zsypie na brudną bieliznę, który łączył schowek na szczotki na pierwszym piętrze z pralnią w piwnicy. Utknął tam na dobre, a podczas rozpaczliwych prób uwolnienia się tak nieszczęśliwie się obrócił, że wywichnął sobie staw barkowy. Rodzice znaleźli go leżącego i ryczącego na płytkach. Nigdy mu się nie śniło, że może być coś jeszcze gorszego od bólu wywichniętego ramienia, dopóki nie złapali go i nie zaczęli obrabiać ci siepacze. – Przysięgam panu, że nie marnuję pańskiego czasu – wysapał.

Zeus spojrział ponownie na zegarek na ręce i ściągnął brwi. Jego wargi zacisnęły się.

– Mam taką nadzieję. Z uwagi na ciebie. – Skinął głową Gładkiemu, który bez słowa komentarza zniknął za drzwiami. – Zatem wrzuc bieg, *Policjancie*.

Na to szydercze wspomnienie swojego dawnego przezwiska Milan drgnął i nieświadomie dotknął głowy. Miejsca, w które Andra przyłożyła mu kijem

bejsbolowym.

– Nie chciałbym być arogancki, ale nikt od dawna nie nazywa mnie już Policjantem – wyszeptał.

To było lata temu. W innym życiu. Które było o wiele, wiele mniej bolesne.

Rozbawiony Zeus uniósł kącik ust.

– A to szkoda, bo twoja sztuczka z policjantem wydała mi się całkiem oryginalna. – W następnej sekundzie jego oczy zlodowaciały, a rysy twarzy stężały i przekształciły się w nieprzeniknioną maskę. Starszy mężczyzna pochylił się nad Milanem i wycedził: – Mogę cię też oczywiście nazywać *mordercą dziewczynek*. Chyba że twoja opowieść szybko mnie przekona, że jednak było inaczej. – Zeus spojrzał znów na zegarek. – Masz jeszcze pół godziny.

## 8

### Dwa tygodnie wcześniej

**M**ilan był wówczas niesprawiedliwy wobec amerykańskiej restauracji. Wcale nie była tak anonimowo i stereotypowo urządzona, jak mu się wydawało podczas próby napadu. Wtedy znał tylko zdjęcia z internetu, a te przedstawiały obowiązkowe rekwizyty tego typu lokalu. O tym, że wszystkie stoły, krzesła, szyldy, a nawet szafa grająca rzeczywiście pochodziły z lat sześćdziesiątych i że zarządzający tym interesem Hulk wykupił je z masy upadłościowej restauracji, która w Los Angeles ogłosiła plajtę, Milan dowiedział się dopiero później.

Dzięki oryginalnemu wystrojowi lokal był tak autentyczny, jak tylko mógł być amerykański fast food w tej raczej drobnomieszczańskiej dzielnicy leżącej w południowo-zachodniej części Berlina. Nawet solniczki pokryła patyna czasu, a Tony – ich kucharz – był byłym amerykańskim żołnierzem. Hulk najchętniej życzyłby sobie, by gości obsługiwali Amerykanie, przy czym on sam, dwudziestosześcioletek ubrany w kowbojki, był od tego jak najbardziej odległy. Urodzony w Eisenhüttenstadt jako Harald Lampert był najprawdziwszym Ossi<sup>4</sup>, w głębi swego serca dumnym z tego faktu, któremu w dzieciństwie udało się w jakiś sposób przeżyć drwiny z powodu swej mikrej, prawie nikczemnej postury. Obecnie najbardziej cierpiał z tego powodu, że rosyjski znał o wiele lepiej niż angielski. Przy czym w jego przypadku nie odgrywało to żadnej roli, w jakim języku się porozumiewał. Hulk był bowiem równie rozmowny jak nurek w pracy. Wzruszenie ramion mogło być jedynym jego wkładem w rozmowę przez cały wieczór. Natomiast Günther, asystent kierownika

restauracji, jak głośno jego wizytówka, był prawdziwym gadułą.

– Kiedy wreszcie jest dobrze? Kiedy robi to sens?

Milan spóźnił się zaledwie dziesięć minut, ale najbliższy współpracownik Lamperta czekał już na niego przed restauracją z miną kata na chwilę przed wykonaniem kary śmierci. Nawiasem mówiąc, wyraz twarzy Günthera był tylko odrobinę gorszy niż ten, który prezentował światu, gdy był w dobrym humorze.

– Ich + Ich – odpowiedział Milan, odstawiając swój rower. – *Tak powinno zostać*, Polydor dwa tysiące siedem.

Günther był ważącym 120 kilogramów kolosem z głową zawodnika grającego w football amerykański. Swoimi wielkimi jak patelnie łapskami mógłby objąć medalowe dynie i przebąkiwano, że nawet swój strój do biegania każe szyć u krawca, bo jego przedramiona nie mieszczą się w konfekcji fabrycznej.

Stało się to już ich rytuałem, że Günther konfrontował Milana z fragmentami tekstów niemieckich przebojów. Milan musiał odgadnąć tytuł i wykonawcę, a także wskazać na błędy gramatyczne, które denerwowały Günthera w danej piosence.

– Powinno to brzmieć „ma sens”. „Robi sens” to wyrażenie przejęte z angielszczyzny amerykańskiej i jest traktowane w języku mówionym jako błąd językowy.

– Hm – mruknął Günther, najwyraźniej kolejny raz zadowolony z pamięci Milana, regularnie zasilanej informacjami z Wikipedii, które odczytywały mu Siri, Cortana, Alice, Alexa lub inne elektroniczne asystentki głosowe.

Obłoki wydychanej przez nich pary zderzyły się, co przypomniało Milanowi o mgłę, w której podążał za samochodem z dziewczynką. Tu, w dzielnicy Schmargendorf, mgła już się rozstała, zrobiło się za to wyraźnie zimniej.

– Za późno – mruknął Günther, patrząc na zegarek.

– Die Ärzte – zażartował Milan, choć dobrze wiedział, że nie jest to następne pytanie kwizu. – Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, debiutancki album *Debil*, CBS Schallplatten GmbH.

– Dupek – powiedział Günther, uśmiechając się jednak, co było w jego



przypadku rzadkością. Przy swej posturze mógł być łatwo pomyłony z bramkarzem stojącym w wejściu do knajpy i z tego względu był często niedoceniany. Tymczasem zrobił doktorat z ekonomii i był nie tylko asystentem Hulka, lecz również menedżerem jego sieci spółek, w czym Milan orientował się tylko z grubsza. Podobno poza amerykańską restauracją Lampert prowadził jeszcze trzy inne knajpy, myjnię samochodową i mały hotel w Bawarii. Jednak dziewięćdziesiąt procent swego czasu spędzał tutaj, w położonym w suterenie biurze swej amerykańskiej restauracji. O ile tylko Günther nie obwoził go właśnie po okolicy, bo poza pełnieniem obowiązków księgowego i menedżera Hulka był też jego szoferem, prawą ręką, organizatorem podróży i doradcą do spraw bezpieczeństwa.

Milan do dziś dziękował swemu szczęściu, że podczas próby napadu nie trafił wtedy na Günthera. Ten miał bowiem dostęp do sejfu i szafy z bronią znajdujących się w piwnicy i zapewne nie zadowoliliby się kijem bejsbolowym.

– Jest Hulk? – spytał Milan, próbując się precyzyjnie przycisnąć obok Günthera.

Ten wyciągnął rękę i w ten sposób zagroził mu dalszą drogę.

– Dziś jest cmentarny piątek. Zapomniałeś już?

Od trzech lat kierownik restauracji kładł co piątek kwiaty na grobie swojej żony, którą stracił w wypadku samochodowym. Zwykle robił to w towarzystwie Günthera. Prawdopodobnie czekał on tu na swojego szefa, aby zawieźć go na cmentarz Zehlendorf przy Onkel-Tom-Straße. Grobowiec rodzinny Lampertów był niedaleko grobu Götza George'a<sup>5</sup>.

– A wiesz, jaka sprawiedliwa kara czeka tych, którzy nazywają szefa Hulkiem? – Günther otworzył drzwi do lokalu ruchem, który sprawił, że niemal wypadły one z zawiasów, i zrobił pełen udawanej galanterii gest w kierunku wnętrza restauracji, uśmiechając się przy tym diabolicznie, po czym sam sobie odpowiedział na pytanie: – To, co cię zaraz spotka w środku, Milan.

# 9

## Cztery godziny później

**H**alo, czy wszystko z panem w porządku?

Staruszek z pewnością nie poruszył się już od co najmniej pół godziny. Być może zasnął, ale w przypadku tak sędziwego człowieka, który z siwymi, zmierzwionymi włosami, nieco zapadnięty w siebie siedział w najdalszym kącie restauracji, nieodparcie nasuwało to niewesołe myśli.

Tymczasem zrobiło się już wpół do szóstej i restauracja była jak wymarła. „Martwa faza”, jak Hulk nazywał okres przejściowy pomiędzy napływem gości obiadowych a wieczornych. Günther nic nie przesadzał, gdy nazywał „karą” czekającą Milana pracę. Grupa świętująca wieczór kawalerski zagarnęła dwie trzecie restauracji i nie wzięła ani trochę pod uwagę tego, że cała obsługa składała się tylko z Milana. Każdego innego dnia przeklinałby takie obciążenie pracą. Dziś nawet mu to odpowiadało, bo odwracało jego myśli od zakończonej taką spektakularną porażką terapii par, która według wszelkiego prawdopodobieństwa miała oznaczać kres jego związku z Andrą.

Dopiero dwie godziny, trzydzieści siedem napojów gazowanych, dwadzieścia cztery hot dogi, jedenaście talerzy nachos, dziesięć sałatek i ponad dwadzieścia talerzy żeberek później znalazł chwilę, by nieco odetchnąć.

Hulk przyglądał się jeszcze przez kwadrans ruchowi i dopiero wtedy wyszedł na dwór, do Günthera, gdy był pewien, że Milan ma sytuację pod kontrolą. Jak zwykle bez pozdrowienia i jak zawsze z szyderczym uśmiechem na ustach, który pojawiał się, gdy widział, jak Milan

sporządzał rysunki gości wraz z symbolami ich zamówień. Kreska oznaczała hamburger, X symbolizował stek. Na szczęście w elektronicznej kasie trzeba było tylko naciskać symbole potraw, by potem zanieść wydrukowany rachunek do stołu. Milan nigdy nie liczył drobnych. Czekał, aż goście wstaną i opuszczą lokal, a potem sortował w kasie banknoty i monety według ich formy, koloru i wielkości.

Gdy było spokojniej, tak jak teraz, zadawał sobie więcej trudu i rysował gości tak szczegółowo, jak to tylko możliwe. Zwracał przy tym uwagę na znaki szczególne, jak znamiona, dołeczki, blizny po goleniu lub obgryzione paznokcie. Potem mógł nawet dodać parę unoszącą się nad filiżanką z kawą lub światło padające skośnie przez okno z latarni ulicznej na stolik numer 19 – najgorszy w restauracji, bo stojący tuż obok drzwi do toalety. A mimo to właśnie tutaj usiadł ten staruszek.

– Coś jeszcze panu przynieść?

Gość nie spojrzał na Milana, choć ten stał tuż przy nim. Jedynym, po czym Milan mógł rozpoznać, że mężczyzna wciąż jeszcze oddycha, była łyżeczka w pokrytej starczymi plamami dłoni. Powoli i bezgłośnie zataczała ona kręgi w filiżance z kawą, którą staruszek zamówił trzydzieści minut temu i z której nie upił jeszcze ani łyka.

Ten osobliwy, lekko irytujący widok utkwiał na zawsze w pamięci Milana. Wiedział, że będzie musiał to kiedyś narysować, po prostu po to, aby pozbyć się tego obrazu z głowy. Tak jak wykorzystał ostatnie dziesięć minut spokoju w restauracji, aby naszkicować scenę przy światłach ulicznych.

Dzięki swej umiejętności zapamiętywania wspomnień jak obrazów udało mu się odtworzyć zarówno oczy dziewczynki, jak i perłście lśniące łyki. Pamiętał każde zagięcie wyrwanej kartki, którą mała trzymała przyciśniętą do szyby, a także formę i kształt każdej, w pośpiechu napisanej litery. Potrafił je dokładnie odrysować, nie rozumiejąc zawartego w nich przesłania.

Πομὸζ μί.

Τὸ νίε σα μοι ποδζίτσε.

– Chce pan jeszcze świeżej kawy?

Wreszcie mężczyzna się poruszył i spojrzął na niego zmęczonymi, żółtawymi oczami. Miał na sobie brązowy, wytarty na łokciach wełniany płaszcz. Gdy go teraz zaczął rozpinać, Milan spodziewał się, że uderzy go w nos nieunikniony smród, który łączył się z życiem na ulicy. Zdziwił się więc, gdy nie uniosła się chmura potu, uryny, kału, zimnego tytoniu i alkoholu. Zamiast tego poczuł korzenny zapach drogich męskich perfum.

– Nie, dziękuję – odpowiedział starsuszek, uśmiechając się dobrodusznie i zdejmując płaszcz.

– Coś jeszcze? Może coś do jedzenia?

Gość pokręcił głową i wykonał zapraszający, niemal elegancki gest.

– Chciałbym, aby pan się do mnie przysiadł.

Milan rozejrzał się. Poza nimi dwoma w lokalu nikogo nie było. Hulk znów tkwił w biurze, a Tony, kucharz, korzystał z okazji i palił pod drzwiami. Mimo to odpowiedział:

– Personelowi niestety nie wolno siadać razem z gośćmi.

Mężczyzna skinął głową, jakby liczył się z taką odpowiedzią. Przejechał ręką po włosach, co nie poprawiło ich stanu, i mlasnął, wywołując u Milana poczucie *déjà vu*.

Przez chwilę był pewien, że już kiedyś widział tego człowieka.

– Tylko na chwilę. Specjalnie czekałem, aż będziemy sami.

– Dlaczego? – Milan zmarszczył czoło.

– Chciałbym coś panu dać.

Gość podniósł skraj grubego swetra w czerwone wzory. Milan zrozumiał, że starsuszek zdjął płaszcz nie dlatego, że było mu za gorąco, lecz dlatego, że inaczej nie dostałby się do małego pudełka, które trzymał w nerce na brzuchu.

– Co to jest?

Mężczyzna postawił mały kartonik przed sobą na stole. Był on wielkości kostki Rubika, biały i bez napisów.

*Elfie pudełko na kapelusze.*

– Prezent.

# 10

**M**ilan się zaśmiał.

– Czym sobie na niego zasłużyłem?

Mężczyzna ponownie wykonał zapraszający gest.

– Niech pan to otworzy.

Wzrok Milana powędrował przez kiepsko odbijające światło szyby na chodnik na zewnątrz, gdzie stojący pod okapem sąsiadującej z nimi kwiaciarni Tony patrzył z uśmiechem na swoją komórkę.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Proszę to otworzyć.

Wzbudziło to wreszcie ciekawość Milana. A ponieważ sama rozmowa i kierunek, w którym zmierzała, były bez wątpienia bardziej interesujące niż siedzenie za barem ze szkicownikiem, zrobił mężczyźnie tę przyjemność i usiadł, by otworzyć opakowanie.

Ukazał mu się mały plastikowy pojemnik, mniej więcej wielkości pudełka z zapasem gumy do żucia. Był on jednak zabezpieczony i niepodpisany.

Milan obrócił go w dłoni.

– Co to jest?

– Lekarstwo. Pigułki.

Szybko odstawił opakowanie na stół – jak zbyt gorący talerz z kuchni, którego nie powinno się chwycić gołymi rękami.

– Na co?

Mężczyzna skinął głową, nie odpowiadając na pytanie Milana.

– Niech pan bierze codziennie po jednej.

*Oczywiście*, pomyślał Milan. Facet najwyraźniej miał nie po kolei w

głowie.

– Dziękuję uprzejmie, ale jestem całkowicie zdrowy.

– Nie jest pan. – Pokryta plamami ręka staruszka w jednej sekundzie wystrzeliła w przód i przytrzymała Milana, gdy ten chciał wstać. – Radzę panu brać te pigułki – powiedział mężczyzna błagalnym głosem. – Kosztowało mnie to wiele trudu, aby je panu przynieść.

Milan się zdenerwował. Jeden gość więcej czy mniej, nie pozwoli każdemu wariatowi się dotykać.

– Czy istnieje choćby jedna przyczyna, dla której mam to zrobić? – zadał ostatnie, retoryczne pytanie, aby ostatecznie zakończyć rozmowę. Chciał znowu wstać, gdy nieoczekiwana odpowiedź staruszka sprawiła, że zatrzymał się w pół ruchu.

– Jeśli będzie pan zażywać te tabletki, panie Berg, być może znów będzie pan umiał czytać.

# 11

**N**ie to było najokropniejsze, że ten obcy, starszy mężczyzna znał jego nazwisko i jego najbardziej skrywaną tajemnicę.

To było to jedno słowo, którego staruszek użył i które utkwilo w umyśle Milana jak drzazga za paznokciem.

*Znów.*

– Co pan chce przez to powiedzieć? Ja nigdy nie... – Urwał przestraszony. Wprost przerażony tym, że prawie przyznał się komuś obcemu do swego analfabetyzmu. I że w dodatku nigdy nie było takiego czasu, kiedy posiadał umiejętność czytania i pisania.

*Znów czytać.*

– Chyba mnie pan z kimś pomylił – stwierdził Milan i wstał.

– Proszę mnie posłuchać. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się wtedy stało. Co panu zrobiono.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Tak, to jest właśnie najgorsze. I chcę to naprawić.

Milan złapał się za gardło, w którym jak przypuszczał, tkwiła teraz dziesięciokilowa kula – bo od czego innego byłoby tak zatkane? – lecz nic tam nie było.

– Lepiej będzie, jeśli pan już sobie pójdzie. – W żołądku wyczuwał już niebezpieczeństwo, podczas gdy jego umysł wciąż poszukiwał racjonalnego wytłumaczenia dla dziwnego wystąpienia mężczyzny.

– Zaraz to zrobię. Ale niech pan zażywa te tabletki, dobrze?

*W żadnym wypadku.*

– Musiał się pan pomylić – wymruczał, choć było dla niego całkowicie jasne, że nieprzypadkowo mężczyzna to właśnie jemu powiedział o

analfabetyzmie prosto z mostu.

*Kto jeszcze wie o tym wszystkim?*

*Kto poza moim...?*

Milan doszedł do pewnego przekonania.

– Chwileczkę. – Skierował palec wskazujący na starszego człowieka. – To był pan? To pan odwiedził dziś przed południem mojego ojca w domu starców?

„A tak na marginesie, dziś rano ktoś się o ciebie dopytywał... Nie podał nazwiska... Głos wydawał mi się znajomy, stary piernik, jakiś dziwny...”

– Milan?

Obrócił się i spojrzał w kierunku baru. Stała tam Andra, bezpośrednio pod starym zegarem dworcowym, który wskazywał 18.00. Zmieniła ubiór i miała teraz na sobie patchworkową sukienkę i džinsy w szachownicę. Swoje stalowoniebieskie włosy związała w warkocz, a w świetle nad barem poza kolczykiem w nosie błyszczał teraz jeszcze jeden, w brwiach. Turkusowy kolczyk z perełką był nowy, Andra musiała dopiero co przekłuć sobie brew. Zapewne sama, tak jak to zrobiła w innych miejscach swego ciała, od pępka aż do języka.

Nie zauważył, jak weszła do restauracji. Najwyraźniej Andra trafiła tu razem z Tonym, który szedł właśnie w kierunku kuchni. Milan nie spodziewał się jej tu, zwłaszcza że nie miała dziś zmiany. Za pół godziny dwóch studentów miało przejąć od niego na wieczór obsługę sali.

– Przyjdiesz na chwilę? – zawołała w jego kierunku.

Jej smutny wzrok podziałał na niego jak magnes. Była zraniona. Nic dziwnego, bo przedtem zostawił ją samą podczas terapii par i w ten sposób wszystko schrzanił. Wcześniej, gdy rysując dziwnego gościa, próbował oderwać myśli od tej sprawy, zaczynała w nim kiełkować nadzieja, że być może coś jest jeszcze do uratowania. Gdyby tylko nadarzyła się okazja, taka jak teraz, aby podejść do niej i mocno objąć ją ramionami.

*Oraz powiedzieć jej prawdę!* Z drugiej strony obecna sytuacja była w najwyższym stopniu nieodpowiednia. Nie mógł pozwolić, aby staruszek, który właśnie wysuptywał ze swojej torebki banknot o wartości dziesięciu euro, tak po prostu sobie poszedł.

– Niech pan poczeka chwilę. Zaraz wrócę – poprosił dziwnego gościa,



nie biorąc od niego pieniędzy. Ani jego pigułek.

Staruszek wzruszył ramionami, a Milan wyzwolił się od niego.

Na nogach jak z waty i uginających się kolanach podszedł do baru. Z każdym krokiem, z którym przybliżał się do Andry, jego serce waliło coraz głośniej.

– Posłuchaj, przykro mi – zaczął przeprosiny.

Ona jednak nie pozwoliła mu dojść do słowa. Przyciągnęła go do siebie i objęła. Było to tak dobre, tak właściwe.

– Nie, to mnie jest przykro – wyszeptła mu do ucha. – Za dużo od ciebie chciałam. Ta cała terapia par, chyba było dla ciebie na to za wcześnie.

Chciał się od niej odsunąć, aby spojrzeć jej w oczy. Jednocześnie pragnął podczas swego wyznania czuć jak największą jej bliskość.

– Nie, nie. To wszystko mój błąd, moja wina. Ja...

Jego uwagę odwrócił odgłos drzwi wejściowych, które zamknęły się za nim z trzaskiem. Wyzwolił się z objęć Andry i spojrzał na stolik numer 19, przy którym nikogo już teraz nie było. Stała tam tylko niewypita filiżanka kawy. I małe, białe pudełko pigułek.

– Cholera – zaklął i spojrzał przez frontowe okna w ślad za starszym człowiekiem, który zdawał się walczyć z wiatrem. Nawet od tyłu wyglądał na smutnego i zagubionego.

– Nie zapłacił? – dopytywała się Andra, podczas gdy jej wzrok podążył w kierunku szkicownika, który leżał otwarty na barze.

– Nie o to chodzi. – Milan pokręcił głową. – Przykro mi. Miałem właśnie spotkanie trzeciego stopnia.

– Mogę w to uwierzyć. Dlaczego tu jest napisane „Pomóż mi”?

Andra wzięła szkicownik w ręce i wskazała na rysunek, który Milan sporządził jako ostatni.

Πομοζ μι.

– A to. – Pokręcił głową i zaśmiał się krzywo, aby dać do zrozumienia, że nie ma to najmniejszego znaczenia. W rzeczywistości irytujące spotkanie ze staruszką sprawiło, że znów zapomniał o śmiesznym pościgu podjętym dziś w południe. Już samo to, że Andra dała mu chyba drugą szansę, było teraz o wiele ważniejsze niż wszystko inne na świecie. – To tylko jakiś

dziecięcy żart. Dziewczynka w samochodzie wystrychnęła mnie na dudka, gdy byłem w drodze tutaj.

Ponieważ Andra chciała się dowiedzieć więcej, opowiedział jej całą historię o tym, jak myślał, że dziecko zostało porwane, podczas gdy w rzeczywistości wracało z mamą i tatą z zakupów.

– Ja też bym podjęła pościg – zgodziła się z nim Andra. – Zwłaszcza po przeczytaniu drugiej linijki.

– Dlaczego? Co tam jest napisane? – wyrwało się Milanowi.

– Co tam jest napisane? – Andra zaśmiała się i puknęła palcem w odpowiednie miejsce obrazka.

Πομοζ μι.

Το νιε σα μοι ροδζιτσε.

– Nie możesz odszyfrować własnego pisma?

I wówczas odczytała na głos całą wiadomość. Dwa zdania, które zmieniły wszystko:

„Pomóż mi.

To nie są moi rodzice”.

# 12

**C**zerwone!

– Jesteś daltonistą, czy co? – spytała Andra, spoglądając na siedzącego obok Milana, podczas gdy dodawała jeszcze więcej gazu, a jej czarne jak noc mini pędziło przez skrzyżowanie.

*Nie. Kolory rozpoznałem dobrze. W przeciwieństwie do liter.*

– Było czerwone, a ty jedziesz za szybko – skomentował Milan.

– Było zielone jak krew, a ty jesteś najgorszym pasażerem na świecie.

– Powiedziała kobieta z czterema punktami karnymi.

– ...do mężczyzny, który nawet nie ma prawa jazdy. A tak w zasadzie, to kiedy je zrobisz?

*Gdy będę umiał przeczytać pytania egzaminacyjne. W innym życiu.*

Milan opowiadał Andrze, że to najpierw z braku pieniędzy, a potem czasu nigdy nie zapisał się do szkoły jazdy. Wiedziała jednak dobrze, że dzięki swoim ćwiczeniom w „wypożyczonych” samochodach miał on więcej doświadczenia jako kierowca niż niektóre osoby dojeżdżające codziennie do pracy.

Andra przyspieszyła tak bardzo, że aż Milana wcisnęło w fotel.

Rozbolała go lekko głowa i zastanowił się, czy ma przy sobie ibuprofen, co z kolei przypomniało mu o pigułkach, które starszy mężczyzna pozostawił na stole w restauracji.

*Jeśli będzie pan zażywał te tabletki, panie Berg, być może znów będzie pan umiał czytać.*

Milan wyrzucił je razem z innymi resztkami z restauracji do pojemnika na podwórku. Teraz zirytował się z powodu swojej nagłej decyzji. Mógłby zanieść pigułki do aptekarza i poprosić o analizę, ale gdy ponownie

zobaczył Andrę wyrzucił je po prostu do śmieci.

– Okej, bierzmy się do roboty. – Andra dotknęła przycisku przy kierownicy i na komputerze pokładowym umieszczonym na desce rozdzielczej otworzyło się menu nawigacji. – Wpisz to.

– Co? – Dłonie i plecy Milana oblały się potem, jak zawsze, gdy miał coś napisać. W zasadzie miał zamiar przyznać się Andrzejowi do wszystkiego jeszcze w restauracji, jednak właściwa chwila minęła, a teraz wszystko wydawało mu się nieodpowiednie. To, co miał jej powiedzieć, było tak ważne, że chciał jej patrzeć przy tym w oczy i trzymać ją za rękę. Obie te rzeczy były podczas jazdy samochodem niemożliwe.

– A co innego? Adres willi oczywiście.

To był jej pomysł, jednak nie musiała zbyt długo przekonywać Milana, aby raz jeszcze tam pojechali. Z powrotem do willi. Z powrotem do dziewczynki z tajemniczą wiadomością.

*To nie są moi rodzice.*

Miał na końcu języka pytanie, dlaczego sama nie zaprogramuje nawigacji. Andra zawsze uważała się za zdolną do takiej wielozadaniowości, że dwa razy przyłapał ją z komórką za kierownicą. Z drugiej jednak strony nie było przekonującego powodu, dla którego ona nie miałyby się w pełni skoncentrować na ruchu ulicznym, skoro on, siedzący obok kierowcy, nie miał nic lepszego do roboty od gapienia się na śnieg z deszczem – co nawiasem mówiąc, robił – który przekształcał chaos panujący normalnie na ulicach Berlina w niebezpieczną dla życia ślizgawkę.

– Nie zapamiętałem nazwy ulicy – skłamał. – Było to gdzieś w pobliżu kawiarni nad jeziorem Neuer See.

– A więc przy Katharina-Heinroth-Ufer. Dobra, wpisz to.

*Prędeż skleczę z rupieci, które trzymasz w schowku w kabinie, akcelerator cząstek.*

– Nie wiesz, jak dojechać do parku Tiergarten? – spytał.

– Nie wiem, czy Lietzenburger nie jest zakorkowana. Nawigacja pozwoli mi ominąć korki, więc nie gadaj tyle. Za chwilę będę się musiała zdecydować, czy jechać przez Hohenzollerndamm, czy przez Kantstraße.

– Nie masz funkcji rozpoznawania mowy? – Milan po raz ostatni spróbował wyplątać się z matni.

Siri ratowała go już niejedną raz. Czytała dla niego maile, esemesy i wiadomości na WhatsAppie oraz wpisywała za niego odpowiedzi, które musiał tylko podyktować do smartfona. Błędy, których w tym przypadku nie dało się uniknąć, przez prawie nikogo nie były komentowane. W erze emotikonów, gdy wszyscy wpisywali pospiesznie wiadomości podczas oglądania telewizji, kierowania samochodem lub jedzenia, mało kto zwracał uwagę na ortografię.

– Milan, nie rozumiem, czemu o tym wciąż dyskutujemy. Po prostu wpisz...

Nadchodzące połączenie, zasygnalizowane fotografią ciemnowłosej dziewczynki, która zastąpiła panel nawigacyjny, uratowało Milana.

– Cześć, mamó, gdzie jesteś?

Louisa, trzynastoletnia córka Andry. Znajdująca się w samym środku okresu dojrzewania dziewczynka z zamiłowaniem do krav magi i kick boxingu. Już niedługo ta pełna temperamentu nastolatka będzie mogła przyłożyć równie mocno co jej matka. Milan był tego pewien.

– Jestem z Milanem w drodze. Niedługo wrócimy, mała. Czy Cherry wciąż jest u ciebie?

Cherry, najlepsza przyjaciółka Louisy, nieco mrukliwa i małomówna, jak uważał Milan, ale być może trzynastoletnie dziewczynki generalnie nie otwierały ust, gdy trafiały na półmartwych – bo tak zapewne postrzegały dorosłych.

– Tak, oglądamy *Iron Mana*.

Andra zmarszczyła czoło, skręciła w Hohenzollerndamm i pokazała kierowcy ciężarówki, który uniemożliwił jej zmianę pasa, środkowy palec.

Milan nieświadomie odetchnął. Sama zdecydowała i nie było już potrzeby programowania nawigacji.

– Nie miałyście odrabiać pracy domowej?

– Nie miałaś wstawić jedzenia do mikrofali?

Milan nie mógł stwierdzić, która z nich obu pierwsza odłożyła słuchawkę. W każdym razie zdjęcie kontaktowe Louisy zniknęło i na wyświetlaczu znów pojawił się fragment mapy. Stuknął palcem w miejsce docelowe, co jak się spodziewał, spotkało się z ripostą Andry:

– Teraz już nie musisz tego robić. Sama wybrałam najkrótszą drogę.

Módl się lepiej, żebyśmy nie utknęli na terenach budowy wokół Uranii.

– Bo inaczej? – Milan się uśmiechnął.

– Inaczej... – Jakaś smutna myśl przemknęła po twarzy Andry.

Z początku Milan pomyślał, że zobaczyła coś na ulicy, jednak przed nimi widać było tylko światła hamowania, które odbijały się od wilgotnego asfaltu i kładły się pasami na mokrej od deszczu szybie.

Andra posłała ku niemu krótki, pełen winy uśmiech, co tylko wzmocniło w nim wrażenie, że coś jej leży na sercu. Wiedział, że nie powinien jej teraz naciskać. Znał dobrze wahania nastrojów swojej przyjaciółki, które często nie miały żadnej widocznej przyczyny. Teraz zapewne pomyślała o nieudanej terapii par dzisiejszego przedpołudnia lub o problemach w ich związku. Problemach, które były tak wielkie, że nie pozostawiały żadnego miejsca na odnoszące się przecież do przyszłości „bo inaczej”.

*Problemach, które ja sam spowodowałem.*

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Dopiero gdy mijali hotel Interconti przy Budapester StraÙe, Milan wskazał jej drogę, która utrwaliła się w jego umyśle.

Inaczej niż przed południem teraz nie zachowali dystansu bezpieczeństwa od willi. Ponieważ i tak mieli zamiar zadzwonić do drzwi, zaparkowali po prostu pod bezlistnym drzewem, na wprost wejścia do domu.

– I to było tutaj? – zdziwiła się Andra, wysiadając.

– Tak.

– To tutaj ta rodzina wniosła do środka zakupy?

Milan przyłożył dłoń do czoła, bezskutecznie starając się w ten sposób osłonić twarz od śniegu z deszczem. Zatrząsł się, lecz to nie pogoda była przyczyną, dla której przeszedł go dreszcz.

– Ojciec, matka i córka, zgadza się. – Zaszło mu w gardle. Jakaś niewidzialna pętla zaciskała się wokół niego z każdym krokiem, gdy zbliżał się do wykutej przez kowala bramy ogrodowej.

– Nie miej mi tego za złe, Milan, ale jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Wiem – odpowiedział. Spojrzał w górę, na wieżyczki willi, które wznosiły się na tle nocnego nieba.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, co tu się dzieje, Andra. Sam nie

wierzę własnym oczom.

# 13

**R**dzawoczerwona willa z klinkieru stała wciąż na swoim miejscu. Nie zniknęła ani nie została zburzona, a mimo to Milanowi zdawało się, jakby na jego oczach rozplynęła się w powietrzu.

– Coś się tu nie zgadza – szepnął, na co Andra stwierdziła, że równie dobrze mógł to powiedzieć głośno.

– Przez te drzwi? – spytała.

Skinął głową. Widział ich, jak wchodzili przez te drzwi.

Matka przodem. Potem mężczyzna. Na końcu dziewczynka.

*Gdybyśmy kupili jeszcze coś więcej, musielibyśmy się nazywać KaDeWe.*

Przy czym „drzwi” nie były właściwym słowem.

*Raczej jest to otwór drzwiowy.*

Przed południem obejrzał dom tylko przelotnie. Był tak skoncentrowany na osobach, że nie zwracał uwagi na otoczenie. We mgle i tak nie mógłby się przyjrzeć bliżej wejściu do domu.

*A zresztą po co?*

Teraz jednak nie było najmniejszej wątpliwości, że to, co wziął wówczas za otwarte drzwi, w rzeczywistości było tylko dziurą. Prowizorycznie zastawioną aluminiową płytą, którą zwykle zabezpieczano wejścia na place budowy.

*Lub do opuszczonych domów.*

Bo tak właśnie wyglądała ta willa.

Za pozbawionymi zasłon oknami nie paliło się światło. Z kominów sąsiednich domów wzbijał się w wieczorne niebo dym, a tymczasem tutaj nic nie wskazywało na to, że w środku budynku było choćby o jeden stopień cieplej niż na zewnątrz, gdzie panowała temperatura w okolicach zera.



Nie było żadnych oznak życia. Stała za to tabliczka z biura nieruchomości z napisem:

Να σπρζεδαζ

Milan mógł się domyślić, co to oznacza. Tabliczka była pochylona w kierunku trawnika, jakby od niepamiętnych czasów musiała się opierać wiatrowi i niepogodzie.

*Lub jakby w pośpiechu na powrót wbito ją w ziemię.*

– Jesteś całkowicie pewien, że to było tutaj? – spytała Andra, podczas gdy Milan naciskał guzik dzwonka umieszczony na kolumnie w ogrodzie przed domem.

Tak jak się spodziewał, dzwonek był popsuty.

– Tak, rozejrzyj się wokół. – Jego ciepły oddech utworzył ulotną mgiełkę unoszącą się między nimi. – Poza tym tutaj są tylko domy czynszowe i wielorodzinne. To jedyna wolno stojąca willa. To było tu.

– Dziwne.

Podszedł schodami do wejścia do domu i potrząsnął aluminiową płytą. Stwierdził, że nie była nawet przyśrubowana.

– Jest tylko oparta.

– To możemy wejść do środka – powiedziała Andra, wyciągając komórkę i włączając w niej latarkę. – Ruszamy na mój rozkaz – szepnęła. – Ty pierwszy.

Uśmiechnął się, słysząc ten kiepski dowcip, ale postąpił, jak nakazała, i odsunął blachę od futryny. Zrobił tylko niewielką szparę, taką, aby dało się przez nią wejść do środka.

Korytarz wejściowy, który w posiadłościach takich jak ta zapewne nazywano holem, powitał intruzów z najwyższą niechęcią: chłodem, ciemnością i stęchlizną.

Milan spróbował użyć włączników ściennych, choć nie miał większych nadziei na to, że zapalą się żyrandole wiszące nad galerią klatki schodowej. Innych źródeł światła nie mógł spostrzec, nawet w blasku swojej komórki. Brakowało ich w tej willi podobnie jak mebli, obrazów, ciepła i oznak życia.

– Spójrz tylko na to!

Podczas gdy Milan wciąż podziwiał balustrady dwuskrzydłowych schodów, Andra weszła już do sąsiedniego pokoju, który dawniej był chyba używany jako biblioteka. Wzdłuż ścian owalnego pomieszczenia stały sięgające sufitu masywne regały z ciemnego drewna, wśród których pozostawiono jedynie miejsce na wygaszony teraz kominek.

– Pięknie brzydkie – skomentował Milan to najbardziej dla niego nieprzydatne pomieszczenie w domu.

– I jakieś niesamowite. Całkowicie puste regały, jeśli nie liczyć tego antyku tutaj. – Poświeciła na starodawny aparat telefoniczny, który stał obok kominka na półce regału na wysokości bioder. Sprawiał niezwykle masywne wrażenie, wydawało się wręcz, że do podniesienia czarnej słuchawki trzeba użyć dwóch rąk. – Wydaje mi się, że taką tarczę aparatu widziałam ostatni raz dwadzieścia lat temu u mojej babci – powiedziała Andra, ale Milan słuchał jej już tylko jednym uchem.

Jego uwagę przykuł kawałek papieru leżący w pobliżu telefonu.

– Nie wiem, co tam widzisz, ale myślę, że nie ma żadnego sensu przeczesywać każdego pomieszczenia w tym domu – powiedziała Andra, ale on nie udzielił jej żadnej odpowiedzi.

*Co się tu, u licha, dzieje?* – zapytał sam siebie.

Najpierw kartka przyciśnięta do szyby samochodu, potem pozornie szczęśliwa rodzina, teraz zapach opuszczonej od lat willi.

– Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy w niewłaściwym domu – stwierdziła Andra, ale Milan pokręcił głową.

– Wszystko poza tym. – Podetknął jej pod nos kawałek papieru, który okazał się fotografią.

– O cholera – wyszeptała Andra. Musiała odsunąć komórkę nieco na bok, bo odbłyśki światła sprawiały, że ledwie co mogła dostrzec. – Czy to ona?

Milan skinął głową. Fotograf najwyraźniej bardziej interesował się tłem: lekko opadającą w kierunku jeziora plażą i karmioną na brzegu grupą kaczek. Postać dziewczynki na pierwszym planie była nieco rozmazana, jej twarz częściowo skryta w cieniu liściastego drzewa, a ona sama z pewnością dwa lata młodsza niż dzisiaj. Ale to była ona. Bez wątplenia.

*Te same pszeniczne włosy, wysokie czoło i oczy w kolorze khaki.*

Głęboko zakorzeniona melancholia w spojrzeniu, która budziła w Milanie

niewytłumaczalne poczucie więzi.

– Wygląda tak samo jak na twoim rysunku. – Andra obróciła fotografię na drugą stronę. – Wprawdzie nie wiem, co to wszystko ma znaczyć, Milan...

– Nie ty jedna.

– ...i dokąd mnie zaprowadziłeś, ale przynajmniej znamy teraz jej imię. – Andra na szczęście odczytała na głos to, co było napisane na odwrocie zdjęcia: – „Zoe, lato nad jeziorem”.

Zoe?

Nieczęsto słyszy się to piękne imię. Milan odruchowo pomyślał o chwili, gdy usłyszał je po raz pierwszy. Wówczas, na kempingu przy plaży na Rugii. Z ust dziewczyny z książką w ręku.

– Spójrz na to, co jest napisane kredką – zdziwiła się Andra.

– Co to?

– Nie mam pojęcia, jakaś kombinacja liter i cyfr. Wygląda jak jakieś hasło.

P6A2Φ21Λ1-3A1Φ4Λ3Φ14Λ9Φ12Λ1Φ9Λ1

– Nie mogę tego odczytać – powiedział Milan zgodnie z prawdą.

Jak zawsze widział tylko obraz, bezsensowną plataninę hieroglifów. Jednak inaczej niż zwykle, gdy gapił się na szyldy uliczne, formularze lub nagłówki gazet, widok linijki znaków nie budził w nim uczucia wstydu i niedopasowania. Nie niepokoił go w żaden sposób. Choć nie potrafił tego w żaden sposób wytłumaczyć, znaki te wydawały się mieć pewien związek z jakimś wspomnieniem z dzieciństwa. Tak jakby już kiedyś oglądał taki lub podobny widok.

Nawet gorzej, jakby był kiedyś czas, gdy Milan był w stanie odczytać wiadomość zaszyfowaną na odwrocie fotografii.

– R6A2W21L1-3A1W4L3W14L9W12L1W9L1 – przeczytała Andra. Przy ostatniej cyfrze krzyknęła, a fotografia wypadła jej z rąk.

Milan nie mógł mieć jej tego za złe. Zwłaszcza że on także wzdrygnął się ze strachu, usłyszawszy dźwięk, z którym nikt by się nie liczył w tym wymarłym domu.

Dźwięk telefonu.

Starodawnego aparatu sieciowego z tarczą numeryczną, którego słuchawkę dawało się podnieść z widełek jedynie z wielkim trudem. Niemal tak, jakby miało to ustrzec Milana przed odebraniem połączenia.

# 14

**K**im pan jest? – Głos rozmówcy był głęboki, a przy tym lekko nosowy. Milan wyobraził sobie masywnego faceta ze skrzywioną przegrodą nosową. Być może ten obraz pasował do ciemnowłosego typu, którego wziął za przedstawiciela handlowego. Miał przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a garnitur był na nim opięty, gdy najwyraźniej dla zachowania pozorów wchodził wówczas do tej willi. – I co pan robi w tym domu? – dopytywał się mężczyzna.

Andra, która trzymała głowę tak blisko ucha Milana, jak to możliwe, pomachała ręką na znak, by odłożył słuchawkę.

Milan był jednak zbyt ciekawski, by tak postąpić.

O ile mógł ocenić, głos rozmówcy nie był ani zmieniony, ani zniekształcony. W pierwszej chwili nieco zaniepokoiło to Milana, dopóki nie dotarło do niego, że być może jest dobra wiadomość. W końcu *to on* był osobą, która wtargnęła na teren cudzej nieruchomości, i jeśli rozmówca dowiedział się o tym za pośrednictwem ukrytego systemu antywłamaniowego, to raczej zadaniem Milana było ukrywanie swojej tożsamości. Zwłaszcza że nie był kimś, kogo policja nazywała obywatelem o nieposzlakowanej opinii. Nawet jeśli jego rejestr karny nie zawierał jeszcze żadnych wpisów, wielokrotnie był już wzywany na przesłuchania i dał się poznać jako drobny przestępca.

– Szczerze? – spytał Milan, który zdecydował się powiedzieć rozmówcy prawdę. – Nie wiem. Dziś rano myślałem, że jestem świadkiem porwania. A ślad zaprowadził mnie do tej willi. – Kątem oka zobaczył, jak Andra zamyka oczy, marszcząc czoło. Najwyraźniej nie zgadzała się z tą odpowiedzią.

– Był pan zatem ciekawski? – dopytywał się mężczyzna.

– Raczej zatroskany.

– Dobrze. A więc teraz pańska kolej.

– Co pan ma na myśli? – Milan odczuł potrzebę poruszenia się, co jednak było niemożliwe, skoro Andra chciała dalej podsłuchiwać rozmowę. Ponadto promień, w jakim można się było posługiwać telefonem sieciowym, był niezwykle ograniczony jak dla kogoś, kto zwykle używał aparatu bezprzewodowego.

– Zaraz to panu wyjaśnię – powiedział mężczyzna po drugiej stronie przewodu – ale proszę na zawsze zapamiętać ten moment. Bo cokolwiek się od tej chwili wydarzy, stanie się to dlatego, że *to pan zaczął*.

– Zacząłem co?

– Zapoczątkował pan łańcuch wydarzeń. Śledził pan nas. Wtargnął pan do tego domu. Do niczego pana nie zmuszałem. To była wyłącznie pańska wolna wola. Pańska decyzja. Z której konsekwencjami będzie pan teraz musiał żyć.

– Lepiej odłożę słuchawkę.

– Nie powstrzyma to tego, co się w konsekwencji wydarzy.

– Czego?

– Zabiję.

– Mnie?

– Bzdura. Dziewczynkę oczywiście.

– Zoe? – wyrwało się Milanowi, który stracił wszelką kontrolę nad tą coraz bardziej nierzeczywistą rozmową.

– Skąd zna pan to imię? – zapytał najwyraźniej całkowicie pozbawiony skrupułów rozmówca, przy czym udało mu się jednocześnie brzmieć jak ktoś rzeczywiście zdumiony. Zaśmiał się krótko i dodał arogancko: – W gruncie rzeczy to i tak wszystko jedno. Porozmawiajmy lepiej o tym, jak może pan zapobiec najgorszemu.

– Najgorszemu? – Do głosu Milana wkradł się skrzeczący ton, za który był odpowiedzialny nagły uścisk w gardle. – Czego pan ode mnie chce?

– Niewiele. Tylko stu sześćdziesięciu dwóch tysięcy trzystu sześćdziesięciu sześciu euro i czterdziestu dwóch centów.

– Do końca pan zwariował?! – Milan zrobił gwałtowny ruch, ale Andra

na szczęście i tak się odsunęła o krok od niego i stała teraz z otwartymi ustami. On sam w szoku wzruszył tylko ramionami. Sama ta absurdalnie wysoka, do tego nierówna suma (za dziewczynkę, której nawet nie znał) była wystarczającą oznaką niepoczytalności tego gościa.

– Są ludzie, którzy uważają mnie za psychopatę, to prawda. Ale to nie robi żadnej różnicy. Czy jestem szalony, czy też jestem świadomy konsekwencji swoich czynów, zabiję tę dziewczynkę, jeśli do poniedziałku wieczór, do dwudziestej piętnaście, nie wręczy mi pan okupu.

Milan się roześmiał. Echo jego śmiechu niesło się po pustej willi jak krzyk kota, któremu ktoś nadepnął na łapę.

– Pomijając już sam fakt, że nie potrafię uzbierać do kupy stu sześćdziesięciu dwóch euro, a co dopiero kwoty tysiąc razy większej, to dlaczego ja? Co ja, do diabła, mam z tym wspólnego?

Szantażysta odpowiedział dopiero po krótkiej chwili:

– Mówiłem już, że sam pan sobie nawarzył tego piwa. Mogło się to przytrafić każdemu, kto zobaczył dziewczynkę na tylnym siedzeniu samochodu. Ale pan był jedynym, który zareagował. Całymi godzinami jeździliśmy w kółko obok niezliczonych tak zwanych bliźnich. Nikt nie był nią zainteresowany i wszyscy pozostali obojętni. Wszyscy poza panem.

Skonsternowany Milan przełożył słuchawkę do innego ucha.

– I za moją spostrzegawczość mam teraz zapłacić?

– A niby kto?

– Pan ma nie po kolei w głowie. – Milan popukał się w czoło. – Odkładam teraz słuchawkę i dzwonię na policję.

– I co im pan powie? – Mężczyzna się roześmiał. – Że bezprawnie wtargnął pan do cudzego domu, który nie należy ani do pana, ani do mnie i od lat z powodu zatrucia azbestem nie może znaleźć nabywcy? Proszę bardzo, jeśli chce pan zmarnować swój czas, niech tam. Ale na pańskim miejscu zająłbym się raczej myślą, jak zdobyć te pieniądze. A przy okazji, mam na imię Jakob. A pan?

– Dlaczego mam zdradzić panu moje imię?

– Byłoby grzeczniej, gdybyśmy się zwracali do siebie po imieniu.

– Nie będzie więcej żadnych rozmów.

– Obawiam się, że będą. Proszę mi podać numer swojej komórki.

– W żadnym wypadku. – Milan pokręcił głową. – Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Nie bawię się w pańskie gierki psychologiczne. Ja...

Mrożący krew w żyłach krzyk dotarł przez słuchawkę do uszu Milana. Był tak głośny i pełen bólu, że przeniknął aż do szpiku jego kości. Także Andra, która tymczasem stała już metr od Milana, usłyszała okrzyk i patrzyła teraz rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Co to było? – spytał Milan, choć domyślał się już potwornej odpowiedzi.

– Znak życia – stwierdził porywacz. – Dziewczynka jeszcze oddycha. Jest to jednak stan, który łatwo może ulec zmianie. A więc proszę – mężczyzna mlasnął niecierpliwie językiem – podać mi wreszcie swoje imię i numer telefonu. Chyba że chce pan, abym wstrzelił jej w kciuk kolejną zszywkę.



**S**kłamali.

– Nic ci nie zrobimy – powiedzieli. – To tylko taka gra.

Było to jednak tak fałszywe jak garnitur Jakoba, który sprawił sobie specjalnie na tę akcję, aby zrobić dobre wrażenie, gdyby był obserwowany przez Milana. Tak fałszywe jak siekacze tego niby-żigolaka, który jej zdaniem był o wiele za młody dla jej matki. Ze swoim fałszywym uśmiechem, fałszywą opalenizną z solarium i fałszywymi zębami-implantami, które musiał sobie wstawić po jakiejś bójce w knajpie.

Tylko imię Jakob było jak najbardziej prawdziwe. Tak pewny siebie był ten głupiec, tak przekonany, że na koniec usunie sobie z drogi wszystkich świadków.

Że nikt mu nie może nic zrobić.

*Jak do tego w ogóle mogło dojść? Dlaczego dawno już nie uciekła?*

*Jestem bezużyteczna i tchórzliwa.*

I dlatego właśnie teraz tu leżała, z krwawiącym kciukiem, w którym wciąż tkwiła zszywka, jaką jej ten sukinsyn wstrzelił pod paznokieć za pomocą zszywacza pneumatycznego.

Zoe przeklinała Jakoba, który za nic w świecie nie pozostawi jej przy życiu, gdy to wszystko się skończy.

Nawet ona nie miała co do tego wątpliwości.

„Panna Osobliwa” lub „Zoe Dziwna”, jak przezywali ją w szkole inni uczniowie.

Gdy Jakob zostawił ją tu samą, oczywiście nie opatrzywszy potem rany,

owinęła prowizorycznie wokół palca kawałek brudnego prześcieradła na gumkę, aby jakoś powstrzymać krwawienie. W przyczepie kempingowej, w której została zamknięta, nie mogła znaleźć niczego innego. Ten paskudny gruchot w kolorze szczotki do mycia kibli nawet na złomowisku wraków był omijany z pogardą.

– Aaa! – Zoe siedziała teraz w kącie wypoczynkowym karawanu i odwiązywała materiał z pulsującego kciuka. Już sama ta czynność sprawiła, że ból przeniknął całą jej rękę od dłoni aż do barku. Krew była wszędzie. Było jej o wiele za dużo, aby mogła dostrzec srebrny brzeg zszywki tkwiącej w łożysku paznokcia. Wsadziła sobie więc palec do ust i zaczęła go ssać jak małe dziecko.

*Cholera, znów okazałam się tak głupia jak wiadro pomyj.*

Już w podstawówce śmiano się, że Zoe jest nieco wolniejsza niż inne dzieci w jej wieku. W jej głowie tymczasem krążyło jednocześnie tyle myśli, że niekiedy aż musiała przystanąć, aby je posortować.

A tak w ogóle jak można studiować rysunek słoju na pancerzu kornika, jeśli w pobliżu podskakiwała gumowa kulka? I jaki tak naprawdę sens miało uganianie się przez całe życie, jeśli na końcu nikt na ciebie nie czekał?

*Głupia i opóźniona*, twierdzili inni, gdy w połowie zdania przestawała mówić, bo do głowy przyszła jej jakaś inna myśl. *Przede wszystkim Lynn.*

Lekarz orzecznik opóźnił o rok posłanie jej do szkoły, co skłoniło jej matkę do wygłoszenia z okazji jej siódmych urodzin przemowy, którą zakończyła słowami: „Zoe nie jest głupia. Ma tylko pecha, jeśli chodzi o myślenie”.

Od tego czasu nigdy już nie nazywała jej mamusią, mamą lub matką. Tylko po imieniu.

*Jeśli w ogóle.*

Zoe wyciągnęła kciuk z ust. Ujrzała teraz aluminiową zszywkę, przynajmniej przez krótki moment, bo krew natychmiast trysnęła z powrotem. Mimo to dotknęła palcem wskazującym prawej ręki najbardziej bolesnego miejsca. Kolejna fala bólu popłynęła aż do barku.

Co się stanie, jeśli obgryzionymi paznokciami spróbuje wyciągnąć zszywkę?

*Cholera.*

*Moja wina. To wszystko moja wina.*

Oczywiście trzeba być kompletnie stukniętym, aby zaufać Jakobowi. Aby wsiąść razem z nim i Lynn do samochodu. Aby wejść do opuszczonej willi. Aby zaufać obietnicy, że nic jej nie zrobią.

*Zoe Dziwna.*

Przy czym wszyscy mylili się co do jednego.

Być może Zoe potrzebowała więcej czasu na myśli, które u innych pojawiały się w głowie znacznie szybciej. Myślała jednak gruntowniej, a strach uskrzydlał jej procesy poznawcze. Nie tyle jednak ich prędkość, co intensywność.

Gdy Zoe się czegoś bała, gdy ze strachu skóra na jej plecach cała zlewała się potem (tak jak teraz), wpadała na pomysły, które innym nie przyszłyby do głowy nawet w najśmielszych snach.

Na przykład na takie, aby zostawić na fotografii szyfr. Użyła do tego głupiego zdjęcia z torebki i kredki do oczu.

Oczywiście mogła tam zostawić jednoznaczną wiadomość. Taką jak ta na kartce w samochodzie:

*Pomóż mi. To nie są moi rodzice.*

Gdyby jednak Lynn lub Jakob ją odnaleźli, nie ograniczyliby się do jednego ciosu w skroń, aby móc ją potem nieprzytomną przenieść z domu do przyczepy kempingowej.

*Nie.* Szyfr był o wiele mniej niebezpieczny.

Zoe postąpiła więc tak, jak gdyby znów była małym histerycznym dzieckiem.

– Nie bawię się więcej w to wasze gówna! – krzyknęła i zwała. Dobrze wiedziała, że nie ma stamtąd ucieczki, ale chciała choć trochę zyskać na czasie. Przez moment nie była obserwowana. Na szczęście znajdowała się wtedy w bibliotece willi, gdzie pozostawiła wiadomość obok starego jak dinozaur telefonu. Teraz miała nadzieję, że jej wybawca odczyta litery i cyfry na odwrocie fotografii.

*Musi to przeczytać,* pomyślała Zoe. Zaczęła płakać z bólu, strachu i mdłości, gdy poczuła, jak Jakob uruchamia silnik samochodu kempingowego.

Z jednej strony to dobrze, bo dzięki temu znów działało ogrzewanie. Tylko podczas tej krótkiej chwili, której Jakob potrzebował, by zatelefonować z pogroźkami, lodowate szpony chłodu zdążyły wtargnąć do wnętrza przyczepki. Z drugiej strony Zoe była świadoma, że kilometry ostatniej drogi jej życia były już w tym momencie policzone. Długo to nie potrwa, nim zostanie zabita przez ludzi, którym zaufała.

Jakoba, Lynn.

*Mój Boże, Lynn.*

Zoe zamknęła zapłakane oczy i podczas gdy przyczepka ruszała, skoncentrowała się na pulsowaniu odczuwanym w lewym kciuku. Wsunęła obgryziony paznokieć palca wskazującego pod paznokieć lewego kciuka. Prosto w centrum bólu.

Jęcząc na cały głos, pomyślała o swojej ostatniej szansie.

*Dobry Boże, spraw, aby on przeczytał i zrozumiał moją wiadomość.*

Nic więcej od tego nie zależało, tylko jej marne życie.

# 16

## Milan

Za każdym razem gdy Milan odwiedzał swojego ojca w domu spokojnej starości przy Rehwiese, w pierwszej chwili zawsze miał uczucie, że wkraczał do pomniejszonej wersji ich dawnego domu rodzinnego w dzielnicy Wedding. Pachniało jego młodością, nieporównywalną z niczym mieszaniną politory, perfum i tytoniu, którą w ciągu lat nasiąkły niezniszczalne meble: masywny stół jadalny pasujący kolorem do szafy z ciemnego, szlachetnego drewna, skórzany komplet wypoczynkowy i małżeńskie łóżko z mosiężną ramą. Tyle tylko, że teraz salon, jadalnia i sypialnia musiały się zmieścić w jednym pomieszczeniu. Na nic więcej Milan i Kurt nie mogli sobie pozwolić. Nie przy skąpej emeryturze dozorczy, jaką otrzymywał ojciec, nie mówiąc już o śmiesznych oszczędnościach na starość, które Jutta zdążyła wygospodarować przed śmiercią ze swojej pensji sprzątaczkii.

Nawet ten mały pokój, ale z balkonem wychodzącym na park, byłby dla nich horrendalnie drogi, gdyby Andra nie zwróciła uwagi Milana na to, że dawnym pracownikom szpitala przysługuje specjalny rabat w luksusowym domu starców w dzielnicy Nikolassee. Wiedziała o tym z tego względu, że przebywała tu matka Hulka. W ten sposób ojciec Milana i matka jego pracodawcy byli teraz niejako sąsiadami.

– Dobrze, że jesteś – przywitał go ojciec i nie był to jedyny powód, dla którego Milan poczuł się zbity z tropu.

*Czekał na mnie?*

Przyszedł bez zapowiedzi, a do tego poza zwykłym czasem odwiedzin, co

prawie doprowadziło do ostrej utarczki z portierem na dole. Zażądał on bowiem od Milana, aby wpisał się na listę odwiedzających, czego ponoć po godzinie dwudziestej wymagały przepisy.

*Bzdura!*

Jakoś dałby radę nabazgrać coś w rodzaju podpisu, ale wpisać nazwisko, datę i godzinę? Równie dobrze portier mógłby go poprosić o zonglowanie płonącymi piłami tarczowymi. W pierwszym odruchu chciał złapać tego pajaca za poliestrowy krawat i wyciągnąć go ze szklanej dyżurki stojącej koło wejścia, aby pięścią złożyć mu własnoręczny podpis na twarzy.

Potem jednak przeraził się sam siebie.

*Poryw gniewu?*

To była dla niego nadzwyczaj nietypowa reakcja. Milan nie miał nigdy problemów z panowaniem nad sobą. Z czasem tak się wytrenował w niezwracaniu na siebie uwagi, że starał się za wszelką cenę unikać kłótni, zanim w ogóle pojawił się do nich powód. Dziwne wydarzenia tego dnia mocno mu jednak dokuczyły. Musiał się wręcz przemóc, aby spróbować zbyć portiera swoją standardową wymówką.

– Proszę posłuchać, przed czterema tygodniami przeszedłem zarażenie streptokokami. Niech się pan nie boi, to nie jest zaraźliwe, ale niestety wystąpiły u mnie powikłania. Gorączka reumatyczna. Prawie nie mogę poruszać palcami. Prawdziwe piekło.

– I komu pan to mówi? – Portier skinął ze zrozumieniem głową i zaczął mu opowiadać o swoich problemach z plecami. Minutę później wypełnił za swojego towarzysza w cierpieniu formularz i wpuścił go na górę.

Gdzie o dziwo jego ojciec nie leżał w łóżku i nie oglądał *Milionerów*, tylko siedział po turecku na podłodze. Wokół niego rozłożone były liczne fotografie, które wyjął ze starego albumu. Wszystkie przedstawiały tę samą osobę: Juttę, pierwszą i jedyną miłość Kurta, która o wiele za wcześniej i całkowicie bez sensu odeszła z tego świata.

– Co robisz? – spytał Milan i podszedł bliżej. Ku jego zdziwieniu ojciec miał łzy w oczach. W pierwszej sekundzie Milan pomyślał z przestraszeniem, że zapomniał o rocznicy śmierci matki, ale ta wypadła dopiero w lecie i miała nadejść już po raz piętnasty.

*Co za ironia.*

Wszyscy się spodziewali, że śmierć przyjdzie najpierw po Kurta. Osteoporoza, niedoczynność tarczycy, stłuszczenie wątroby, skrzywienie kręgosłupa, nadciśnienie... Już gdy był w średnim wieku, zestawienie jego chorób i czynników ryzyka było dłuższe niż lista zakupowa dużej rodziny.

Jutta niemal przejawiała zdolności widzącej przyszłość wróżki, gdy pewnego razu odciągnęła Milana na bok i z mieszaniną pogody ducha i troski w głosie powiedziała: „Gdybym wcześniej odeszła, uważaj na ojca. Wciąż jest jak solidnie zbudowany dom. Może nieco skromny, ale godny zaufania i przytulny. Ale jako stary przyk nie będzie umiał o siebie zadbać i może się zdarzyć, że zimą wysiądzie ogrzewanie lub...”. Milan wciąż miał przed oczami szelmowskie mrugnięcie okiem jego matki, zanim zażartowała na koniec: „...lub że dach zacznie przeciekać, co u tego wariata zdarza się niekiedy także i teraz”.

Gdy wiele lat po jej śmierci rzeczywiście doszło do tego, że Kurt zaczął mieć coraz większe problemy z radzeniem sobie w codziennym życiu, zgodził się, ku wielkiej uldze Milana, oddać się pod opiekę doświadczonego personelu pielęgniarskiego, który na wszelki wypadek dyżurował tylko dwa pokoje dalej. Dzięki temu Kurt na koniec miał przynajmniej nie podzielić losu miłości swego życia, do której pomoc przybyła wówczas za późno.

#### *Wówczas.*

To był niezwykle zimny letni dzień na Rugii. Jutta złapała jakieś przeziębienie i zapomniała wygasić kominka, zanim wypija napój rozgrzewający i położyła się do łóżka.

Gdy Kurt wrócił z drugiej zmiany, iskry sypiące się z kominka zdążyły już sprawić, że ogień objął cały salon i zaczął sięgać do pomieszczeń na górze. Straż pożarna była już zaalarmowana, zapewne przez jakiegoś sąsiada, który jednak nie podał swojego nazwiska. Strażakom udało się uratować z płomieni tylko Milana, który w efekcie trafił do szpitala z ciężkim zatruciem czadem i złamaniem czaszki. W gęstym dymie stracił orientację i spadł ze schodów prowadzących do piwnicy. Podczas opatrywania rany głowy wystąpiły komplikacje, które pociągnęły za sobą kilka operacji i dłuższy pobyt w szpitalu. Gdy po wielu tygodniach wreszcie został z niego wypuszczony, jeszcze tego samego dnia wyruszył z ojcem do Berlina. Żona była martwa, dom spalony... Nie pozostało nic, co by mogło

zatrzymać Kurta na Rugii. Zarówno ojciec, jak i Milan nigdy więcej tam nie wrócili.

– Zabrali mi moje numery „Playboya”. Znalazłem sobie więc inną podniechę do onanizmu. – Ojciec próbował odwrócić jego uwagę od swego wybuchu emocji, ocierając jednocześnie łzy z policzków. Gdy Jutta jeszcze żyła, waliła go w tył głowy za każde obsceniczne skojarzenie. On sam żartował, że jest to chyba prawdziwa przyczyna jego łysiny w tym miejscu.

– Dlaczego płakałeś? – spytał Milan.

– To łzy radości, że cię znów widzę, chłopcze.

– Dlaczego, tato?

– Naprawdę. Mówię poważnie. Martwiłem się o ciebie. Odłożyłeś słuchawkę w połowie zdania. Myślałem, że coś ci się stało. – Pociągnął nosem, a wyrzuty sumienia wtargnęły siłą do serca Milana.

– Jejku, tato! Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

– Nie chciałem ci przeszkadzać. – Kurt uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Ja... ja i tak za bardzo wmieszałem się w twoje życie, wiesz przecież. Wtedy, gdy powiedziałem, że musisz wyznać Andrzejowi prawdę. Nie miałem do tego prawa. – Ojciec wstał ostrożnie, starając się nie poruszyć żadnego ze zdjęć. Zawahał się przez moment, ale potem się zdecydował objąć syna. – Człowieku, jak się cieszę, że z tobą wszystko w porządku.

Milan z trudem przełknął ślinę.

Więc o to chodziło! Jego stary ojciec bał się, że stracił teraz także i syna.

Chrzękając, ojciec Milana wyzwolił się z jego objęć.

– No dobrze, skoro zostało już niezbitie udowodnione, jaki ze mnie sentymentalny dureń, pozostaje jedno pytanie: Dlaczego tak późno i nagle mnie nachodzisz? Jeśli chcesz się czegoś napić, to muszę cię zmartwić. Alkohol się skończył.

Usiedli. Milan na kanapie, a jego ojciec zajął miejsce w ulubionym fotelu, wielkim monstrum w kratkę z dopasowanym kolorystycznie podnóżkiem.

– Chciałbym się czegoś od ciebie dowiedzieć. Tylko proszę cię, bądź ze mną szczery.

– Mów śmiało.

– Co ci to przypomina? – Milan podał mu zdjęcie porwanej dziewczynki,



które znalazł w willi.

– Kto to jest?

– Spójrz na odwrotną stronę.

Kurt poruszył sceptycznie kącikiem ust, ale zrobił to, czego Milan sobie życzył.

– „Zoe, lato nad morzem” – przeczytał na głos.

– Chodzi o to, co jest pod spodem.

– O cholera! – Oczy Kurta powiększyły się ze zdumienia. – Skąd to masz?

Milan wzruszył ramionami. Od którego miejsca miał zacząć?

– Zobaczyłem tę dziewczynkę po raz pierwszy dzisiaj. Została uprowadzona.

Wydawało się, że oczy ojca wyskoczą z orbit.

– Co też ty mówisz, chłopcze?

Milan przedstawił mu krótki zarys tajemniczych wydarzeń, poczynawszy od kartki przyciśniętej do szyby, a skończywszy na telefonie z żądaniem okupu.

– Ile zażądał? – Ciało Kurta przypominało teraz Milanowi sprężynę, napiętą do granic możliwości. Jeszcze jeden ujawniony fakt i jego ojciec pęknie.

– Sto sześćdziesiąt dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt sześć euro i czterdzieści dwa centy.

Milan miał wrażenie, że jego ojciec jeszcze zbladł, gdy usłyszał tę absurdalnie wysoką i równie absurdalnie nierówną sumę.

– Za dziewczynkę, której nawet nie znasz?

– Tak właśnie.

Kurt ponownie rzucił okiem na przód fotografii.

– Jak stare jest to zdjęcie?

– Nie starsze niż dwa lata – ocenił Milan. Nie było zrobione zbyt dawno, jeśli dobrze zapamiętał obraz dziewczynki w samochodzie.

– Ale jak to możliwe?

– A więc też to widzisz. – Milan pochylił się w stronę ojca.

Kurt skinął głową. Jego wargi zadrżały, zanim spytał syna:

– To wasz tajny język, którego wtedy używaliście, prawda?

R6A2W21L1-3A1W4L3W14L9W12L1W9L1

Milan pomyślał o swojej pierwszej miłości. O Yvonne, dziewczynie o blond włosach z Binz, która była zaprzeczeniem klasycznego ideału piękna, a która mimo to posiadała wielką siłę przyciągania połączoną dziwnym trafem z wyluzowaną ekscentrycznością. Nieumalowana, niewystylizowana, niespecjalnie ubrana była zupełnie inna niż te wszystkie inne „zwyczajne” dziewczyny w klasie, które obcisłymi dżinsami i dużymi dekolami próbowały zwrócić na siebie uwagę. Była niższa od pozostałych, a mimo to jego zdaniem wyróżniała się nawet w tłumie zebranych na przeludnionym podwórku szkolnym. Przede wszystkim pociągały go jej oczy. Jej duże, mądre oczy, turkusowe jak woda na przylądku Arkona, w których przy każdym spotkaniu malowało się odczucie, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu, a mimo to za każdym razem odkrywała w nim coś nowego. Jeszcze po latach, gdy smak gumy do żucia przeniósł go nagle o całe lata świetlne wstecz i przypomniał mu o dzikim obściskiwaniu się w koszu plażowym, wciąż się zapytywał, dlaczego tak się zatracił w tej outsiderce. Być może dlatego, że Yvonne należała do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy nie definiowali się przez to, co świat w nich widział. Tylko przez to, jak sami postrzegali świat. A był on pełen tajemnic i zagadek, które należało rozwiązać lub samemu stworzyć.

*Tak jak kod.*

– Tajny język Yvonne i mój. No właśnie.

– Ale jak to możliwe? – powtórzył jego ojciec i tym samym zadał pytanie, które kołatało się po głowie Milana, odkąd znalazł tę fotografię w willi.

*Jak to w ogóle możliwe, że jakieś porwane dziecko komunikuje się ze mną tajnym językiem? Tajemnym kodem, który kiedyś wymyśliła pierwsza wielka miłość mojego życia? I jaki da się odczytać tylko za pomocą książki, którą całe lata temu setki kilometrów od Berlina ukradłem ze szkolnej biblioteki na Rugii?*

**I** jak zareagował?

– Nie całkiem tak, jak przewidywałam. – Andra przygryzła dolną wargę, a jej wzrok powędrował po pustym biurku, za którym siedział Lampert. Żadnych dokumentów, rachunków, książek. Nic, nawet ołówek. Nigdy nie widziała, aby kierownik firmy kiedykolwiek pracował przy swoim biurku. Podobnie jak podczas rozmowy wstępnej stało na nim tylko oprawione w ramki zdjęcie jego zmarłej żony, a Lampert co jakiś czas posyłał w stronę fotografii smutne spojrzenie.

Jak zawsze, gdy odwiedzała swego szefa tu na dole, miała niepokojące wrażenie, jakby biuro w suterenie zmieniało ją psychicznie. Pomieszczenie to było przy tym urządzone prosto i zupełnie niespektakularnie, wyposażone jedynie w funkcjonalne meble. Brązowe biurko, czarny fotel, dopasowany do niego komplet wypoczynkowy. W oczy rzucała się tylko wisząca na ścianie, oprawiona fotografia autorstwa von Hassela, utrzymana w odcieniach brązu i przedstawiająca fasadę restauracji w Los Angeles. Fotografia i oczywiście sam Lampert, którego w jego królestwie nikt nie odważał się nazywać Hulkiem. Nawet Milan, choć to przydomek tu w dole wcale nie byłoby odbierane ironicznie. Bo za swoim biurkiem z marketu budowlanego Lampert ani trochę nie sprawiał wrażenia małego i zasuszonego. Wprawdzie zielona koszula wciąż łopotała wokół jego kościstych ramion, ale wyglądało tak, jakby tu rósł i stawał się silniejszy. Podczas gdy w restauracji miało się często wrażenie, że stoi się koło dziecka, tu w dole promieniował taką osobowością i takim autorytetem,

jakich inni szefowie nie byli w stanie wytworzyć za pomocą wizytówek ze złotymi ramkami, broniących dostępu sekretarek i narożnych gabinetów z widokiem na Bramę Brandenburską.

– To znaczy Milan był oczywiście zmieszany – uzupełniła Andra. Zamrugła, bo choć Lampert ze względu na nią nie zapalił, wydawało się jej, że w oczy drapie ją dym ostatniego papierosa. – Ale nie tak bardzo z powodu profesora.

– Tylko? – Lampert uśmiechnął się, by dodać jej odwagi, co wcale nie ułatwiało sprawy. Choć mógł być nie wiem jak miły tu w dole, w swoim królestwie, ona zawsze czuła się jak szkolny rozrabiaka, który został wezwany do gabinetu dyrektora. Zapewne wynikało to z ich pierwszego spotkania w tym pokoju. Wtedy przedstawił jej propozycję, jak mogłaby odkupić swoje winy.

– Coś się zdarzyło. Coś, czego nie przewidzieliśmy. – Opowiedziała Lampertowi o incydencie z dziewczynką w samochodzie i wizycie w pustej willi.

– I chcesz zbadać tę sprawę? – zapytał niespodziewanie rozmowny Lampert. Kolejna zmiana. Poza jego biurem trudno było doświadczyć, aby wypowiedział choćby jedno pełne zdanie, nie mówiąc już o prowadzeniu rozmowy. – Wiesz o tym, że wciąż mam wątpliwości, czy Milan jest właściwym kandydatem – stwierdził i potarł się po źle ogolonym podbródku.

Andra skinęła głową. To ona wybrała Milana, to ona się za nim wstawiła. A gdy zaczęło się coś między nimi, złamała reguły.

– Mamy na niego oko już od lat. Co będzie, jeśli stracimy nad wszystkim kontrolę?

– Tak się nie stanie – odpowiedziała, choć nie była już tego taka pewna.

Lampert przypatrzył jej się uważnie, po czym schylił się do sejfu, który był umieszczony w biurku.

– To jaki jest twój plan?

– Nie mam pojęcia. Mam go odebrać od ojca.

– No dobrze. – Lampert westchnął. – Masz trzy dni. Miej oko na Milana. Będę tymczasem uważać na twoją córkę.

Wyjął z sejfu zwitek banknotów, nową, zapewne trudną do namierzenia

komórkę z kartą typu prepaid i pistolet.

– Trzymaj.

Andra zgarnęła wszystko, nie stawiając pytań. Także broń ze srebrną, lśniąca lufą. Wiedziała, jak się nią posłużyć, gdyby miało się zrobić naprawdę gorąco.

Czego się niestety należało spodziewać.

– Ach, jeszcze jedno – powiedział Lampert, gdy zapakowała już wszystko do plecaka. Przysunął w jej kierunku opakowanie pigułek. „Prezent”, który przyniósł staruszek i które Milan wcześniej wyrzucił do śmieci.

– Zatrósz się o to, aby codziennie przyjmował jedną.

# 18

## Milan

**M**ilan otworzył pudło na kapelusze, którego pokryta aksamitem powierzchnia w ciągu lat spędzonych w szafie ubraniowej Kurta popękała i stała się jeszcze bledsza. Prawie tak jak skóra na grzbiecie dłoni jego ojca.

Gdy Milan zdjął pokrywę, natychmiast poczuł woń dymu. Ogień oszczędził gabinet Kurta, ale dym wniknął w każdą szczelinę i do dziś był wyczuwalny w przedmiotach, które zabrali ze sobą po przeprowadzce do Berlina.

Jako pierwszy rzucił się Milanowi w oczy wieniec z pomalowanych szyszek, który przyciskał kartki z rysunkami.

Jego rodzice przez całe lata wypełniali to pudło na kapelusze pamiątkami z dzieciństwa Milana. Malutkie buciki dziecięce, pierwsze niezdarne rysunki, odznaki pływackie, puchary sportowe, zaproszenia na urodziny, kasetka z mleczakami. Zatrzymał się na chwilę nad ręcznie namalowaną pocztówką, którą wysłał swojemu dziadkowi Wilhelmowi z obozu letniego. Bez tekstu, tylko z narysowanym ludzikiem, który ponuro gapił się na wznoszące się przed nim wzgórze. Milan chciał przez to wyrazić, jak bardzo nienawidził wędrowek ze swoją klasą.

Nie miał wówczas adresu Willy'ego, a Kurt, który zawsze starał się ograniczać do minimum kontakty między wnukiem a dziadkiem, nie przesłał kartki dalej. „To psychopata czystej wody” – zwierzył się kiedyś Milanowi, w jednej z tych rzadkich chwil, w których opowiadał o swoim ojcu. „Codziennie kontrolował moje prace domowe. Jeśli zrobiłem choć jeden błąd, zabierał mi coś, by to zniszczyć. Słodczyce albo jakąś zabawkę.

Kiedyś, gdy wróciłem do domu z pałą z matematyki, wyciągnął z klatki mojego królika i złamał mu kark”.

Milan nie mógł uwierzyć w tę potworną historię, bo podczas rzadkich spotkań rodzinnych, zwykle odbywanych w okolicach Bożego Narodzenia, Willy był zawsze czułym, wyrozumiałym dziadkiem, który głaskał go po głowie, przytulał do siebie i nie zważając na ponure miny rodziców Milana, szeptał mu do ucha na pożegnanie głosem przesyconym ciężkim od ajerkoniaku oddechem: „Nie daj się nikomu zwieść. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny”.

Odłożył na bok kartkę, której Willy aż do końca życia nigdy nie ujrzał na oczy, i skoncentrował się na tym, po co właściwie tu przyszedł.

*Na książce!*

– Przechowałeś ją! – stwierdził Milan z zadowoleniem. Stała pionowo z brzegu pudła, zawinięta w papier śniadaniowy. Położył książkę na stole, przy którym usiedli.

Ostrożnie przesunął palcem po wytłoczonych literach, które wybijały się na tle szarej, pozbawionej ilustracji okładki.

– *Prezent* – przeczytał ojciec, choć Milan oczywiście znał tytuł.

Yvonne często mu czytała tę książkę. Umiał nawet na pamięć tekst zamieszczony z tyłu okładki: „Fascynujące przygody dwójki dzieci, które wynalazły własny tajny język. Bo nikt nie może się dowiedzieć, jakimi tajemniczymi talentami zostały one obdarzone”.

– Czy dziewczynka w książce także nie nazywała się Zoe?

Milan skinął głową. Z tego właśnie powodu tak gwałtownie zareagował na imię porwanej dziewczynki, które było napisane na odwrocie fotografii. W książce główna bohaterka sama się tak nazwała, bo nienawidziła swojego prawdziwego imienia. Poza tym piękne wydawało jej się wywodzące się ze starożytnej greki znaczenie imienia Zoe: „Prosty fakt życia, wspólny wszystkim istotom żywym”.

Yvonne i Milan często rozmawiali o tym, co może to oznaczać. Podczas gdy Yvonne opowiadała się za miłością, on wcale nie miał pewności, czy to aby nie dokładnie przeciwne uczucie łączy wszystkie ludzkie dusze.

– R6A2W21L1-3A1W4L3W14L9W12L1W9L1 – upewnił się ojciec Milana, spoglądając raz jeszcze na tył zdjęcia dziewczynki nad jeziorem, po

czym otworzył książkę na stronie 76.

Klucz do kodu był bardzo prosty, nawet dla analfabety takiego jak Milan, który tylko z najwyższym trudem był w stanie rozróżnić poszczególne litery i cyfry. R oznaczało rozdział, A to akapit, W był to wyraz w danym akapicie, L zaś symbolizowało literę (lub litery) w danym wyrazie. Liczby mówiły, ile akapitów, wyrazów lub liter należało za każdym razem odliczyć.

Kurt kiwał głową, zapisując ołówkiem w notesie pierwsze litery, które odpowiadały informacji zaszyfrowanej na odwrocie zdjęcia.

J

A

– Ty i Yvonne naśladowaliście w swych zabawach tę książkę. Było to takie śliczne.

– Nie całą książkę. Używaliśmy tylko pochodzącego z niej szyfru.

To był pomysł Yvonne, a Milan oczywiście nie odważył się jej powiedzieć, że książka w jego rękach jest raczej bezużytecznym przedmiotem. Jego przyjaciółka wręcz zakochała się w pomysle, że oboje dzięki identycznemu wydaniu tej samej książki przygodowej będą mieli w rękach klucz do swych tajnych wiadomości miłosnych. W ten właśnie sposób bowiem porozumiewali się młodzi bohaterowie *Prezentu*. Milan skombinował więc książkę ze szkolnej biblioteki i prawie został przyłapany przez swoją wychowawczynię.

– Za każdym razem gdy Yvonne zostawiała ci zaszyfrowaną kartkę wetkniętą pod szkolną ławkę, ledwo mogłeś się doczekać, aż wrócisz do domu. Mama pomagała ci odczytywać wiadomości.

Milan spojrzał na ojca.

– Naprawdę tak było, tato?

Kurt przerwał sporządzanie notatki. Wyglądało na to, że prawdopodobnie rozszyfrował już cztery znaki tego szyfru. Milan jeszcze nie mógł stwierdzić, czy miały one jakiś sens.

– Co masz na myśli?

– Niczego takiego sobie nie przypominam, tato. Wiem tylko, że spędziłem nad tą książką godziny, ale...

– Ale co?



– Czy ja umiałem czytać?

Ojciec zmrużył oczy i zlustrował go sponad brzegu wyimaginowanych okularów do czytania.

– Czy był taki czas, kiedy to umiałem?

Gdy dawniej myślał o czasie spędzonym na Rugii, było to tak, jakby w swoich wspomnieniach gapił się na nierówną tapetę strukturalną. Po pewnym czasie z przypadkowego wzoru zaczynają się wtedy wyłaniać grafiki, formy i symbole. Obrazy, które można rozpoznać tylko dzięki sporej dawce fantazji i które nikną ze świadomości przy najmniejszym poruszeniu głowy. Sceny, co do których po krótkim czasie nie ma się najmniejszej pewności, czy się je kiedykolwiek widziało.

Milan nie był pewien, czy sobie rzeczywiście o tym przypominał, że kiedyś potrafił odczytać więcej niż pojedyncze słowa i litery. Miał tylko jakieś niejasne przeczucia.

– Czy umiałem czytać? – powtórzył z naciskiem.

– Nie. – Ojciec pokręcił głową. – W każdym razie nie prawidłowo.

– Co to ma znaczyć?

– Od zawsze miałeś kłopoty z czytaniem. Potrzebowałeś godzin, aby odszyfrować znaczenie jednego zdania. Po wypadku było tylko gorzej.

*Aby nie powiedzieć beznadziejnie.* Milan złapał się za głowę w miejscu, gdzie wciąż mógł wyczuć guza, którego zawdzięczał Andrzej.

– Miałem dziś po południu dziwną wizytę w restauracji. Sądzę, że to ten mężczyzna, który dowiadywał się o mnie u ciebie.

– Czego chciał?

– Dał mi pudełko pigułek i powiedział, że jeśli będę codziennie zażywał jedną tabletkę, *znów* będę umiał czytać.

– A więc to był jakiś świr.

– Świr, który wiedział, że jestem analfabetą.

Kurt wzruszył chudymi ramionami.

– Równie trudno mi to wytłumaczyć jak historię z porwaniem. Myślisz, że to się ze sobą jakoś łączy?

– Nie mam pojęcia. Ale odpowiedz mi, proszę, na moje pytanie.

Kurt westchnął i odłożył ołówek.

– Nie, nigdy nie umiałeś tak naprawdę czytać. Twoja mama i ja robiliśmy

sobie wielkie wyrzuty, że nie posłaliśmy cię wcześniej na badania. Powinno było nas to zaintrygować, gdy twoja wychowawczyni w przedszkolu stwierdziła, że należałoby pójść z tobą do okulisty, bo masz trudności z literami. – Ojciec zaśmiał się ponuro. – Gdybyś nam wtedy w piątej klasie nie zaufała, niczego byśmy nie zauważyli. Udało ci się prześlizgnąć aż tak daleko.

Milan skinął głową. Był już wtedy całkiem niezłym oszustem. Dawał kolegom pieniądze, aby odrabiali za niego prace domowe. Prac klasowych oczywiście nie był w stanie napisać, ale nawet jeśli z jakiegoś przedmiotu z odpowiedzi pisemnych miał jedynki, to z odpowiedzi ustnych dostawał piątki i jakoś przechodził z trójką do następnej klasy.

– A więc nie, nie umiałeś tak naprawdę czytać, chłopcze. I obawiam się, że nie ma cudownego lekarstwa, które mogłoby to odmienić. Nie wystarczy niestety nawet twoja silna wola.

*Aleksja.*

Tak brzmiała diagnoza neurologów, postawiona już po przeprowadzce do Berlina po niezliczonych badaniach krwi, wzroku i mózgu w berlińskim szpitalu Charité<sup>6</sup>. Jego mózg był źle okablowany. Brakowało biochemicznych mostów pomiędzy poszczególnymi ośrodkami mowy. Bez względu na to, jak bardzo by się starał, z kilkoma nielicznymi wyjątkami nigdy nie nauczył się czytać, rozpoznawać w słowach i zdaniach coś więcej niż tylko bezsensowną zbitkę liter.

*A mimo to.*

– Czasem mam dziwny sen, tato. Znów jestem dzieckiem i stoję na korytarzu naszego domu na Rugii, a wszędzie dookoła jest dym.

– O nie – jęknął jego ojciec, który tymczasem znów zabrał się do rozszyfrowywania kodu i kartkował książkę.

– A przed moim pokojem ktoś stoi. Nie widzę, kto to, ale ta postać mnie przeprasza. I płacze. I wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze, co sprawia, że zawsze budzę się z głośnym krzykiem? To nie ból płomieni ani dym w płucach, ani też strach przed schodami do piwnicy, po których za chwilę spadnę, gdy wokół mnie zrobi się nieznośnie gorąco. Widzę koszulkę tej postaci. I potrafię *przezczytać*, co na niej jest napisane.

– Co? – spytał Kurt, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Zmienia się to od snu do snu. Czasem jest to tylko jedno słowo, a czasem całe zdanie, jak „Przykro mi” lub „Nie chciałem tego”. – Milan aż się wzdrygnął. – Ale nie rozumiesz? Nie chodzi o teksty na T-shircie. Chodzi o fakt, że w moich snach potrafię czytać!

Kurt podniósł głowę i spojrzał na Milana. Na jego oczach położył się smutny cień.

– To niemożliwe.

– Wiem.

Ojciec potrząsnął głową.

– Mówię o tym. – Stuknął palcem w arkusz papieru, na którym widniało pod sobą siedem liter. Kurt skończył swoją pracę.

– Co tu jest napisane?

Łamiącym się głosem ojciec odczytał mu to, co za pomocą książki odszyfrował na podstawie ciągu liter i znaków na odwrocie fotografii. Było to jedno słowo.

Milan wciągnął powietrze do płuc i wypuścił je dopiero po dłuższej chwili. Później powiedział:

– To tylko udowadnia, że to był rzeczywiście szyfr.

Kurt skinął głową. Kartka w jego dłoniach drżała.

– Ale ta wiadomość, chłopcze. Jest straszna. Naprawdę straszna.

– Wiem.

– Na twoim miejscu bym ją zignorował. Coś mi się tu bardzo, ale to bardzo nie podoba.

– Racja – zgodził się z nim Milan.

*Najpierw dziewczynka i jej wołanie o pomoc w samochodzie. Potem opuszczona willa. Szantażysta. Niedorzeczna suma okupu. A teraz ta wiadomość. Odcyfrowana za pomocą dawnego dziecięcego szyfru.*

– Ale nie posłuchasz się swojego starego, prawda? Udasz się w drogę. Mam rację?

Milan spojrzał w stare, zmęczone oczy ojca, po czym wstał, przycisnął go do siebie i pocałował go na pożegnanie w czoło.

Kurt westchnął smutno.

– To weź chociaż przynajmniej to, chłopcze. – Wysupłał portfel z kieszeni spodni i na pożegnanie wcisnął go Milanowi do ręki.

– Mam dość pieniędzy – chciał się sprzeciwić Milan, ale ojciec nie pozwolił na to, żeby oddał mu portmonetkę.

– Prawie nic tam w środku nie ma. Potraktuj to raczej jako prezent na szczęście. Bo tam, dokąd się udajesz, z pewnością będziesz potrzebować szczęścia.

# 19

**J**asmund?

– Tak.

– I odszyfrowałeś to za pomocą tego tomiska? – Wskazała na książkę leżącą na kolanach Milana.

– Zgadza się.

– Hm. – Andra nastawiła podgrzewanie siedzeń na najwyższy stopień. W jej mini, w którym czekała przed domem starców, było przytulnie ciepło, ale wydawało jej się, że Milan ma dreszcze. – No i? Znasz kogoś, kto się nazywa Jasmund? – spytała.

– Nie kogoś, tylko coś. To półwysep.

Jechali przez most Spinner w kierunku centrum. Przestało padać, ale wiatr wciąż szarpał jej małym samochodem.

– Gdzie on niby jest?

– Na północnym wschodzie Rugii. To rezerwat przyrody. Jest tam cudownie.

*W zasadzie.*

Słyszac słowo Jasmund, większość ludzi myśli o słynnych na cały świat kredowych skałach, opadających ku turkusowej wodzie, czystej jak na Karaibach, gęstych buczynach otaczających mistyczne jezioro Herthasee, o bagnach i torfowiskach oraz o wszystkim innym, co definiuje ten wpisany na listę światowego dziedzictwa kulturowego krajobraz.

W przypadku Milana do tych obrazów dołączały się jeszcze wspomnienia ognia, dymu i bólu.

*A także śmierci.*

– Mieszkaliśmy tam prawie do moich piętnastych urodzin. W małym

domku we wsi Lohme, rzut kamieniem od szkoły, w zasadzie Zespołu Szkół Arkona. Stała blisko skał, dlatego była nazywana szkołą na klifie.

– Chcesz tam teraz jechać? Na półwysep Jasmund? – Westchnęła, jakby właśnie uświadomiła sobie ten tragiczny związek. – Urowadzona dziewczynka to nie przypadek. Ona ma coś wspólnego z tobą. A ty chcesz teraz jechać na Rugię, by ją odszukać?

Skinął głową.

– Jak długo się tam jedzie?

Milan wskazał na nawigację i postanowił nie odpowiadać na pytania Andry. Nadszedł bowiem czas, aby w końcu coś wyjaśnić.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Andra rzuciła na niego okiem.

– Wiem.

– Nie, nic nie wiesz. Nie wiesz, że... – Zaciął się, więc zaczął od początku: – Jestem...

– ...analfabetą.

– Skąd...? – Zaskoczony obrócił się w jej kierunku na tyle, na ile pozwalała na to ciasnota we wnętrzu małego samochodu.

Pogłaskała go z uśmiechem po kolanie.

– I kto to mówi? A jednak dzisiejsza terapia par u doktor Rosenfels się opłaciła. Dziękuję, że w końcu postanowiłeś być ze mną szczerzy. – Wcisnęła aż do samego końca pedał gazu i wstrzeliła się z prędkością grubo przekraczającą sto kilometrów na godzinę na autostradę miejską.

– Ale... jak... jak na to wpadłeś?

Zbierające się w nim przez całe lata napięcie nagle zelzało, a połączone z tym uczucie wcale nie przypominało ulgi. W każdym razie nie natychmiast. Było to raczej coś w rodzaju skurczu poporodowego, przemożnego echa bólu, które sprawiło, że łzy popłynęły mu z oczu. Dopiero po dłuższej chwili, którą Andra najwidoczniej mu pozostawiła, aby się pozbierał, poczuł, że się odpręży i odzyskuje spokój.

– Proszę cię. Oznaki były aż nadto jednoznaczne – powiedziała.

*No pięknie. To tyle by było na temat mistrza kamuflażu.*

Jego uczucie szczęścia zaczęło na powrót odchodzić.

– Czy Hulk o tym wie?

– To on podpowiedział mi, dlaczego zawsze portretujesz naszych gości.

Milan skrzyżował ręce za zagłówkiem i jęknął.

– Hej, nie martw się tak, on sam jest legastenikiem. Hulk z własnego doświadczenia zna problemy, z którymi musisz się mierzyć. I za grosz nie interesuje go, czy jesteś analfabetą, czy też laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Grunt, że wykonujesz swoją robotę.

– A co z Güntherem?

– Nie mam pojęcia. – Zmieniła pas, bez włączania migacza. – Tak poza tym mnie też to nie przeszkadza, jeśli cię to obchodzi. – Uśmiechnęła się. – O wiele gorsze jest to, że zataiłeś przede mną kobietę, która skradła ci cnotę. Mówiłeś przed chwilą, że jak się ona nazywała?

– Yvonne. – Opowiedział o niej Andrze, gdy go odebrała od ojca, a on wyjaśnił jej znaczenie tajnego szyfru na odwrocie fotografii.

– Czy ta Yvonne wiedziała wtedy, że nie potrafisz czytać?

– Nie.

– Więc jak udawało ci się wtedy wysyłać jej, Romeo, zaszyfrowane listy miłosne?

Wzruszył ramionami, podczas gdy ona błysnęła światłami na zbyt wolno jadące przed nią kombi.

– Kilku rzeczy nauczyłem się na pamięć. R75A55W10-11 na przykład znaczy „kocham cię”.

– A co robiłeś, jeśli przesyłała ci jakieś konkretne pytanie? Na przykład: „Czy chcesz się dzisiaj ze mną przespać, mój przechodzący okres dojrzewania superogierze?”.

– R75A55W10-11 też by wówczas pasowało. – Skrzywił się i machnął ręką. – Tylko się obmacywaliśmy. Do niczego więcej nigdy nie doszło.

Jeszcze teraz, czternaście lat później, odczuwał nieprzyjemne ukłucie, gdy myślał o tym, jak bardzo jej wtedy pożądał, a mimo to do niczego nie doszło, choć Yvonne wydawała się na to całkowicie otwarta.

– No dobrze, a więc wymienialiście się refleksjami o kulturze i sztuce. Zastanawiam się tylko jak.

Milan spojrzął przez boczną szybę na tory kolei podmiejskiej, które biegły przy autostradzie, i spoważniał.

– Szczerze? Naprawdę nie wiem. Sądzę, że pomagała mi mama.

– Co to znaczy „sądzę”?

Pociąg przejechał obok nich przez dzielnicę Grunewald w kierunku nieodległej wieży nadawczej. Oświetlone wagony były prawie puste. Tylko pojedyncze postacie zabłądziły do oddzielnych przedziałów, a sylwetki pasażerów były rozdzielone wielkimi przerwami. Nie inaczej zachowywały się wspomnienia z dzieciństwa przechowywane w pamięci Milana.

– Musisz sobie uświadomić, że przez całe swoje życie coś odgrywam, Andra. Gram przed innymi. Ciągle. Nie chcę być uważany za głupiego, szurniętego lub upośledzonego. Większość ludzi nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest, gdy nie żyje się w świecie pisma. A tymczasem wszystko wokół nas jest światem pisma. Nie mogłem nawet wstąpić do klubu piłkarskiego, bo trzeba było wypełniać formularze meldunkowe i czytać tabele turniejowe. Nie chodziłem na urodziny kolegów, bo nie mogłem odczytać adresów na zaproszeniach. Było to trudne już na Rugii przed moim upadkiem ze schodów, a w Berlinie okazało się to już całkiem niemożliwe. – Wziął głęboki oddech. – Ciągle mistyfikacje, legendy, sztuczki i matactwa. Dla każdego jestem kimś innym. Tak często zmieniałem swoją tożsamość i tak często wypierałem z pamięci nieprzyjemne sytuacje, że sam już nie potrafię powiedzieć, kim tak naprawdę jestem. Które ze wspomnień mojego życia jest realne, a które tylko wymyślone.

– A kim jesteś da mnie?

Uśmiechnął się.

– W tym momencie pasażerem najpiękniejszej taksówkarki w Berlinie.

Skrzywiła się, a on przeprosił, że w jego ustach pojawiło się zakazane słowo „taksówka”. Od dawna już podejrzewał, że jej niechęć nie miała nic wspólnego z zapachami unoszącymi się we wnętrzach pojazdów ani błędzeniem niezających okolicy kierowców, co kosztowało Andrę, jak twierdziła, masę pieniędzy. Obawiał się, że musiała przeżyć w jakiejś taksówce coś o wiele bardziej traumatycznego.

– Możesz mnie wysadzić przy dworcu głównym?

– Zapomnij. Nie zostawię cię przecież samego. – Puknęła się w głowę. – Wzięłam wolne i powiedziałam Hulkowi, że jesteś chory. Jest wściekły jak diabli, ale jakoś się z tym pogodzi. Po prostu trochę sam będzie musiał



popracować na sali. A Louisa prześpi się u Cherry.

Przez pewien czas jechali w milczeniu w kierunku wieży nadawczej.

– Dlaczego to dla mnie robisz? – spytał Milan z wdzięcznością.

Andra posłała mu kolejny płynący z serca uśmiech.

– Nasza terapeutka powiedziała, że w przypadku problemów trzeba szukać bliskości partnera. Poza tym jak chciałbyś odszyfrować następne wiadomości bez mojej pomocy? À propos. Jednego nie rozumiem.

– Tylko jednego?

Minęli trybuny toru AVUS i pojechali dalej na północ.

– Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego pierwsza prośba o pomoc Zoe została wyrażona otwartym tekstem, a kolejne przesłanie było zaszyfrowane?

Zastanowił się chwilę.

– Ten cały Jakob powiedział, że jeździli bez celu po okolicy. Sprawa dotknęła przypadkiem mnie, bo byłem jedynym, który zareagował na tę kartkę.

– A więc on i jego partnerka zmusili dziewczynkę, aby trzymała kartkę przy oknie.

– Tak się wydaje.

– Natomiast tę wiadomość na fotografii w willi Zoe sama potajemnie ukryła? – Po chwili Andra sama sobie udzieliła odpowiedzi na to pytanie, kręcąc głową tak energicznie, że popsowała jej się fryzura. – Nieee. To nie pasuje do tezy, że byłeś całkowicie przypadkową ofiarą szantażu.

Milan skinął głową, choć konsekwencje jej przemyśleń nie bardzo mu się podobały.

– Pytanie zatem brzmi: Skąd dziewczynka zna ten szyfr? – mruknął, wyłączając podgrzewanie siedzeń. W końcu zrobiło mu się ciepło.

*I dlaczego nosi imię bohaterki tej książki?*

To także nie mogło być kwestią przypadku. A może? W krajach anglosaskich i w Grecji to imię było przecież bardzo rozpowszechnione.

– Gdzie mieszka obecnie Yvonne? – spytała Andra.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Po przeprowadzce do Berlina Milan zerwał wszelkie więzy łączące go z przeszłością. W istocie śmiercionośny ogień w domu spalił wszystkie mosty

wiodące do jego dzieciństwa.

W nocy, w której zginęła jego matka, Milanowi prawie udało się dostać do drzwi, jednak w gęstym dymie pomylił wyjście ze schodami prowadzącymi do piwnicy. Spadł po kamiennych stopniach na dół, gdzie strażacy znaleźli go nieprzytomnego i ze złamaną czaszką, po czym wynieśli z budynku. Dwa razy trzeba było operować mu głowę. Aż cud, że po „przywitaniu” przez Andrę w amerykańskiej restauracji stare rany znów się nie otworzyły. Najwyraźniej kolejny raz więcej szczęścia niż rozumu.

– Kto jeszcze znał wasz szyfr? – dopytywała się Andra.

– Opowiedziałem wówczas o tym mojej matce. No i ojcu. Z kim Yvonne o tym gadała, tego już nie wiem.

– No tak, jakoś musiało to dotrzeć do uszu tego Jakoba. – Przykręciła ogrzewanie i poluzowała szal w kolorowe plamy, który zwisał z jej szyi jak naszyjnik.

– Myślisz więc, że te wiadomości nie pochodzą od Zoe?

*Kartka na szybie. Szyfr na odwrocie fotografii.*

– Trudno mi w to uwierzyć. Sądzę raczej, że oni cię wabią w pułapkę, Milan. Ta porwana dziewczynka jest tylko środkiem użytym w tym celu.

Komórka w kieszeni jego spodni zaczęła wibrować. Gdy ją wyciągnął, oblał go zimny pot.

– W jakim celu? – zapytał, gapiąc się na wyświetlacz.

Przypominał sobie takie słowo. Takie następstwo liter.

## NYMEP NIEPOZIOZNANI

– Tego właśnie należy się dowiedzieć – stwierdziła Andra.

Zupełnie jakby jej słowa były poleceniem, odebrał telefon od Jakoba.

## 20

**Jakob**

Odbiera pan po pierwszym dzwonku. Bardzo się to chwali. – Jakob dał Zoe znak, by się nie odzywała i nie poruszała.

Siedziała na dolnej części piętrowego łóżka w tylnej części przyczepy kempingowej i ssała zraniony kciuk.

*Jak małe dziecko.*

– Czego pan chce? – usłyszał pytanie Milana, nieco zbyt pewnego siebie jak na jego gust.

Szara, nieprzepuszczająca światła plisowana żaluzja, którą przymocował do okna, była od dołu nieco uchylona. Choć było całkowicie niemożliwe, by ktoś z zewnątrz dostrzegł cokolwiek w środku przyczepy, ściągnął żaluzję na sam dół.

Potem usiadł na wyściełanej ławce obok zapaskudzonego miniaturowego zlewu, w którym woda kapała jeszcze skąpiej niż w toalecie obok wejścia.

– Wciąż chcę stu sześćdziesięciu dwóch tysięcy trzystu sześćdziesięciu sześciu euro i czterdziestu dwóch centów. Czy zorganizował już pan pieniądze?

– Czy możemy wreszcie skończyć z tą bzdurą?

*Oho, co się stało?* Facet nie tylko zyskał pewność siebie, ale też najwyraźniej zrobił się skory do bójki.

– Jestem kelnerem w restauracji. Zarabiam pieniądze, podając burgery i T-bone steki. Nie na funduszach inwestycyjnych lub handlu bronią. Skąd więc mam wziąć taką kupę forsy?

– Wcale pan nie musi, Milan. Może pan pozwolić dziewczynce umrzeć.

Pański wybór.

– Skończmy z tą bzdurą. Kim jest ta mała? Co ja mam z nią wspólnego? I proszę mi znów nie opowiadać o przypadku. Dlaczego to ja zostałem wybrany?

*O wiele zbyt pewny siebie.*

Jakob spojrział na swoją rękę, w której trzymał teraz wiertarkę akumulatorową. Wziął ją ze sobą, wybierając się do Zoe, zamiast zszywacza pneumatycznego.

– Jak pan wpadł na to, że został pan wybrany?

– Znalazłem wiadomość.

Jakob poczuł na plecach mrowienie przypominające wyładowanie elektryczne.

– Jak to się stało? – spytał nieco zaniepokojony, jak musiał przyznać sam przed sobą.

– Na fotografii Zoe nad jeziorem. Zdjęcie leżało obok telefonu w willi. Co tu jest grane?

*Sam bym chciał to wiedzieć.*

Jakob spojrział na Zoe, a jego wzrok się zachmurzył.

– Co ty narobiłaś? – wysyczał.

Wstał, podszedł do łóżka Zoe i złapał za plecak, który położyła na poduszce. Na krótko przed odjazdem przejrzał go, szukając telefonu komórkowego, nożyczek, pilnika do paznokci i innych rzeczy, które mogłyby być dla nich niebezpieczne. Teraz na nowo wysypał jego zawartość na pełną wypalonych dziur wykładzinę podłogową.

Samą przyczepę kempingową dokładnie przeszukał już przed kilkoma dniami i usunął z niej wtedy wszystkie sztucce, butlę z gazem, liny, zapalki, radio, latarkę, a nawet środki czyszczące. Również w torebce Zoe, której zawartość przesuwał teraz stopą po podłodze, nie było niczego, co by mogło posłużyć podczas próby ucieczki czy do wzywania pomocy. Żadnej komórki, konsoli do gier czy opaski fitness. Tylko ogryzek ołówka, kredka do brwi, grzebień, parę drobnych, bilet miesięczny, różowa portmonetka z błyszczącymi kamyczkami i ta stara książka, którą dzień i noc kartkowała. *Prezent* – co za nudny tytuł! Kiedy jednak Zoe ją czytała, była przynajmniej spokojna, a książki trudno użyć w charakterze broni.

Na wszelki wypadek Jakob zabrał jej ołówek i kredkę do brwi, po czym otworzył portmonetkę i przejrzał banknoty.

*Pusto.*

– Gdzie to jest? – zapytał.

Zoe odsunęła się od niego i wczołgała w najdalszy kąt piętrowego łóżka. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Cała drżała, spocona, ale wciąż posłusznie nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Nawet jeśli przypuszczalnie dobrze wiedziała, że nie odsunie to od niej bólu, który jej za chwilę zada.

Jakob wciąż trzymał komórkę przy uchu, ignorując powtarzające się pytania Milana, który musiał się dziwić, czemu szantażysta nagle zaczął szeptać z inną osobą, zamiast dalej prowadzić z nim rozmowę.

– Gdzie jest zdjęcie? – zapytał Jakob, tak wściekły, jak nie był już od dawna.

To było szczęśliwe zdjęcie Zoe. Jej talizman. Trzymała je zawsze w przegródce portmonetki, włożone w dopasowaną przezroczystą obwolutę. A teraz go nie było.

*Ten przeklęty skurwysyn powiedział prawdę!*

Zoe sobie z nich zakpiła, tak było, choć teraz siedziała i energicznie kręciła blond głową. Naraziła całą akcją na niebezpieczeństwo.

*I musi za to zapłacić.*

Bardzo chętnie by się dowiedział, co za wiadomość ta dziwka zostawiła Milanowi na fotografii, ale tym samym musiałyby przyznać, że sprawy wymknęły mu się spod kontroli.

Pięść Jakoba zacisnęła się z wściekłością na wiertarce.

– Okej, Milan. A więc wątpi pan, że mówimy poważnie? – spytał i chwycił Zoe za stopy. Szarpnął ją tak mocno, że ledwo zdążyła krzyknąć, nim ściągnął ją z łóżka na podłogę. – Myśli pan, że tak sobie tu tylko żartujemy? – Pociągnął Zoe do siebie za włosy i podniósł w górę, po czym uderzył wiertarką w twarz, tak że w jednej chwili ją zamroczyło i stała się bezbronna. Włączył wiertarkę, której grot kręcił się teraz z małą prędkością. – Pięknie. Zatem proszę mi wyświadczyć tę uprzejmość i odwiedzić parking Eldetal Ost. Toaleta dla niepełnosprawnych.

– Co tam znajdę? – usłyszał pytanie Milana. Jego głos nie był już tak

pewny siebie jak na początku rozmowy.

– Kolejną wskazówkę. – Jakob się uśmiechnął, podkręcił o trzy stopnie obroty wiertarki i przerwał połączenie w środku bulgoczącego krzyku Zoe.

# 21

Milan

**C**o ci jest?

Milan chwycił za pasy, które nagle zaczęły zbyt mocno opinać jego ciało, i odsunął je od piersi.

– Chyba popełniłem błąd – powiedział bezdźwięcznie, wciąż patrząc na wygaszony wyświetlacz telefonu, w którym odbijała się jego zmęczona twarz. Wychudzona i nieogolona.

– Co on powiedział? – Głos Andry był łagodny, w przeciwieństwie do głosu Jakoba.

– Brzmiał jak ktoś całkowicie zaskoczony. Jakby rzeczywiście nic nie wiedział o wiadomości. – Podniósł głowę i spojrzał na Andrę. – Jeśli to prawda, to naraziłem tę dziewczynkę na wielkie niebezpieczeństwo.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Nie słyszałaś go. I nie słyszałaś jej.

Zoe.

– Niestety tak. – Ręce Andry zacisnęły się na kierownicy, tak jakby utrzymanie samochodu na pasie wymagało wysiłku całego ciała. – Słyszałam jej krzyki.

Po chwili spytała go, czy chciałby wpaść do domu. Dopiero wtedy Milan zobaczył, że zbliżali się do zjazdu Spandauer Damm, oddalonego tylko o kwadrans od mieszkania Andry w dzielnicy Moabit. Pokręcił głową, a kiedy mijali zjazd, powiedział:

– O tym właśnie Jakob z nią rozmawiał. Na początku tylko szeptał zdania typu: „Co ty narobiłaś?” i „Gdzie jest fotografia”.

*Boże, on naprawdę o niczym nie wiedział.*

Zoe musiała zostawić tę wiadomość po kryjomu.

– I co teraz?

Milan spojrział na swój zegarek. Była 21.44.

– Ile jest do parkingu Eldetal Ost?

– A co to ja jestem Google Maps? – Andra uruchomiła nawigację i wstukała adres.

„Autostrada A 19, Eldetal Ost”. Zdaniem komputera na dotarcie tam potrzebowali dokładnie siedemdziesiąt dziewięć minut.

– W takim razie to jest chyba nasz cel – stwierdził Milan i zamknął na chwilę oczy, co okazało się pomyłką. Światła miasta przynajmniej zajmowały jego myśli. Mieszkania w domach, które jakiś sadystyczny urbanista ulokował bezpośrednio przy autostradzie i w których telewizory z płaskimi ekranami migotały wciąż na wyścigi. Tylne światła poprzedzających ich samochodów. Reklamy koncertów w hali Mercedes-Benz-Arena, papierosów elektronicznych i innych rzeczy, na które Milan ani nie mógł sobie pozwolić, ani których nie potrzebował. Lecz teraz, w dobrowolnie przez niego wybranej ciemności, krążące w kółko myśli wytwarzały fluorescencyjne światło jarzące się za zamkniętymi powiekami jak meduzy w głębinach oceanu.

*Dlaczego ja?*

*Kim jest ta dziewczynka?*

*Skąd zna ona szyfr?*

*Co on jej teraz robi?*

– Masz, napij się trochę – usłyszał obok siebie głos Andry. – Inaczej od tego napięcia rozboli cię głowa.

Otworzył oczy i zobaczył mały, srebrny termos, który wyciągnęła nie wiadomo skąd i teraz postawiła pomiędzy siedzeniami. Zakrętka była już odkręcona.

– Co to jest?

– Zimna herbata. Pomaga mi na mdłości podczas jazdy.

Milan, który dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest spragniony, wypił duży łyk, po czym się skrzywił.

– Smakuje raczej tak, jakby to po niej można było dostać mdłości.



Cholera, dlaczego to jest takie gorzkie?

Andra, która prawie przegapiła zjazd na Tegel i w ostatniej sekundzie musiała przekroczyć linię ciągłą, obrzuciła go spojrzeniem mówiącym: „Co za mięczak!”.

– Sorry, ale być może zbyt długo ją parzyłam. Napij się jednak trochę. Imbir jest zdrowy.

– Pomaga tylko na problemy cielesne? Czy też także na koszmary, które stały się rzeczywistością? – spytał Milan i mimo dziwnego smaku opróżnił termos jednym haustem.

## 22

Zoe

**P**róbowała policzyć do dziesięciu. Przy czterech poddała się i zwymiotowała z bólu. Na szczęście w ciasnej przyczepie kempingowej zlew był zawsze pod ręką.

Potem przetrząsnęła górne szafki w poszukiwaniu środka przeciwbólowego. I faktycznie znalazła apteczkę podrózną swojej matki. Plastry, bandaże, krople do nosa, imodium, a nawet paracetamol. Przypuszczalnie ten idiota nie zdawał sobie sprawy, że dzięki czemuś takiemu można odebrać sobie życie. Może jednak Jakobowi było wszystko jedno i celowo zostawił te tabletki?

*Tak czy inaczej.*

Zoe przekrzywiła głowę i pochyliła się nad zlewem, z którego kranu kapiała skażona pewnie bakteriami woda. Trudno sobie było bowiem wyobrazić, by ktoś w tym gruchocie regularnie dezynfekował zbiornik na wodę. Ona jednak potrzebowała czegoś, aby popić i przełknąć tabletki.

Choć lepszy byłby ibuprofen 800, nie mówiąc już o morfinie.

Starła się, aby jej ręka nie weszła w kontakt z wodą. Zoe nie miała pojęcia, ile czasu minęło od ostatniego szczepienia. Jej system odpornościowy raczej nie był zbyt dobrze przygotowany na bitwę, którą bakterie za chwilę wypowiedzą jej lewej dłoni.

Minęły dwie godziny, nim Jakob uporał się z jej palcem serdecznym.

Dwie godziny liczone czasem bólu. W zwykłych jednostkach czasu trwało to może tylko dwa oddechy, nim wiertarką elektryczną przeciął jej kości.

- Metalowa zszywka pod paznokciem prawego kciuka,
- tylko cztery palce w lewej dłoni.

Taki był bilans tortur tego podłego dnia.

Gdy już przekroczyła Rubikon bólu i straciła świadomość, Jakob okazał się na tyle przewidujący, że obwiązał kikut bandażem. Tak mocno, że krew nie przesiąkała przez materiał.

*Jeszcze nie.*

Zoe odeszła od umywalki, podniosła w górę rękę z pulsującą na końcu resztką dłoni i poczuła, jak ponownie wzbiera w niej wywołująca mdłości ciemność.

*Na szczęście* – pomyślała i zachichotała przy tym histerycznie, bo „szczęście” w zasadzie powinno być ostatnim słowem, jakie mogło jej w tym momencie przyjść do głowy. *Na szczęście już wcześniej przygotowałam następną wiadomość.*

Przy czym była to tylko połowa prawdy, *tak jak pół palca w mojej dłoni.*

Myśli zaczęły jej błędzić, więc musiała się ugryźć w język, aby się skoncentrować. Krople potu z jej czoła padały jak deszcz na blat roboczy aneksu kuchennego.

*Cholera!*

Wprawdzie już wcześniej, gdy była jeszcze w stanie to zrobić, wyszukała odpowiednie numery rozdziałów i akapitów w książce. Aby jednak przekazać zaszyfrowaną wiadomość Milanowi, potrzebowała teraz ołówek lub kredki. Oraz papieru.

A także okazji, aby pozostawić wiadomość, na którą będzie się musiał natknąć.

*To niemożliwe.*

Przy tym wszystkim знаła nawet miejsce, które będzie musiał odwiedzić jej zbawca: toaletę dla niepełnosprawnych położoną właśnie na tym parkingu. A przyczepa kempingowa jeszcze stąd nie odjechała.

Ale znajdująca się na zewnątrz toaleta była dla niej w równym stopniu osiągalna jak Mars dla jętki jednodniówki.

Wyczerpana usiadła na ławce.

Nigdy już stąd nie wyjdzie.

Jakob i Lynn wykonali już całą pracę.

Uwięzili ją. Torturowali ją. I zapewne pozbędą się jej jak śmiecia gdzieś przy autostradzie. I po co to wszystko?

*Dla pieniędzy?*

Zoe doznała natchnienia, naszła ją jasna myśl, która wcześniej tkwiła zagrzebana gdzieś wśród lotnych piasków jej świadomości i teraz została odkopana przez falę bólu.

*Nie chodzi o pieniądze. Nie taki jest plan.*

*Ale o co w takim razie?*

Co kieruje Lynn, że tak manipuluje Jakobem, aby wykonał za nią całą czarną robotę? Aby wykorzystywał ją jako obiekt testowy dla swoich narzędzi dla majsterkowiczów. Aby znęcał się nad ludźmi, szantażował ich, okaleczał, a potem pogwizując pod nosem przez drzwi przyczepki...

Zoe zamarła.

Jej wzrok, nieświadomie podążając za myślami, wędrował po wnętrzu przyczepy. Przemieścił się z łóżka, z którego nagle ściągnął ją Jakob, poprzez ciemno zabarwione miejsce na wykładzinie, gdzie przewiercił jej palec, aż na miejsce, w którym...

*O Boże! To chyba niemożliwe!*

Zoe nie mogła uwierzyć własnym oczom i wstrzymała oddech. Nasłuchując, czy czegoś nie słyhać.

I modląc się, aby Jakob nie zdążył zbyt szybko dostrzec swej pomyłki.

## 23

**Jakob**

*Ludzie nienawidzą dróg jednokierunkowych.*

W ciągu swego trzydziestodwuletniego życia Jakob nie nauczył się zbyt wiele. Ale fakt, że ludzie najbardziej na świecie nie mogą znieść tego, że nie pozostawia się im wyboru, przyswoił sobie już jako mały chłopiec. Uświadamiał to za każdym razem, gdy ojciec dręczył go zdaniami zaczynającymi się od słowa „musisz”:

„Musisz posprzątać swój pokój”.

„Musisz wytrzymać ból”.

„Musisz przycisnąć jej poduszkę do twarzy. Szybko, zanim twoja matka odzyska świadomość”.

Nie kumają tego ci wszyscy idioci od terroryzmu i końca świata.

Jeśli powiesz ludziom: „Jesteście winni katastrofy klimatycznej, wymierania gatunków i fali uchodźców, musicie jak najszybciej zmienić siebie i swoje życie”, wtedy spotkasz się tylko z uporem. Wielu z nich pójdzie wręcz w przeciwnym kierunku, po prostu dlatego, że nie mają najmniejszej ochoty, aby ktoś obcy zmuszał ich do ruchu w jakąś stronę. Zrobią tak, nawet jeśli to, do czego będzie się ich przymuszać, będzie słuszne. Postąpią zgodnie z zasadą: „Będę w moim głównianym życiu postępować tak jak do tej pory i sram na wszystko, jeśli i tak czeka nas marny koniec”.

A teraz Jakob znów był w zaskranej sytuacji, w której coś musiał zrobić.

Otworzył drzwi od strony kierowcy w volvo z przyczepą kempingową, wsiadł do środka, gdzie była już Lynn, i odłożył wiertarkę do schowka

między siedzeniami.

*Musisz jej opowiedzieć o zdradzie Zoe.*

*Musisz powiedzieć Lynn, że ta zdzira zostawiła tajną wiadomość do Milana.*

*Musisz się jej przyznać, że nie wiesz, co było w wiadomości, i nie wiesz, jak Zoe udało się to zrobić.*

Cholera, narobiłby sobie wtedy niezłego gówna. Mogłaby go załatwić. Wyzwać od idiotów, którzy nie potrafią utrzymać sprawy w garści.

– Dlaczego tak długo to trwało? – spytała Lynn, która pociągnęła usta szminką i teraz oceniała rezultat w lusterku osłony przeciwsłonecznej.

– Milan chciał kolejnego znaku życia – stwierdził Jakob z udawanym uśmiechem, spoglądając na swoje ręce. Były całe zakrwawione, nawet na kurtce z gore-texu znalazło się kilka plam z krwi. Nic, czego nie można by usunąć chusteczkami higienicznymi ze schowka między siedzeniami. Tu, na parkingu za nic w świecie nie umyłyby sobie rąk pełną zarazków wodą z toalety. – Musiałem więc popracować nad jego motywacją. – Wyszczrzył się i wskazał na rozwiniętą chusteczkę do nosa, zawierającą rezultat jego zmagania z wiertarką.

Lynn skinęła z uznaniem głową.

– Daj mi torebkę do zamrażania i taśmę – polecił, a ona podała mu to, czego potrzebował, ze schowka przy siedzeniu pasażera.

Parkowali z przyczepą kempingową w pobliżu wyjazdu, z dala od budynków sanitariatów i parkingu dla ciężarówek. O tej godzinie nic się tutaj nie działo. Stał tu tylko jeden, jak się wydawało, pusty pojazd, oddalony o kilka zatoczek parkingowych. Poza tym znajdował się on i tak poza promieniem, w którym można było usłyszeć krzyk Zoe dobiegający z przyczepy.

– Czy Milan wie, co jej zrobiłeś?

– Słyszał tylko przez chwilę jej krzyk. Nic więcej. I właśnie dlatego będzie chodził na naszym pasku. Nic tak nie skłania do działania jak tajemnica. – Jakob zamknął torebkę do zamrażania, do której włożył palec serdeczny Zoe, i zdziwił się, widząc protekcyjny uśmiech Lynn. – Śmiejesz się ze mnie?

– Nie, ale to takie słodkie, gdy wyjaśniasz mi moją własną strategię.

Już miał coś na to odpowiedzieć, ale zdusił w sobie cisnące mu się na usta słowa wraz z kielkującą w nim złością. Przy Lynn nie trzeba było korzystać z Google, i tak wszystko wiedziała lepiej. Poza tym bardzo często miała rację, wygłaszając swoje sarkastyczne uwagi, i właśnie to doprowadzało go do pasji.

On sam nigdy by nie opracował tak mądrego planu. Lynn namierzyła willę i wpadła na pomysł z kartką na szybie samochodu. Udało jej się nawet namówić Zoe do współpracy. Przynajmniej z początku. W pewnym momencie ta zdzira oczywiście wyczuła pismo nosem i regularnie oszalała. Krzyczała, wyła, wychodziła z siebie i nawet spróbowała ukryć się gdzieś w willi.

*Taaa, sama sobie była winna.* Na koniec musiał uspokoić Zoe jednym celnym uderzeniem. Niezbyt mocnym, raczej nieśmiałym, prosto w skroń. Spała potem przez pół godziny, zanim doszła wreszcie do siebie z tyłu, w przyczepie kempingowej.

W tym czasie musieli zaparkować przyczepę na środkowym pasie rozdzielającym jezdnie niedaleko Kolumny Zwycięstwa<sup>2</sup>, podczas gdy on, siedząc w samochodzie, z bezpiecznego dystansu czekał na przybycie Milana do willi.

– Mam nadzieję, że Zoe nie sprawi nam więcej problemów – stwierdziła Lynn. – Dlaczego nie zabijemy jej od razu?

Gdyby Jakob nie znał jej tak dobrze, pomyślałby, że żartuje. Jednak Lynn rzeczywiście była tak wyrachowana.

– Mówię serio – podkreśliła. – Milan i tak zrobi to, czego od niego zażądamy. Chwyć już haczyk. Weź wiertarkę i wracaj tam. Natychmiast. Nie potrzebujemy już Zoe.

# 24

## Milan

**M**onotonny szum opon na mokrym asfalcie miał działanie usypiające. Co chwila zamykały mu się oczy i teraz, gdy stali na miejscu odpoczynkowym z parkingiem, jeszcze trudniej było mu nie zasnąć. Opuścił szybę i wystawił rękę na zimne nocne powietrze. Lustrował przy tym wzrokiem mały sklep przy stacji benzynowej z nadzieją, że Andra jest już przy kasie.

Bez ostrzeżenia zjechała z autostrady zaraz po przekroczeniu granicy miasta i na wielkim obszarze z ponad dwudziestoma dystrybutorami wybrała ten, który znajdował się najbliżej wejścia do sklepu.

„Dobry pomysł” – stwierdził wówczas, ale nie zareagował wystarczająco szybko. Zauważyła jego nagłą senność i zachęciła go, aby wypoczął, przez co później zrobiło mu się przykro. Mieli przecież jasny podział obowiązków. Gdy się do niej wprowadził, Andra sprzeciwiła się, aby płacił czynsz. W zamian on opłacał codzienne zakupy i benzynę. Milan obmacał więc kieszenie spodni w poszukiwaniu portmonetki, którą dał mu ojciec.

Rzeczywiście, w środku było tylko kilka banknotów i żadnych drobnych. Za czterdzieści pięć euro nie zajechaliby daleko. Na szczęście Milan znał tajny numer do karty płatniczej. 1310. Data urodzin jego matki. Przed przeprowadzką do domu spokojnej starości ojciec na wszelki wypadek zdradził mu kod PIN, w razie gdyby mu się coś zdarzyło i pilnie potrzebował gotówki. Wiele tam nie mogło być, ale zapewne wystarczyłoby, aby zapłacić za paliwo i jeszcze wziąć kawę.

*Kofeina!* Milan oddałby za nią pół ręki.

I królestwo za urządzenie, które teleportowałoby go do wnętrza stacji



benzynowej. Nie czuł się na siłach, aby tam pójść.

Zastanowił się, czy nie wysłać Andrzejowi wiadomości głosowej, aby kupił trochę prowiantu na drogę, i sięgnął po swoją komórkę leżącą na półce pod radiem.

Po chwili zwłoki spowodowanej zmęczeniem zrozumiał, że wygaszacz ekranu, na którym widniała uśmiechająca się z pewnym przymusem nastolatka, nie był zainstalowany na jego telefonie, a zatem gapił się na nie swoją komórkę. Chciał już ją odłożyć na miejsce, gdy rozległ się sygnał nadchodzącej wiadomości.

Λαμπερτ: Ηει, Παρτενερκο. Λουισα χιβα σπι. Ιακ σοβιε ραδζι Μιλαν?

Milan zamrugał skonsternowany. Obejrzał się na Andrzeja, ale nie mógł jej zobaczyć za odbijającymi światło szybami sklepu na stacji benzynowej ani przy kasie, ani między regałami z wyłożonymi towarami.

Zdziwił się. *Więcej*: był dosłownie zdumiony.

I to nie z powodu wiadomości, której przecież nie umiał przeczytać, tylko z uwagi na zdjęcie profilowe nadawcy.

*Czego Hulk chce tak późno od Andry?*

Czy nie mówiła mu, że szef firmy nie daje nikomu numeru swojej komórki? Bo ponoć nie miał ochoty, aby personel przeszkadzał mu w czasie wolnym. Jeśli się czegoś od niego chciało, trzeba było się kontaktować poprzez Günthera. A osobą, którą Andra miała zapisaną w swojej komórce, był bez wątpienia Lampert.

Milan gapił się na telefon i zastanawiał się, czy w ogóle może zaufać Andrzejowi.

Co takiego wiedział o niej, jeśli pominąć to, że w razie potrzeby potrafiła się sama obronić i że miała fioła na punkcie tego, że jej noga nigdy nie postanie w taksówce?

Znał tylko kilka weryfikowalnych faktów, jak ten, że przerwała naukę w wieku piętnastu lat, po przebytej terapii poradziła sobie z młodzieńczym problemem alkoholowym i nie utrzymywała kontaktów z rodzicami, którzy rzekomo mieszkali w Tajlandii. Nawet jej byłego męża znał tylko z fotografii, choć Louisa stanowiła żyjący dowód jego egzystencji.

Zawsze było dla Milana całkowicie jasne, że jeśli chodzi o przeszłość

Andry, wykazuje ogromne braki wiedzy. Z uwagi jednak na jego własne tajemnice zachowywał się nadzwyczaj powściągliwie i z wiadomych powodów nie naciskał swojej przyjaciółki. Przeszkadzało mu jednak nie to, że coś przed nim zataiła, lecz to, że go okłamała. Dawno temu powiedziała mu przecież w zaufaniu, że Hulk po utracie żony i dziecka nie utrzymuje z nikim prywatnych kontaktów.

*Lampert...*

Niepokojące uczucie, że przeoczył coś istotnego, przebiło się przez mgłę jego zmęczenia. Milan był przy tym całkowicie świadomy komizmu swej zazdrości (lepsze słowo nie przychodziło mu w tej chwili do głowy), bo to przecież on był tą osobą, która przez całe lata odgrywała coś przed Andrą.

*A mimo wszystko.*

Przeszkadzało mu, że najwyraźniej istniał bardzo złożony i istotny poziom porozumienia pomiędzy jego przyjaciółką a szefem, poziom, do którego on nie miał żadnego dostępu. Jednak to negatywne uczucie nie było najwyraźniej wystarczająco silne, aby utrzymać Milana w stanie czuwania.

Gdy Andra wróciła, wyjęła mu z pełnym troski i nieco zaskoczonym spojrzeniem komórkę z rąk, a kilka minut później, ruszając z miejsca, kilkakrotnie powtórzyła: „Cholera!”. Milan już ponownie spał.

## 25

Zoe

**W** pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Ale potem kolejny poryw wiatru szarpnął drzwi i Zoe znów to zobaczyła. Tym razem nie miała żadnych wątpliwości.

*Jakob, ty durna świnio.*

Lynn by się to nigdy nie zdarzyło, ale temu idiotcie? Zapomniał zamknąć drzwi od zewnątrz na dwa razy. Wystarczy, że Zoe rzuci się na nie całym ciężarem ciała, a wyrwie zasuwkę z ramy.

A wtedy się znajdzie... *No właśnie, gdzie?*

Gdzieś pośrodku niczego, na opuszczonym i bezludnym parkingu. Co w jej sytuacji raczej nie przypominało wolności.

*Cholera!*

Już tu, w przyczepie kempingowej, Zoe czuła się całkowicie zagubiona. Krwawiąca, obłąkana z bólu, rozpalona gorączką. Sama myśl, że miałaby teraz biec przez mokrą, zimną, smaganą hałasem silników ciemność, przyprawiała ją o drżenie. Z drugiej jednak strony otwarty zamek stanowił pewną szansę. Być może jedyną i ostatnią, jaką miała. Musiała ją wykorzystać. Jeżeli jednak wyłamie teraz drzwi, tych dwoje z przodu to usłyszy. A nawet jeśli tak się nie stanie, miała tylko kilka minut, o ile nie sekund, aby się ukryć.

Zegar tykał. Już wkrótce Jakob uruchomi silnik i podczas ruszania zapewne spostrzeże, że przyczepa nie jest prawidłowo zamknięta. Być może zaświeci się zdradziecka lampka ostrzegawcza na desce rozdzielczej, co w przypadku tak starego gruchota jest raczej mało prawdopodobne, ale co ona

tam wie?

Tak czy inaczej jej czas uciekał.

*Uzbroić się. Zwiąć. Wezwać pomoc.*

Jej mózg pracował w rytmie staccata. Jej ciało również.

Szybko otworzyła wbudowaną szafkę kuchenną.

Tylko garnki, ścierki i puste butelki po lemoniadzie. Żadnego prowiantu.

Zrobiła to samo z szafką w toalecie.

Mydło, papier toaletowy, krem do rąk, tampony.

Nic, czego dałoby się użyć w charakterze broni. Albo przynajmniej jako pisaka, aby zanotować szyfr dla Milana, gdy tylko się stąd wydostanie.

Za woreczkiem z klamerkami do bielizny stała puszka lakieru do włosów, którą ewentualnie można by się posłużyć jako miniaturowym miotaczem płomieni, ale nie bez zapalek lub zapalniczki.

*Przy czym...*

Zoe przyszedł do głowy pewien pomysł.

Wiedziała, że daleko nie ucieknie. Nie w jej obecnym stanie. Ale jeśli uda jej się dostać do toalety dla niepełnosprawnych, jeśli znajdzie tam to, czego się spodziewała, wówczas będzie miała realną szansę na przeżycie. A jeśli nie, to ten lakier do włosów może stanowić o decydującej różnicy pomiędzy życiem a śmiercią.

Złapała więc puszkę, opuściła toaletę i spróbowała wcielić swój rozpaczliwy i śmieszny plan w życie.

## 26

### Jakob

**A** czemu nie – spytała Lynn, zdenerwowana tym, że Jakob się jej sprzeciwia. Nadała się jak małe dziecko. Jak zawsze, gdy nie dostawała natychmiast tego, co chciała.

– Bo Milan zrobił się nieufny. Nie możemy tak po prostu zabić Zoe. Nie będzie nam dalej posłuszny, gdy nie będzie miał znaku życia.

– Mogłabym go przecież spreparować – zaproponowała.

– Ale wtedy musielibyśmy tak robić od samego początku. Teraz mógłby dostrzec różnicę w głosie.

– Jak dotąd nigdy jeszcze z nim nie rozmawiała. Tylko krzyczała.

*Tak, ale mógłby cię zapytać o wiadomość, a na to nie znalazłbyś odpowiedzi. Bo ja za żadną cholere ci o tym nie opowiem. Gdyż wtedy najpewniej zabiłabyś Zoe natychmiast i moglibyśmy się pożegnać z forsą.*

– Powiedz mi, serio nie masz z tym żadnego problemu, że Zoe tego nie przeżyje? – Jakob nie zadał tego pytania z niepewności. Naprawdę był ciekawy.

– Nie martw się. – Lynn zaśmiała się sucho. – Są w życiu rzeczy, które są po prostu ważniejsze od prawidłowych relacji pomiędzy matką a córką.

W tym momencie Jakob usłyszał odgłos pękającego plastiku. Chwilę potem zobaczył cień w lusterku bocznym.

*Jak, do diabła...*

– Byłeś tak durny, że nie zamknąłeś za sobą drzwi? – zajazgotała Lynn, która również spostrzegła, co się z tyłu wydarzyło. – Ty ostatni idioto! – krzyknęła jeszcze, gdy Jakob wyskakiwał już z kabiny.

W ślad za cieniem Zoe.

**C**hłód odczuła jak silny cios. Uderzył ją w twarz i oparzył najpierw policzki, a potem podeszwy stóp.

Zoe była boso, z czego zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy dotknęła stopami lodowatego asfaltu.

Napędzana strachem wybiegła z przyczepy kempingowej prosto w stronę beznadziei.

To, co w panice Zoe w ogóle była w stanie rozpoznać, to otaczające ją ze wszystkich stron śmiercionośne, monotonne płaszczyzny. Autostrada, pochłaniające wszelkie światło i życie pola, które w jej wykrzywionej przez ból fantazji stawały się połączeniami bagien. Tylko budynek sanitariatów, ze światłem na spadzistym dachu, wznosił się w mroku jak latarnia morska.

*Dam radę. Dam radę... Nie dam rady.*

Już teraz, czując klucie w boku, usłyszała podniecone, niemal paniczne krzyki Lynn. Oraz kroki. Kroki kogoś biegnącego. Sportowe buty na brudnym asfalcie.

*Ten idiota Jakob.*

Ale niestety idiota z dobrze wyposażoną skrzynką na narzędzia, które zaraz na niej wypróbuje, gdy tylko ją złapie. Mogło się to zdarzyć już za kilka chwil. Chwil, które musiała dobrze wykorzystać.

Stanąła na żwirze i zamarzniętych niedopałkach papierosów. Ból stopy odczuła niemal jako dobrodziejstwo w porównaniu z bólem dłoni.

Popędziła obok przepehionego kosza na śmieci prosto do środkowych drzwi domku z sanitariatami, z puszką lakieru do włosów w ręce jak z

pałeczką sztafetową.

– Ratunku! – krzyknęła, co było czystą stratą powietrza w płucach, bo nie było tu nikogo. Nie dzisiaj, w piątkowy wieczór przy tej podłej pogodzie. Jutro z powodu weekendowego zakazu ruchu zaczną się tu zbierać ciężarówki, ale teraz spotkać mogła tu tylko noc, mróz i swego prześladowcę.

Jakoba, który był coraz bliżej. Jego kroki były głośniejsze, a jego oddech równiejszy niż jej.

*Łup!*

Zoe walnęła w otwierające się na zewnątrz drzwi do kibla. Otworzyła je. Zamknęła za sobą.

*Cholera, cholera, cholera, gdzie jest zasuwka!?*

Znalazła ją. Przekręciła. Odetchnęła. Mimo strachu. I mimo niemożliwego do opisanie bólu dłoni, w której kłujące palenie wypełniało miejsce, gdzie wcześniej znajdował się jej palec.

– Pomocy.

Dysząc, cofnęła się w przestrachu, gdy drzwi zadrzały. Udało jej się jednak przed chwilą zamknąć je przed Jakobem i jego wściekłymi okrzykami.

Przerwa.

Pochyliła się aż do ziemi, dysząc prosto w swoje lepiące się od brudu stopy. Słyszając w uszach bicie własnego serca, szybsze nawet niż huraganowy ogień pięści dobijających się z zewnątrz do aluminiowych drzwi.

Dalej.

Nie miała czasu na odpoczynek. Została jej może minuta, zbyt mało czasu, aby zdążyła się przyzwyczaić do smrodu wydzielin, które przez całe lata pokrywały tatuażem murowane ściany kibla. Mocz, kał, bielinka oraz wymiociny. Idealny wręcz brak świeżego powietrza.

Przynajmniej światło działało. Wcześniej wcale o tym nie pomyślała: że byłaby tu całkowicie zagubiona, gdyby niczego nie mogła zobaczyć. Jednak z lampy skrytej za kratką na suficie spływało na beznadzieję wucetu drżące neonowe światło. Zabrudzona muszla sedesowa pozbawiona deski, chybrotliwe uchwyty dla osób na wózkach inwalidzkich, dość miejsca do



przetoczenia wózka, ale brak alarmu.

*Cholera!*

Zoe się tego obawiała. Przypuszczała wcześniej, że nie będzie tak łatwo, ale mimo to potwierdzenie obaw wyszło teraz większość sił z jej mięśni.

Te cholerne dzieci. Albo młodzieź. Albo ktokolwiek to był i urwał linkę alarmową zwisającą z sufitu. Razem z przewodami. Instalacja alarmowa dla niepełnosprawnych została kompletnie zdewastowana. Podobnie jak sedes, lustro i inne przedmioty, które dawno temu padły ofiarą wandalizmu, o ile nie były wykonane z prawie niezniszczalnej stali.

*Cholera!*

Pozostawał jej plan B.

Oczy Zoe omiotły ściany pomieszczenia. Przynajmniej pod tym względem się nie myliła. Były całe zamalowane, głównie pisakami lub długopisami, ale niektóre dzieciaki użyły lakierów w spreju.

*Bogu dzięki.*

Z ulgi przez chwilę Zoe poczuła coś, co przypominało nieco euforię, gdy nagle usłyszała wiertarkę.

Z tym też się liczyła: że Jakob nie pozwoli jej tu w spokoju odpocząć, że nie zostawi jej tu w środku samej, tylko weźmie ze sobą swoje narzędzia, aby przewiercić zamek w drzwiach.

Zoe wyciągnęła garść ręczników papierowych z podajnika i kilka razy popsikała na nie lakierem do włosów, aby dobrze nasączyć papier. Jednocześnie wyszukała odpowiedni malunek na ścianie toalety.

Ogromną, granatową falę z grzebieniem piany i trupią czaszką na niej.

*Szybko, szybko, szybko.*

Szum za jej plecami przemienił się teraz w pisk. Już za chwilę Jakob przewierci się przez zamek.

W pośpiechu smarowała po ścianie. W odpowiednich miejscach. Dopóki za nią nie zrobiło się jeszcze zimniej.

I to nie tylko dlatego, że drzwi były teraz otwarte. Lecz dlatego że poczuła oddech śmierci na karku. Nim ta wzięła się do dzieła i po krótkim, bolesnym błysku gdzieś za oczami Zoe pociągnęła ją za sobą w ciemność.

Zastanowił się, czy nie uderzył zbyt mocno. Trzask jej głowy, gdy Zoe uderzyła czołem o brzeg muszli klozetowej, nie brzmiał bynajmniej zbyt zdrowo. Odgłos, który towarzyszył mu od czasów dzieciństwa.

Po raz pierwszy usłyszał go, gdy zrzucił Steffena z roweru w drodze do szkoły. Nagle i bez ostrzeżenia, tylko dlatego że ten dzień wcześniej w klasie wyśmiewał się ze zbyt długich spodni Jakoba. Wtedy nikt jeszcze nie nosił kasków, a krawężniki były tak samo twarde jak obecnie.

*Wtedy.*

Jakob wiedział o tym, zanim inni zwrócili na to uwagę. Że coś się z nim nie zgadza. Że jest odmienny niż całe otoczenie. Przy czym nie znajdował w tym żadnej szczególnej przyjemności, gdy chwycił żaby w wykopanym stawie leżącym na terenie nieczynnej żwirowni, wkładał im do pysków słomki i tak długo je nadymał, aż pękały. Robił to tylko z nudy, nie z upodobania. Miał wtedy dziewięć lat, a Steffen, ten mięczak, uciekł z krzykiem, aby zakablować go przed jego rodzicami. Kosztowało to wtedy Jakoba niezłe lanie. Nie z powodu dręczenia zwierząt, lecz dlatego że dał się na tym przyłapać.

– Przynosisz hańbę – wbijał mu do głowy ojciec pomiędzy uderzeniami.  
– Hańbę całej naszej rodzinie!

*Że też on właśnie to powiedział.*

Dręczenie zwierząt, moczenie łóżka, podpalanie. Psychopatyczną żyłkę odziedziczył przecież po swoim ojcu. *O ile w ogóle.*

Bo w przeciwieństwie do jego starego dręczenie innych nie sprawiało mu

w istocie wielkiej przyjemności. Nie wywoływało w nim uczucia rozkoszy, które widział w oczach ojca, gdy tylko ten sięgał po pasek.

Przemoc była jedynie środkiem do celu, a wręcz okazywało się to korzystne, gdy cierpienie jego ofiar całkowicie mu zwiślało.

Także krzyki Zoe ani go nie podniecały, ani mu nie przeszkadzały. Gdyby nawet teraz umarła, nieszczególnie by go to poruszyło.

Wciąż jednak oddychała, tu, na zabrudzonych gównem płytkach podłogowych kibla dla niepełnosprawnych. Znów się obudzi, nawet jeśli z kolejną utratą przytomności, zaraz po poprzedniej, z pewnością nie upora się tak łatwo.

Zapewne jednak o wiele lepiej niż z utratą palca.

*Upora się.*

Jakob uśmiechnął się z powodu tego sformułowania. Przecież sam musiał jakoś się uporać z pozostawieniem tu palca wskazującego Zoe, tkwiącego teraz w przezroczystej torebce. Lynn powiedziała, że powinien go zatopić w muszli klozetowej tak głęboko, jak to tylko możliwe. „Przymocuj go za pomocą taśmy klejącej do deski klozetowej, tak aby potem można go było wyciągnąć z wody”.

W zasadzie całkiem niezły plan, gdyby tylko w śmierdzącej brązowej brei nie pływały jakieś tłuste grudy, które w najlepszym przypadku dostały się tam wraz z wymiocinami. Od samego patrzenia na to można się było zarazić cholerą. Nigdy w życiu nie dotknąłby takiego kibla gołymi rękami.

Przykleił zatem torebkę do metalowego lustra.

*Po co te gierki?*

Milan przecież *powinien* to odkryć. Aby jednak zapobiec temu, że odnajdzie to przed nim ktoś inny, Jakob przygotował kartkę z napisem NIECZYNNE, którą zaraz miał umieścić po zewnętrznej stronie drzwi. Wprawdzie mało w to wierzył, żeby ktoś o tej godzinie chciał skorzystać z toalety dla niepełnosprawnych, ale nigdy nie można było mieć pewności.

Następnie obmacał Zoe. Prawdopodobnie miała nadzieję, że uda jej się tu w środku uruchomić alarm. Rzeczywiście mogli mówić w tym przypadku o szczęściu, bo wandalizm nie ominął akurat tego kibla. Ale może ta zdzira miała w zapasie jakiś plan B?

*Kolejną wiadomość dla Milana?*

Jakob nie miał jednak pojęcia, jak Zoe miałyby ją napisać. No dobra, papier w postaci ręczników mogła wyciągnąć z podajnika, ale zwinięty w kulę kłęb leżący na podłodze z płytek był tak do cna przemoczony, że za nic w świecie nie utrzymałby się na nim żaden napis. Innych kartek tu nie było, ani nie zostały nigdzie ukryte. Nawet w brązowej brei pływającej w muszli sedesowej, którą Jakob przemieszał szczotką, na ile dało się to zrobić, nie brudząc sobie przy tym rąk.

*Falszywy alarm.*

Było to nawet logiczne, bo czym niby Zoe miałyby pisać na papierowym ręczniku? Nie miała przecież żadnej kredki, o czym się raz jeszcze przekonał, przeprowadzając ponowną rewizję osobistą. Z przyczepy kempingowej nie przytargała niczego poza pustym pojemnikiem lakieru do włosów, który wyleciał jej z rąk, gdy Jakob wpadł do toalety i zdzielił ją pięścią prosto w twarz.

*Diabli wiedzą, co chciała w ten sposób osiągnąć.*

Dla pewności psiknął jeszcze z puszki na miejsce na ścianie toalety, które już wcześniej nie zostało oszpecone przez graficiarzy i porąbanych malarzy ulicznych. Tak jak oczekiwał, bez rezultatu.

*Hmm. Co takiego przeoczyłem?*

Jedynie wiadomości, które udało mu się odnaleźć, zostawiły jakieś czubki dawno temu. Jak na przykład „Magic Mike”, któremu podobali się dobrze zbudowani faceci i który zapisał dla nich na ścianie swój numer telefonu. Tuż obok naklejki zespołu deathmetalowego z Cottbus i namalowanego sprejem z pewnym artyzmem penisa, który w odpowiednich miejscach został wyposażony w dwa granaty ręczne.

Poza tym znalazł zwykłe nieczytelne tagi i bazgroły. Niektóre wyglądały jak starożytne symbole, inne jak zupełnie bezsensowne plątaniny linii.

Nic, co choćby w najmniejszym stopniu mogło wskazywać na wiadomość od Zoe dla Milana.

Stwierdził, że zakończył już tu swoją pracę. Skleił zatem razem dłonie i stopy Zoe za pomocą taśmy pakowej, zarzucił ją sobie na plecy, po czym wyniósł z domku z sanitariatami. Na zewnątrz położył ją na zlodowaciałym bruku. Udało mu się zablokować drzwi przy użyciu puszki po piwie, którą znalazł w śmieciach koło toalety. Na koniec wyciągnął z kieszeni spodni

pomiętą kartkę z napisem NIECZYNNE i właśnie starał się ją przymocować prosto na drzwiach na wysokości wzroku za pomocą kawałka taśmy klejącej, gdy jakiś wysoki kobiecy głos sprawił, że strach przejął go do szpiku kości:

– O Boże, co tu się dzieje? Potrzebuje pan pomocy?

## 29

Milan

**Y**VONNE? MAMA?

Znów miał jeden ze swoich lustrzanych snów. W ten sposób Milan nazywał nadzmysłowe doświadczenia, w których rzeczywistość nakładała się ze światem snu tak jak dwa różne głosy wpadające do uszu w tym samym momencie.

**CHOLERA! OBUDŹ SIĘ!**

W swoich lustrzanych snach Milan wędrował jednocześnie po dwóch światach, o których wiedział, że tylko jeden z nich rzeczywiście istniał, a drugi był jedynie dziełem jego umysłu. Problem polegał niekiedy na tym, aby przyporządkować doznania zmysłowe do odpowiednich poziomów świadomości. Tym razem Milan miał przynajmniej względną pewność, że siedzi w mini cooperze obok Andry i pędzi z prędkością około stu sześćdziesięciu na godzinę po autostradzie przecinającej Brandenburgię, podczas gdy posmak spalenizny w ustach i dym przed oczami to tylko produkty jego wyobraźni.

**PUŚĆ MNIE! KIM JESTEŚ?**

Do kogo jednak należały te dwa odmienne głosy, które w jego lustrzanym śnie zlewały się nie do rozróżnienia?

W zasadzie w lustrzanych snach Milan nie czuł się inaczej niż podczas patrzenia na co dzień na pisane teksty. Tyle tylko że w tym przypadku to nie litery, lecz doznania wszystkich zmysłów przemieniały się w zgiełkliwą kakofonię.

Słyszał różnorakie odgłosy, odczuwał sprzeczne uczucia i widział

przezroczyste, nakładające się na siebie obrazy. W tym momencie na przykład zbliżał się do rzędu świateł, które oznaczały zwięźenie na autostradzie, a jednocześnie znajdowały się w korytarzu jego dawnego domu rodzinnego na Rugii. Wskazywały mu drogę od schodów do jego pokoju dziecięcego na pierwszym piętrze.

Milan biegł boso w piżamie po drewnianych deskach w kierunku stojącej u szczytu schodów postaci, którą spotykał już wcześniej w innych snach. Ale coś – być może dochodzące z położonego na parterze salonu odgłosy trzaskającego ognia, wdzierającego się już na piętro wraz z gęstym dymem, w którym tonęły nogi nieznanego jak pnie drzew w snującej się po ziemi mgle, albo być może gorąco, które sprawiało, że jego policzki się zaczerwieniły – było w tej wizji prawdziwsze, bardziej rzeczywiste niż zwykle. Ten ostatni czynnik mógł jednak wynikać równie dobrze z ponownie włączonego w samochodzie ogrzewania siedzeń.

– Kim jesteś? I czego tu chcesz? – spytał Milan i zakasłał.

Facet, bo był to bez wątpienia mężczyzna, miał na sobie jak zwykle w jego snach T-shirt. I ponownie Milan miał to prawie niezmiernie, dziwaczne uczucie, które szło w parze z przeświadczeniem, że potrafi ten napis *przeczytać*.

Tym razem napis na koszulce składał się tylko z jednego słowa: WRACAJ. Jednocześnie usłyszał, jak obcy mówi:

– WRACAJ.

Głos należał do młodego, dorosłego mężczyzny. Był twardy i kanciasty, pasował do kwadratowej głowy. Słowa brzmiały tak, jakby zostały wyciosane dłutem.

– PRZYKRO MI! NIE CHCIAŁEM TEGO ZROBIĆ. – W następnej chwili ku zdziwieniu i przerażeniu Milana obcy zaczął płakać. Jednocześnie zmienił się tekst na jego koszulce, jakby to był jakiś elektroniczny wyświetlacz, w którym napisy można zmieniać za naciśnięciem guzika.

Teraz na jego T-shirtcie znajdował się napis PRZYKRO MI! NIE CHCIAŁEM TEGO ZROBIĆ, który natychmiast został zastąpiony przez NAPRAWIĘ TO, podczas gdy nieznaną postać powiedziała:

– NAPRAWIĘ TO. – Z każdym krokiem, z którym Milan zbliżał się do mężczyzny, ten stawał się młodszy, a jego twarz bardziej młodzieńcza.

Dostrzegał teraz pryszcze i początki zarostu nad jego górną wargą, żadnych zmarszczek na czole czy pod oczami. Ten człowiek musiał być tylko trochę starszy niż on sam wtedy, jeśli ten sen rozgrywał się w dniu wielkiego pożaru, gdy Milan miał czternaście lat i jednej nocy stracił matkę i dom.

– Czego nie chciałeś?! – krzyknął Milan we śnie i poczuł, jak jego ręce w samochodzie zmieniającym właśnie pas ruchu zwijają mu się w pięści. Wskazał na prawą dłoń obcego, która była tak wielka, że Tinka, kot w biało-brązowe łaty, którą mężczyzna trzymał za skórę na karku, wyglądała jak maskotka.

POSZUKIWANA. 200 EURO NAGRODY, głosił teraz napis na koszulce.

– MUSISZ UCIEKAĆ. TINKA TEŻ. – Obcy wypowiedział słowa widniejące teraz na jego T-shircie.

– Ale... – Milan podszedł jeszcze bliżej. – Ale Tinka nie żyje!

– NAPRAWDĘ? – Obcy przyjrzał się nieruchomemu kotu, którego oczy były dziwnie szeroko otwarte. – NIE, NIE, NIE. MUSISZ SIĘ MYLIĆ. ONA NIE JEST MARTWA. CHODŹ TU, POKAŻĘ CI.

We śnie Milan stał teraz na parterze tuż przed wejściem. Nagle został złapany przez mężczyznę, który znajdował się u podnóża schodów i którego twarz przez chwilę wyglądała jak wielki, szary kłęb dymu, chwilę później przyjęła zarys twarzy młodej dziewczyny, by zaraz potem znów nabrać męskich kształtów.

– POKAŻĘ CI ŚMIERĆ – powiedział nieznajomy.

To samo pewnie było napisane na jego koszulce, ale Milan nie mógł już tego zobaczyć, gdyż w tym momencie leciał właśnie w dół po schodach, popchnięty przez śmiejącego się mężczyznę, który wcześniej zabił Tinkę i który krzyczał za nim:

TAK TO JEST, GDY SIĘ UMIERA. JESTEŚMY NA MIEJSCU.

Ale poza słowami „...się umiera” Milan nie mógł tego zrozumieć, bo śmiech jego mordercy ze snu wymieszał się z pobudką Andry w realnym świecie.

Dopiero gdy uderzył głową w stopnie na dole, głosy w jego umyśle posortowały się ponownie.

TAK TO JEST, GDY SIĘ UMIERA. JESTEŚMY NA MIEJSCU.



Wraz z uderzeniem ciała o twardy kamień Milan wpadł na powrót w prawdziwą rzeczywistość. Otworzył oczy i usłyszał, jak Andra po raz kolejny powtarza:

– Jesteśmy na miejscu.

*Na parkingu Eldetal Ost.*

Pustym, opuszczonym, zimnym i pozbawionym wszelkiej nadziei.

*Jakby stworzonym na spotkanie ze śmiercią.*

## 30

Poza starym, przypuszczalnie porzuconym tu małym japońskim samochodem nic nie wskazywało na to, że ten parking był kiedykolwiek odwiedzany przez ludzi i że w przyszłości nawiedzą go jacyś ludzie.

Milan nie mógł mieć o to pretensji do planistów, architektów krajobrazu czy inżynierów budowlanych. Jakkolwiek bardzo by się starali, miejsca odpoczynkowe przy autostradach nigdy nie będą kojarzone jako wygodne, atrakcyjne, miłe lub nawet przytulne. Nie były tak odbierane nawet w jasnych promieniach słońca przy bezchmurnym letnim niebie, a już oczywiście nie w nocy w temperaturze minus dwóch stopni.

Wynikało to z ich przeznaczenia. Jeśli miejsce odpoczynkowe, jak to tutaj, było niezagospodarowane – bez stacji benzynowej, restauracji lub przynajmniej kiosku – pozostawało jedynie stacją pośrednią, uciążliwym przystankiem w drodze do właściwego celu podróży.

*W zasadzie to symbol życia*, pomyślał Milan, idąc wraz z Andrą w kierunku skąpo oświetlonego budynku sanitariatów. Czy wszyscy z nas nie byli podróżnymi, świadomymi faktu, że ich własna egzystencja w obliczu wieczności była tak przelotna i nieważna jak zatoczka przy autostradzie?

Milan zatrzęsł się. Nie tyle z zimna, ile dlatego, że jego ciało intuicyjnie broniło się przed ponurymi myślami. Przy tym jego nastrój idealnie wręcz pasował do tego, co go za chwilę czekało, jeśli miały się potwierdzić jego najgorsze przeczucia. Huk klaksonu ciężarówki dobiegający z oddali mieszał się z ciągłym szumem pojazdów sunących po autostradzie. Niesamowity soundtrack, który towarzyszył Andrzejowi i Milanowi zmierzającym do miejsca, w którym kazał im się stawić Jakob.

– Nieczynne – powiedziała Andra i wskazała na kartkę przyklejoną do

aluminiowych drzwi toalety dla niepełnosprawnych.

Prawdopodobnie to właśnie było tam napisane, bo Milan widział tylko:

## ΝΙΕΤΖΟΥΒΕ

Coś zaskrzybiało, gdy spróbował pociągnąć do siebie drzwi. Schyliwszy się, zobaczył puszkę po piwie, która została wciśnięta między połąć drzwi a kamienną podłogę.

– Facet improwizuje – stwierdził Milan. – To dobry znak. Nie planował tego, a kto nie planuje swoich działań w najdrobniejszych szczegółach, popełnia błędy. – Złapał się za głowę. – Wiemy to oboje z własnego doświadczenia.

Zwykle każdą taką aluzją do ich bolesnego „poznania się” Milan potrafił przywołać na usta Andry uśmiech. Tym razem najwyraźniej się to nie udało.

A gdy otworzył na oścież drzwi, nie miał najmniejszej pewności, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu przyjdzie mu do głowy jakaś weselsza myśl.

– Cholera, czy ona jest...?

– ...martwa? – Milan odważył się wymówić słowo, które utkwiło w gardle Andry. Pochylił się nad pozbawionym życia, ubranym w ciemny płaszcz ciałem kobiety, która siedziała na podłodze bezpośrednio przed miską sedesową. Skulona, z brodą na piersi, nogami wyciągniętymi przed siebie, leżącymi w śmierdzącej uryźnie i kałem kałuży.

Milan, odsunął na bok jej włosy, sprawdził puls na tętnicach szyjnych i cofnął palce, gdy wyczuł kawałek plastiku na zimnej skórze.

– Tak.

– Czy to jest...? – Andra znów nie musiała kończyć zdania, żeby Milan wiedział, o co chciała zapytać.

– Nie, to nie jest Zoe. Ta kobieta jest starsza. – Przypuszczał, że nadający się już na złom mały samochód na zewnątrz należał właśnie do niej. – Musiała wejść w paradę Jakobowi. I zapłaciła za to życiem.

– Co on jej zrobił?

Milan podniósł głowę martwej i odpowiedź na to pytanie stała się zbyteczna. Przekrwione gałki oczne wystawały jak piłki golfowe z oczodołów. Jakob udusił ją opaską zaciskową do kabli. Biedna kobieta

musiała się w agonii wypróżnić.

– Zaraz zwymiotuję – stwierdziła Andra, ale tego nie zrobiła. Zasłoniła tylko usta ręką i dlatego jej następne zdanie było trudne do zrozumienia. – Czy to jej język?

Także Milan to zauważył i pokręcił głową.

– Nie.

*To nie koniec języka wystaje jej z ust.*

Już dotykając dłońmi ust zmarłej, wiedział, że postępuje źle i że powinien przynajmniej przynieść jednorazowe rękawiczki z samochodowej apteczki. Jednak odciski jego palców i tak już były na zwłokach, bo znalazły się tam, gdy szukał tętna. Dlatego kontynuował i po chwili wyciągnął kikut palca.

– Nie mów mi, że...

– Niestety tak.

*To jest właśnie jego wiadomość dla nas. Że nie cofnie się przed niczym. Palec serdeczny nastolatki zapakowany w ludzkie zwłoki.*

– Jakob ją okaleczył.

Coś w tym zasmarowanym krwią palcu wstrząsnęło Milanem jeszcze bardziej niż widoczne na pierwszy rzut oka okropieństwo, ale nie umiał tego nazwać.

Andra jęknęła, przejechała rękami po włosach i odezwała się:

– Okej, okej. Dość tego. Miałeś rację. – Brzmiała przy tym tak, jakby mówiła sama do siebie.

– Z czym?

– Najwyższy czas, aby wezwać gliny. Do cholery z tym, że byłeś notowany.

Zażądała, aby zadzwonił na numer alarmowy, i już prawie to uczynił, gdy podczas próby połączenia się z numerem 110 za pomocą wybierania głosowego nadszedł nagle sygnał rozmowy przychodzącej.

NYMEP NIEPOZPIOZNANI – pojawiło się na wyświetlaczu.

*Morderca*, podpowiedział mu rozum.

# 31

Znalazł pan moją wiadomość? – spytał Jakob.

– Ty chora świnio, ty...

– To odpowiedź na moje pytanie, jak sądzę.

– Kim pan w ogóle jest? I czego, do diabła, chce pan ode mnie? – Milan odwrócił się w stronę umywalki, gdzie Andra z puszką lakieru do włosów w ręce przypatrywała się właśnie napisom na ścianie.

*Dobry pomysł. Może Zoe zostawiła jakąś wiadomość?*

*Chociaż wtedy... musiałyby być tu sama w toalecie. A dlaczego Jakob lub jego współpracownicy mieliby jej na to pozwolić?*

– Na takie pytania nie mamy czasu.

– No właśnie. Koniec z tym szaleństwem. Dzwonimy natychmiast na policję – odpowiedział Milan. Nie mógł się jednak w pełni skupić na rozmowie, bo Andra dawała mu do zrozumienia, że pomiędzy umywalką a podajnikiem ręczników papierowych znalazła coś, co przykuło jej uwagę.

– Co? – spytał bezgłośnie, poruszając jedynie ustami. Dostrzegając tylko spłóśniały malunek na ścianie. Ktoś bez wątplenia uzdolniony artystycznie przedstawił tu monstrualną falę tsunami z trupią czaszką na spienionej wodzie.

– Powiedział pan „my”. To interesujące. Już od pewnego czasu zadawałem sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie chciał pan ukrywać przede mną, że ma pan towarzystwo. Czeka pana jeszcze wiele trudów. Pomoc z pewnością nie zaszkodzi.

Z pewnym zaskoczeniem Milan przyjął do wiadomości, że Jakob poprosił go, aby pozostał przez chwilę na linii. Wykorzystał więc tę osobliwą przerwę, aby zapytać Andrę, co odkryła.

– Lakier do włosów to świetny środek czyszczący – stwierdziła, potrząsając puszką i obracając się w jego kierunku.

– Lakier do włosów? Naprawdę?

– Przede wszystkim dzięki niemu łatwo schodzą plamy z pisaków. Ktokolwiek się nim tutaj posługiwał, z pewnością nie miał zbyt dużo czasu. Widzisz te jaśniejsze plamy na fali?

Podszedł bliżej.

– Tak.

– Powstały później.

– Przy użyciu lakieru?

– Wiele to nie dało, ale farba w miejscach, w których została potraktowana lakierem, nieco się starła. – Andra wskazała mu palcem odpowiednie miejsca.

– Niech zgadnę: to są liczby lub litery, jeśli się im bliżej przyjrzeć?

*I jeśli potrafi się czytać.*

– Właśnie tak. – Andra przeczytała na głos to, co jak jej się wydawało, widać było w cieniowaniu fali: – R34A3W2.

*Szyfr. Nasz szyfr!*

Milan poczuł przypływ energii. Wcześniejsze zmęczenie stało się nagle tylko bladym wspomnieniem.

*A więc była tutaj! Zoe zostawiła dla nas wiadomość!*

Milan obracał się już w kierunku wyjścia, aby jak najszybciej znaleźć się z Andrą w samochodzie, gdzie leżała książka, dzięki której mogli odcyfrować zakodowaną wiadomość, gdy zatrzeszczał głośnik w jego telefonie. To Jakob chciał znów z nim rozmawiać.

– No, załatwione – usłyszał jego słowa Milan, ledwo przyłożył telefon do ucha. – Na pańskim miejscu wziąłbym teraz zwłoki kobiety na barana i jak najszybciej zniknął z parkingu.

– Mam za pana odwalać brudną robotę? – Milan nieświadomie złapał się za głowę. – Uważa mnie pan za takiego głupka?! Jak już mówiłem: odkładam teraz słuchawkę i dzwonię na policję.

– Nie ma takiej potrzeby. Już to zrobiłem.

Po upadku ze schodów na Rugii Milanowi zostało na czaszce małe zgrubienie, wielkości ziarna grochu, które od czasu do czasu pulsowało pod

włosami jako zapowiedź okropnego bólu głowy. Tak jak teraz.

– Co? – zapytał, niepewny, czy właściwie zrozumiał szantażystę.

– Właśnie wtedy, gdy czekał pan na linii. Użyłem do tego niemożliwej do wyśledzenia taniej komórki na kartę.

*Jakob sam zawiadomił policję?*

– I co niby im pan powiedział?

– *Jaaa?* Nic. – Jakob się zaśmiał. – Dama leżąca u pańskich stóp była tak uprzejma, że przed swoim odejściem nagrała jeszcze wiadomość głosową. Niech pan zresztą posłucha.

O ile można wnosić z szelestów, Jakob odsunął telefon od ucha, aby przyłożyć go do jakiegoś odtwarzacza, prawdopodobnie wspomnianej taniej komórki. Coś zasyczało jak podczas poszukiwania stacji w starym radiu UKF, a potem Milan usłyszał głos, który był jak zimna ręka sięgająca w głąb jego umysłu, aby rozgnieść w nim na miazgę wszelką nadzieję.

– Proszę, proszę, pomóżcie mi – błagała kobieta, która w tej chwili zapewne czuła już na gardle opaskę zaciskową. Brzmiała tak, jakby mówiła przez ściśnięte gardło, a jednocześnie zbierało jej się w ustach zbyt dużo śliny, którą najchętniej wypłułaby razem ze swoim strachem przed śmiercią. – Jestem na parkingu Eldetal. W toalecie dla niepełnosprawnych. On chce mnie zabić... Nazywa się Milan... Proszę... – Nagranie urwało się.

Andrze, która stanęła tuż obok Milana, aby słuchać nagrania razem z nim, drżały teraz ręce. Na jej twarzy malował się szok. Także Milan miał uczucie, jakby jego skóra zamarzała od środka. Nie był zdolny do żadnego samodzielnego ruchu, wręcz nie był w stanie mówić. Nawet jego uszom ciążyło ciśnienie, jaki wywierały słowa perfidnego szantażysty.

– No tak, długo to zatem nie potrwa, nim przybędą do pana goście. Ma pan pewną przewagę czasu, bo ta dziwka zapomniała wskazać strony świata. Być może radiowóz zajedzie najpierw na parking po drugiej stronie autostrady? Na pańskim miejscu zrobiłbym jednak teraz wszystko co w mojej mocy, aby gliniarze to wołanie o pomoc uznali na koniec za kiepski dowcip. – Głos Jakoba stracił teraz wszelką podszytą cynizmem uprzejmość i stał się twardy: – Innymi słowy, pozbądź się pan natychmiast tych przeklętych zwłok!

## 32

Powiadają, że nie powinno się podejmować decyzji pod wpływem emocji. Rzucać partnerowi pod nogi obrączki w trakcie kłótni. Wysyłać do szefa pełnego złości mejla natychmiast po szybkim bębnieniu w klawiaturę w środku nocy. „Dystans” to magiczne słowo wszystkich mediatorów i couchów zdrowego stylu życia. I zapewne większość trenerów mentalnych radziłaby, aby za żadne skarby nie wywlekać zwłok z toalet publicznych natychmiast po otrzymaniu telefonu od mordercy.

*A może nie.*

Czy była jakaś inna możliwość?

*Poczekać i spędzić najbliższą noc w areszcie śledczym?*

– Co ty robisz? – spytała przerażona Andra, gdy Milan po krótkim namyśle podjął decyzję i uklęknął nad ciałem zamordowanej kobiety, aby obszukać jej ubranie.

– Kluczyki do samochodu – rzucił tylko.

*A co innego.*

Musiały zniknąć nie tylko zwłoki. Trzeba było się też pozbyć samochodu kobiety. Najlepiej obu tych rzeczy naraz. Ponieważ zabójca nie zadźgał swej ofiary, darowane im zostało chociaż ścieranie plam krwi.

– Po co? – spytała Andra nagle piskliwym głosem. Była w tym momencie jak najdalsza od tej wojowniczkii, która z maczugą w ręce stanęła na drodze złodzieja.

*Sq!*

Natknął się na nie w prawej kieszeni kurtki, skąd wyciągnął należący do kobiety pęk kluczy. Złapał zwłoki za biodra i przerzucił je sobie przez ramię.



– Poczekaj! – krzyknęła Andra.

Milanowi zakręciło się w głowie. Z jednej strony sprawił to ciężar ciała, z drugiej doszedł jeszcze smród moczu i kału, który niemal podetknął sobie teraz pod sam nos. Chyba się przekręci, jeśli jeszcze przez sekundę będzie tkwił w tym kiblu dla niepełnosprawnych. Otworzył więc z impetem drzwi, a nocny wiatr uderzył go twarz niczym zlodowaciałą rękawicą.

– Jeśli zaczniesz się teraz bawić w te jego gierki, dopiero wówczas staniesz się naprawdę podejrzany – powiedziała z tyłu Andra. – Jeszcze nie zrobiliśmy nic złego. Poczekajmy tu na gliny i wyjaśnijmy im wszystko.

Szeptała teraz, ponieważ drzwi były otwarte. Tak jakby robiło to jakąś różnicę, gdyby ktoś w tym momencie znajdował się w pobliżu. Andra, gdyby chciała, mogła sobie tu krzyczeć na całe gardło. Wprawdzie Milan słyszał wiele radiowozów zbliżających się na sygnale, ale równie dobrze to tylko jego spanikowana wyobraźnia mogła mu płatać figla.

Wciąż byli sami. Wciąż mieli czas, by uciec.

*Wciąż.*

– Bawię się w te gierki Jakoba od dzisiejszego ranka! – ryknął bez większej nadziei, że jego słowa dotrą do Andry. Krok za krokiem oddalał się od niej i od domku z sanitariatami. Po kilku sekundach dotarł do małego samochodu zmarłej.

Numeru rejestracyjnego nie umiał przeczytać, ale naklejkę z koniem na klapie bagażnika zrozumiał bez tłumacza.

*Może przyjechała z jakiejś stajni w pobliżu?*

– Nie mam czasu do stracenia. – Otworzył kluczykami bagażnik, który jeśli nie liczyć jednej rękawiczki, starych gazet i samochodowej apteczki, był pusty.

Andra podeszła do niego.

– Odciał Zoe palec. PALEC!

– Nie musisz mi tego mówić. Zawinęłam go w papier toaletowy i SCHOWAŁAM! – odkrzyknęła.

– To spójrz tylko na to. – Obrócił się tak, że zwłoki były teraz skierowane głową w stronę Andry. – Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz, że on zabije Zoe, o ile go nie powstrzymam? – Bezceremonialnie wrzucił zwłoki do bagażnika i męczył się teraz z ułożeniem ich w pozycji płodowej, tak aby

dało się na powrót zamknąć klapę.

– Nic na to nie poradzisz – stwierdziła Andra, ale brzmiała nieprzekonująco.

– Szyfr, Andra. Pomyśl o tej wiadomości. – Milan dyszał z wielkiego wysiłku. Lodowaty wiatr chłodził pot na jego ciele. – Nie rozumiem dlaczego, ale jest jakiś związek pomiędzy mną a tą dziewczynką. Zdała się na mnie. Jestem jej jedyną szansą. I nie chcę jej zaprzepaścić, siedząc w areszcie śledczym.

– A nie przyszło ci na myśl, że to może być jakaś pułapka?

*Kartka. Dziewczynka. Książka.*

– Tak. Ale nawet jeśli to prawda, już dawno temu w nią wpadłem. – Milan otworzył drzwi od strony kierowcy i ciężko opadł na siedzenie. Pachniało psem i długimi spacerami po lesie. Upewnił się jeszcze, że na tylnym siedzeniu nie śpi jakiś czworonóg. Najwyraźniej jednak kobieta nie zabrała ze sobą żadnego zwierzęcia w ostatnią podróż swego życia. – Skręcamy w najbliższy zjazd i spotykamy się za Leizen w pobliżu jeziora Dambecker See.

Chciał już zamknąć drzwi, ale Andra mocno je przytrzymała.

– Skąd znasz te wszystkie nazwy? – spytała.

– Które?

– Zjazdu, miejscowości. Przedtem nie byłeś w stanie zapamiętać ulic w centrum Berlina, a teraz znasz nazwy wszystkich kibli przy A dziewiętnaście.

*No tak, rzeczywiście.*

Dopiero gdy uruchamiał silnik, dotarło do niego znaczenie odpowiedzi, której udzielił Andrzej:

– Bo jesteśmy w drodze na Rugię.

*Szyfr. Parking. Rugia.*

Także to nie mogło być dziełem przypadku.

Jakob w pełni świadomie wybrał ten parking. Nie tylko dlatego, że był opuszczony i tak rzadko odwiedzany. Lecz także dlatego, że leżał na trasie, która na powrót wiodła Milana w krainę, w której spędził wiele lat swego życia. W której mimo to orientował się o wiele gorzej niż w całkowicie obcym mieście.

Tam.

W przeszłość.

Lynn

Zadowolony Jakob pogwizdywał pod nosem coś, co przy dużej dawce wyobraźni można było rozpoznać jako *Enjoy the Silence* Depeche Mode. Już tylko za to najchętniej roztrzaskałaby mu głowę o kierownicę. Waliłaby tak długo, aż jego czoło przybrałoby konsystencję crème brûlée.

Jak ten dziad mógł być w tak dobrym nastroju, skoro popełniał błąd za błędem?

*Zbyt tępy, aby zamknąć drzwi do przyczepki kempingowej. Zbyt głupi, aby zejść świadkom z drogi.*

Co jeszcze takiego schrzanił, o czym ona się dotąd nie dowiedziała?

*Boże!*

Nie zdziwi jej wcale, jeśli będą zaraz musieli zjechać na pas awaryjny, bo ten dureń zapomniał zatankować.

– Jesteś po prostu szałowa, mała – stwierdził i przełączył wycieraczki na wyższy tryb, bo znów zaczął padać śnieg z deszczem. Z tym swoim sztucznym wesołkowatym niby-slangiem brzmiał jak jakiś niezręcznie posługujący się językiem młodzieżowym ojczulek, który tylko wystawia się na pośmiewisko. – To był klawy pomysł, aby samemu zadzwonić na policję!

*Taaa, jasne. Zwłaszcza że nawet to zrobiliśmy.*

Teraz Lynn najchętniej waliłaby własną głową o deskę rozdzielczą.

*Co za półgłówek.*

Milan był w ekstremalnym stresie i dlatego mógł uwierzyć, że naprawdę sami sobie ściągnęli na kark policję. Ale Jakob? On był po prostu jakiś

niedorozwinięty i choć potrafił przez telefon pleść głupoty w górnolotnym stylu, na dłuższą metę nie dałby rady zataić przed nikim, że w teście na inteligencję wypadłby gorzej od małpy.

– To był tylko blef – powiedziała, choć Jakob i tak tego nie usłyszał, bo jej głos został zagłuszony przez kolejną gwizdaną pod nosem melodię i pisk przesuwających się wycieraczek.

Z wściekłością gapiała się przez pokryte kroplami deszczu boczne szyby na mroczne cienie, które przemykały obok niej. Drzewa, których pnie aż do wysokości korony były pozbawione gałęzi i które z pewnością przedstawiałyby piękniejszy widok, gdyby przez całe życie nie musiały stać w chmurach spalin i wiecznym hałasie.

– Muszę powiedzieć, że to najbardziej kławy związek matki i córki, jaki kiedykolwiek widziałem – usłyszała głos Jakoba. *Ten idiota* był naprawdę pełen uznania!

– Zamknij się. – Lynn zamknęła oczy i oparła czoło o chłodną szybę. Sen jednak nie wchodził w rachubę. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Jakob uroił sobie, że nie jest obserwowany. Zacząłby wtedy samodzielnie podejmować decyzje, a także postępować niezgodnie z planem.

*Ten dureń!*

Najchętniej pozbyłaby się go jeszcze wcześniej niż Zoe. Dwie męczydusze mniej na tym świecie. Musiała się jednak powstrzymać. W porywie gniewu nie powinna tracić sprzed oczu swojego głównego celu.

A jeśli miała być wobec siebie szczerą – co ze względu na Jakoba nie przychodziło jej łatwo – musiała przyznać, że bez niego nie zaszłyby tak daleko. Cholera jasna, bez niego nawet nie wpadłaby na ten pomysł.

– O czym myślisz?

Westchnęła i przełknęła złość, że jej przerwał.

– Czy Milan rzeczywiście zorganizuje pieniądze i czy nam zapłaci? W tej chwili przecież jeszcze nawet nie wie tego, co my wiemy.

Jakob pogłaskał ją po kolanie, nie odrywając wzroku od drogi.

– Już ja się tym zajmę, mała. Temu menelowi gały wyjdą z orbit, gdy sobie uświadomi, na jakiej kupie pieniędzy siedzi. A wtedy będziemy już stali zaraz za nim z wyciągniętymi łapskami.

Przewróciła tylko oczami i zachichotała.

Zirytowany rzucił na nią okiem.

– Co jest? Czemu się śmiejesz?

– Bo już się cieszę na myśl o tym – *skłamała, myśląc: Ponieważ wcale nie wiesz o tym, że pieniądze mi zwisają. Mam zupełnie inny plan. A jego wykonanie będzie cię kosztowało życie.*

# 34

Milan

**E**NDE<sup>8</sup>?

Milan przekręcił lusterko wsteczne tak, aby z siedzenia obok kierowcy mógł obserwować drogę za nimi. Ku jego uldze nikt ich nie śledził. Nikt też chyba ich nie obserwował, gdy odstawiali mały samochód. Zaparkowali go na leśnej drodze za stosem ściętych pni drzew. Zapewne zwłoki w bagażniku zostaną odkryte już najbliższego ranka przez weekendowych spacerowiczów, ale z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością nie stanie się tak w ciągu najbliższych godzin. Przy tej paskudnej pogodzie nikt nie włączył się po lesie przy drodze B 198, a jeśli nawet, to z pewnością mało się interesował porzuconymi w nim wrakami.

– Tak, ENDE – potwierdziła Andra. – Tak brzmi wiadomość.

R34A3W2

Zjawiła się przed nim na umówionym miejscu i wykorzystała ten czas, aby za pomocą książki odczytać szyfr.

– Co Zoe chciała nam przez to powiedzieć?

– Przesłanie jest w zasadzie dosyć jednoznaczne – zdecydowała Andra. – Boi się śmierci.

– Tak, ale ona jest przy tym mądra. Użyła tajnego języka i znalazła sposób, aby pozostawić nam wiadomość. Ktoś, kto tak myśli, nie marnuje czasu na pozbawione znaczenia informacje, które nijak nie przyczynią się do jego uratowania.

*Szyfr. Czas. Informacja.*

Milan przebiegł w myślach swoje własne słowa.

*Uratowania.*

– Zatrzymaj się na chwilę – poprosił.

– Po co? – Andra nie miała zamiaru zdejmować nogi z gazu.

– Musisz coś dla mnie wygooglować. Szybko!

Podenerwowana Andra mlasnęła językiem i zahamowała tak mocno, że warkocz przeleciał jej przez ramię. Stała na poboczu i włączyła światła awaryjne.

– Co?

– Czy jest coś takiego jak książka telefoniczna mieszkańców Rugii?

– Raczej ogólnoniemiecki wykaz online. Ale wiem, co masz na myśli.

ENDE to nie była wskazówka dotycząca samopoczucia lub stanu zdrowia Zoe.

To słowo odnosiło się do sprawcy!

Sięgnęła po swoją komórkę i odblokowała ekran ze zdjęciem swojej córki.

Milan odetchnął głęboko, aby skoncentrować się na tym co istotne, a po chwili Andra odezwała się podnieconym głosem:

– Masz rację. Dwa wpisy.

– Gdzie?

– Jeden w Gustow. Karin i Thomas Ende. A drugi w... – Zamarła.

– Gdzie? – spytał, choć domyślał się już odpowiedzi. Mimo to przeżył szok, gdy Andra odczytała mu na głos adres:

– Ulica Stubbenkammerstraße 14.



## 35

**K**olejne dwie godziny jazdy spędzili w milczeniu. Wyglądało to tak, jakby stwierdzenie, że ostatnia wiadomość pozostawiona przez Zoe poprowadzi ich do Lohme na Rugii, wytworzyło akustyczną próżnię w samochodzie. Na wysokości Malchowa – akurat wyprzedzili jakiś paskudny samochód kempingowy – Andra włączyła radio, tylko po to, aby po krótkim przełączaniu stacji ponownie je wyłączyć. Zbyt nie na miejscu były jego dźwięki. Wesoła muzyka zdawała się szyderstwem, a tonacje molowe tylko wzmagaly ich fatalistyczny nastrój.

*Stubbenkammerstraße.*

Wprawdzie nie mieszkał tam żaden *Jakob Ende*, lecz zgodnie z zamieszczonymi informacjami – *Frank-Eberhardt Ende*, i to w domu o numerze 14.

*Właśnie tam.*

W starym, krytym trzcina domu jednorodzinnym z błękitnymi drzwiami, o ile się zachowały. Był to mały cud, że dom nie spłonął całkowicie podczas pożaru. Ktoś – prawdopodobnie jakiś sąsiad – bardzo wcześnie zaalarmował straż pożarną. Przybyli strażacy znaleźli Milana ze złamaniem podstawy czaszki u stóp schodów. W gęstym dymie najpierw stracił orientację, a potem przytomność. Gdyby straż przybyła kilka minut później, nigdy więcej by już jej nie odzyskał.

Gdy pod Stralsundem jechali przez most wiodący na Rugię, Milan poczuł nerwowe mrowienie wędrujące od kości ogonowej w górę, wzdłuż kręgosłupa. Skulił się na swoim siedzeniu, czując, jak brakuje mu powietrza, ale zanim ta nerwowość przemieniła się w regularny atak paniki, Andra przerwała milczenie i odwróciła jego uwagę, zadając zaskakujące

pytanie.

– Myślisz, że zło jest chorobą?

Przejechał ręką włosy. Przełknął ślinę.

– Mówisz o mnie czy o Jakobie?

Zaśmiała się odrobinę za głośno.

– Dureń. Ty nie jesteś zły. Jak sądzisz? Czy on zawsze był taki?

– Właśnie teraz? Mamy prowadzić filozoficzną dysputę, podczas gdy jakiś szaleniec zmusza nas do gonienia po nocy?

– No to kiedy, jeśli nie teraz?

Zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział salwą kontrpytań:

– Myślisz, że Jakob jest jakimś wyjątkiem? Błędem natury? Czy też że zło tkwi w każdym z nas i w wyniku wychowania jest trzymane na wodzy?

Pokręciła głową.

– Moje pytanie jest bardziej konkretne: Czy sądzisz, że zło jest czymś, co może być przekazywane z pokolenia na pokolenie?

– Jak defekt genetyczny? – Nieświadomie złapał się za głowę. Pomyślał o swoim dziadku Willym i o króliku ojca, zabitym rzekomo przez Willy’ego tylko dlatego, że jego syn przyniósł ze szkoły gorszą ocenę.

To nie była jedyna anegdota o dziadku. Większość z nich była tak odpychająca, że jego zdaniem należały raczej do krainy legend i niewiarygodnych plotek. Najgorszą opowiedział mu własny ojciec, i to akurat w dzień pogrzebu Willy’ego.

„Wiesz, czemu twoja babcia tak wcześnie zmarła?” – spytał wtedy Milana. Wzrok miał już szklisty po alkoholu, który był serwowany na stypie w Stubbenkrugu.

„Przechodziła przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, bo już nie widziała zbyt dobrze, i została potrącona przez samochód”.

„Słusznie. Ale wiesz może, dlaczego miała problemy z oczami?”

Milan miał wówczas siedem lat. Wiek, w którym człowiek jest bez żadnego zabezpieczenia wystawiony na traumatyczne opowieści. Pozbawiony ochronnej skorupy otępienia, która narasta wraz z wiekiem.

„Z powodu Willy’ego. Wiesz, po co tak często wyprawiał się na te swoje leśne spacerki? Zbierał kleszcze. Całe worki. I wykorzystywał je”.

„Do czego?”

„Aby karać swoją babcię. Podrzucał je jej do łóżka, mieszał z musli. Za każdym razem gdy sądził, że niedokładnie starła podłogę lub źle złożyła jego koszule. Pewnego razu przez pomyłkę otworzyła list, który był zaadresowany do Wilhelma, a on ukarał ją za to rzekome wścibstwo. Zbił ją do nieprzytomności. Gdy się znów obudziła, leżała z rękami i nogami przywiązanymi do słupków łóżka, a powieki miała przyklejone taśmą izolacyjną, tak że nie mogła mrugać. Były tak szeroko otwarte, aby on mógł umieścić w oczach kleszcze. Czy umiesz sobie wyobrazić, jak siedział z uśmiechem na jej łóżku i cieszył się z jej krzyków, podczas gdy te bestie się wgryzały, robiły się coraz grubsze i wysysały wzrok babci?”

Przez całe lata Milan wierzył w tę historię, dopóki się nie dowiedział, że kleszcze piją tylko krew, a nie inne płyny ustrojowe. Przy czym dzisiaj mógł być pewien tylko jednego: że to nie kleszcze uszkodziły babci wzrok. Ale czy aby dziadek nie „wypróbował” na niej tego sposobu? Albo czy rogówka babci nie uległa wysuszeniu, gdy Willy przykleił jej powieki taśmą klejącą?

– Być może zło jest chorobą dziedziczną – uzupełniła Andra, która nie mogła sobie zdawać sprawy z tego, jakie wspomnienia obudziła w Milanie.  
– Mam na myśli to, że szukamy przyczyn w dzieciństwie lub w traumach, w wyniku których ofiary stają się zawsze sprawcami. Z pewnością często tak się dzieje. Ale co, jeśli Jakob nic nie może na to poradzić, że już taki jest? A co, jeśli on w równie niewielkim stopniu zdecydował o tym, czy udusić tę kobietę w kiblu, jak o tym, czy miał przyjść na świat z zielonymi, czy też z brązowymi oczami?

Milan masował sobie skronie, co było typową czynnością odruchową, bo choć powoli znów chciało mu się pić, jego tak często pojawiający się pod wpływem stresu ból głowy jeszcze nie dał o sobie znać.

– Nie mam zielonego pojęcia, czy istnieje coś takiego jak gen psychopaty – odpowiedział, aby zakończyć tę niepokojącą rozmowę. – I w tej chwili jest mi to całkowicie obojętne. Nie ma chyba żadnego środka na zaburzenie Jakoba, który by tu i teraz zakończył jego szaleństwo. – Spojrzał na zegarek. – A my nie mamy czasu. Musimy odszukać tę dziewczynkę do poniedziałku do godziny dwudziestej piętnaście, jeśli mamy uratować ją od śmierci. Bo jedno jest pewne: prędzej zatrzymamy tego wariata, niż ja

wygrzebię skądś pieniądze.

Andra spojrzała na niego z ukosa.

– Czy to jest jedyny powód, dla którego jedziemy na wyspę?

– Co masz na myśli?

– Dobrze mnie rozumiesz. Chcesz pomóc tej dziewczynce, to prawda. Ale prawdą jest również to, że nie wierzysz Jakobowi. Bardzo prawdopodobne, że masz coś wspólnego z Zoe. Jak inaczej miałaby ona dowiedzieć się o tajnym szyfrze z twojego dzieciństwa?

– Nie mam pojęcia.

– Chciałabym być z tobą szczerą, Milan. – Złapała za kolczyk wbity w brew. – Po tym, jak potrzebowałeś dwóch lat, aby opowiedzieć mi, że jesteś analfabetą, nieco obawiam się tego, czego jeszcze mogę się podczas tej podróży dowiedzieć o tobie.

Ponownie zaległo milczenie, stojące teraz jak mur między nimi. Utrzymywało się tak przez kilka kilometrów, nim Milan je przerwał.

– A co jest z tobą?

– A co ma ze mną być?

– Czego się dowiem o tobie, jeśli będę drążyć głębiej?

– Czy dałam ci jakiś powód, abyś stawiał mi takie pytania?

Milan zastanowił się. Czy miał jej powiedzieć, że widział esemes od Hulka? Mógł on mieć całkowicie niegroźną przyczynę. A wówczas zaprzepaściliby zaufanie, jakim darzyła go Andra, absolutnie bez powodu. Nigdy więcej nie dopuściłaby go w pobliże swej komórki.

Byłby to początek końca, do którego być może i tak już zmierzali. Milan postanowił więc wkroczyć na razie na pewniejszy dla niego grunt.

– Na początek mogłabyś mnie oświecić, o co chodzi z tym twoim bzikiem na punkcie taksówek.

– Właśnie teraz? To właśnie jest to, co chcesz o mnie wiedzieć?

Musieli się zatrzymać przed zamkniętym przejazdem kolejowym, a gdy pociąg towarowy już przejechał, Andra ruszyła w stronę, którą wskazywały strzałki na ekranie nawigacji.

– Wiesz, co w tobie kocham? Że mówisz tak mądre rzeczy, nawet jeśli czasami nie wiesz dlaczego, Milan. – Zamrugła, jakby została oślepiona światłem. – To był sylwester przed dziesięciu laty. Pierwszy raz od

dłuższego czasu, gdy zostałam sama. Louisa była u swojego taty. Na imprezie, jak często w tamtym czasie, całkowicie się urznęłam. Wódka, red bull, gin z tonikiem, piwo, wszystko razem. Gdy wyszłam o trzeciej nad ranem na świeże powietrze, moje koleżanki zostały, by się bawić. Chciałam już wracać do domu. Sama. Wszystko się wokół mnie kręciło i nagle poczułam, że mocno przeceniłam swoje siły. Że za nic na świecie nie dam rady pokonać drogi do domu. Padał śnieg, a petardy i rakiety wciąż huczały wokoło. Dzielnica Friedrichshain, jak wiadomo, nie jest bynajmniej dobrym miejscem na spokojne spacerowanie w sylwestra. – W głosie Andry pojawiły się drobne, ale słyszalne rysy. – W każdym razie zobaczyłam podjeżdżającą taksówkę, jeden dom dalej. Dowlokłam się do niej i otworzyłam drzwi. Kierowca zwrócił się do mnie, używając imienia, którego nie zrozumiałam, tak byłam zaprawiona. Spytał, czy to ja zamawiałam taksówkę. Powiedziałam: „Tak, jasne”, bo w sylwestra przy tej pogodzie znalezienie wolnej taksówki było jak trafienie szóstki w lotto. Wsiadłam więc do środka, a facet dowiózł mnie ciepłą i bezpieczną do domu. – Kolejne mrugnięcie. Nagle głos Andry stał się bardzo zmęczony. – Dwa tygodnie później ktoś zapukał do moich drzwi. Stał przed nimi jakiś mężczyzna. Błady, oczy czerwone jak u alergika przy kombajnie. Jak u człowieka, który przez cały miesiąc nie spał. Zapytał mnie, czy w sylwestra na Palisadenstraße na wysokości Teatru Kryminalnego nie sprzątnęłam sprzed nosa taksówki pewnej kobiecie.

– Och!

– Poznał wtedy, że to mnie szukał.

– Dlaczego to robił? – spytał Milan, dla którego od dłuższego czasu było jasne, że ta historia nie zmierza do dobrego zakończenia.

– Jego żona wezwała taksówkę. Była w ciąży i rozpoczęły się bóle porodowe. Przed czasem, ale z tego powodu jeszcze silniejsze. Zadzwoiła więc do swojego męża, który jako gastronom dostarczał gdzieś poza Berlinem catering. Powiedziała mu, że weźmie taksówkę i że się spotkają w szpitalu. Prawdopodobnie nie zeszła wystarczająco szybko po schodach. W każdym razie ja byłam szybsza, a ona potem nie mogła złapać żadnej innej taryfy. Sama więc wsiadła do samochodu. – Andra zrobiła przerwę i wzięła głęboki oddech. – Ujechała tylko trzy przecznice. Podczas skurczu

przeoczyła czerwone światło. Ona i dziecko zginęli na miejscu.

*Wielki Boże!*

– Dlaczego nie wezwała karetki? – spytał Milan.

Westchnęła.

– Katastrofa jest zawsze efektem wielu błędów. Spieranie się na koniec, kto popełnił największy z nich, który z nich doprowadził do tragedii, jest bezcelowe. – Podniosła rękę w geście rezygnacji i opuściła ją z powrotem na kierownicę. – Mężczyzna odnalazł mnie poprzez centralę taksówek. Kierowca bardzo dobrze przypominał sobie sikse, która w połowie drogi zarzygała mu cały samochód. – Chrząknęła, próbując się pozbyć czegoś więcej niż tylko chrypki z gardła. Milan przypuszczał, że mówiła dalej tylko dlatego, bo inaczej wybuchłaby płaczem. – Jeszcze dwieście metrów, potem w lewo i jesteśmy na miejscu. Proponuję, abyśmy przejechali obok tego domu, aby się upewnić, że to naprawdę twój dawny dom. Potem poszukamy sobie miejsca, w którym będziemy mogli się chwilę zdrzemnąć. Chyba że chcesz ściągać tego pana Ende z łóżka o drugiej w nocy.

– Nie.

*Nie będzie to chyba nawet potrzebne*, pomyślał Milan dwie minuty później. Nie trzeba było ani dzwonić do drzwi, ani szukać miejsca parkingowego na resztę nocy. Gdyż przed domem numer 14 noc przestała istnieć.

Ciemność, która w tej małej miejscowości na północnym wybrzeżu Rugii o tej godzinie zwykle mogła robić konkurencję czarnej dziurze, teraz była rozrywana przez liczne światła alarmowe. Przez czerwono-niebieskie błyski karetki pogotowia, policji i karetki szpitalnej. Oświetlały one upiorną scenerię jak szperacze przestrzeń powietrzną nad obszarem działań zbrojnych. Ukazywały tak niepokojący obraz, że Milan przez chwilę sądził, iż zapadł w trwający sekundę sen i objawiła mu się w nim twarz, którą kilka godzin wcześniej zobaczył po raz pierwszy w swoim życiu.

– To niemożliwe – usłyszał, jak Andra wypowiada na głos jego własne myśli.

Twarz starszego mężczyzny, przypiętego do noszy i wynoszonego z domu do karetki pogotowia.

– To jest przecież...

– ...właśnie on – potwierdził Milan, gdy zatrzymali się przed karetką.

*Bez wątpienia.*

To był ten zagubiony starszy mężczyzna z amerykańskiej restauracji, który chciał mu podarować pigułki. Lekarstwo, po którym Milan miał rzekomo znów umieć czytać.

*Znów.*

## 36

**S**tarsza kobieta otworzyła im drzwi z tak błagalnym i zrozpaczonym wyrazem twarzy, że Milanowi niemal pękło serce.

Miała na sobie szlafrok i pluszowe pantofle, które kolorystycznie pasowały do jej nabiegłych krwią oczu. Siwe włosy kleiły się po bokach do głowy jak rozchyłona zasłona, przez co jej szczupła twarz wydawała się jeszcze smuklejsza. Podniosła drżące dłonie do ust i przytrzymała je tam, jakby próbowała ukryć zepsute zęby. Prawdopodobnie starała się w ten sposób zasłonić tylko drżącą dolną wargę. Miała zapłakane oczy.

W ten sposób pewnie musiała wyglądać matka trzymająca się kurczowo nadziei, że wszystko będzie dobrze i policja powie, iż znaleziono jej zaginione dziecko i wkrótce ono do niej wróci, całe i zdrowe.

– Kim państwo są? – spytała Milana i Andrę, ale jej słowa nie brzmiały tak szorstko lub odpychająco, jak o trzeciej nad ranem powinno w zasadzie brzmieć powitanie całkowicie obcych sobie osób.

Poczekali, aż zgiełk przeminie. Gdy karetka pogotowia, policja i lekarz w końcu odjechali, nie zwracając najmniejszej uwagi na mini na berlińskich numerach rejestracyjnych, wciąż nie wiedzieli, co w tej sytuacji powinni zrobić.

Aż zobaczyli jakiś cień w oknach salonu. Małą, drobną postać, która za zasuniętymi zasłonami chodziła w tę i we w tę z rękami założonymi za głowę. Wtedy zebrali się na odwagę i zapukali do drzwi dawnego domu rodzinnego Milana. Zapukali, bo dzwonka – przeciwnie niż czternaście lat temu – nie było. Drzwi także nie były już błękitne, ponieważ zostały zastąpione jakimś typowym, szaro-białym produktem z marketu budowlanego.



– Chodzi o pani męża. – Milan odważył się na strzał w ciemno. Jeśli sądzić po wieku, mógł trafić. Mężczyzna, którego Milan spotkał w restauracji i który dopiero co został wyniesiony z domu, miał około siedemdziesięciu lat. Tak jak kobieta w drzwiach, która stała teraz przed nimi z lekko zgarbionymi plecami.

– Nie rozumiem. Jesteście państwo z policji?

Andra i on pokręcili synchronicznie głowami, przy czym po Andrze było widać, jak bardzo nie na miejscu się tu czuje.

Bo cokolwiek się tu wydarzyło – zawał serca, napad lub inne nieszczęśliwe zrządenie losu – najwyraźniej całkowicie wytrąciło to starszą kobietę z równowagi. Była w ciężkim szoku.

Milan zrozumiał teraz, dlaczego czasopisma brukowe natychmiast po czyjejś śmierci wysyłają do pozostałych przy życiu tak zwanych przepeytywaczy wdów. W emocjonalnym stanie nadzwyczajnym, w którym się znajdują ofiary, łatwo można je wykorzystać i zrobić z nimi prawie wszystko: zmusić je do wyciągnięcia starych rodzinnych fotografii, a nawet do pozowania przed obiektywem kamery.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien się podać za reportera, zdecydował się jednak powiedzieć prawdę.

– Wydaje mi się, że spotkałem dziś pani męża w Berlinie.

– W Berlinie? – Oczy kobiety otworzyły się ze zdumienia.

– Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, bo minęło zaledwie kilka godzin... – powiedziała Andra, nerwowo bawiąc się swym warkoczem.

*A on by musiał natychmiast tu wrócić, i zjawić się tu jeszcze wcześniej niż my.*

– ...ale jesteśmy dość pewni, że...

– Proszę wejść – przerwała im starsza pani.

## 37

**M**ilan i Andra wymienili zaskoczone spojrzenia i poszli za nią przez sień do salonu. Milan mimowolnie wstrzymał oddech.

Liczył się z napływem silnych uczuć zaraz po przekroczeniu progu domu, w którym spędził pierwszych czternaście lat swego życia. Przecież nagle znalazł się w otoczeniu ścian, które słyszały jego pierwszy śmiech, strzegły jego snu i wraz z nim przeżywały jego największe zmartwienia. Już sama ta sień częściej widziała go wchodzącego i wychodzącego z domu niż jakiegokolwiek innego człowieka na ziemi. Była miejscem wyjść i powrotów jego młodzieńczych wypraw do szkoły i do przyjaciół. Oraz *do Yvonne*.

Jednak melancholijne, słodko-gorzkie uczucie związane ze wspomnieniami się nie pojawiło. Zbyt wiele w tym domu zmieniły pożar i ich wyprowadzka. Wykładzina podłogowa, obicia i farba na ścianach, garderoba, wszystkie meble... Nic nie było takie samo jak w jego czasach, co Milan stwierdził z ulgą. Nie zmienił się tylko rozkład pomieszczeń, a mimo to salon wydał mu się teraz o wiele mniejszy niż dawniej. Mogło to wynikać z tego, że Milan urósł. Albo też z tego, że cały parter zajmowały teraz kartony z rzeczami, porozstawiane tu i tam na podłodze z łupka. Niektóre z nich były porozrywane i odsłaniały wnętrza pełne książek, garnków, utensyliów łazienkowych lub bielizny. Na pierwszy rzut oka Milan nie umiał powiedzieć, czy mieszkańcy tego domu właśnie się wprowadzali, czy też wyprowadzali.

– Przepraszam, jesteście już starzy. Powinniśmy byli poprosić kogoś o pomoc przy rozpakowywaniu – odpowiedziała kobieta na nieme pytanie Milana. – Ale proszę, siadajcie państwo. – Wskazała na skórzaną kanapę, na

której stał kosz na pranie pełen narzędzi.

Milan odstawił kosz na bok, aby także Andra miała gdzie usiąść. Zanim sam zajął miejsce, poszukał wzrokiem otwartego kominka, przy którym tak często zasypiał, oglądając telewizję.

*Który zabił mamę.*

Bogu dzięki kominek zniknął gdzieś w ciągu tych lat. Został zburzony i zastąpiony wciąż pustym w tym momencie regałem na książki.

– Niestety nie mogę państwu niczego zaproponować. – Starsza pani usiadła na nowoczesnym fotelu, który nie pasował do reszty wystroju. Stojąca lampa roztaczała o wiele zbyt jaskrawe światło. – W Berlinie? – spytała teraz ponownie. W oczach nie miała już łez, ale ręce wciąż drżały jej tak samo jak głos.

– Tak. Wczoraj późnym popołudniem – odpowiedziała Andra.

Kobieta skinęła głową i przesunęła sobie pasmo włosów za ucho. Kiedyś prawdopodobnie była bardzo atrakcyjna i gdzieś tu, w kartonach z rzeczami, musiał się znajdować album ze zdjęciami, które to udowadniały.

– Tak, to by się zgadzało – stwierdziła i poszukała bezpośredniego kontaktu wzrokowego z Milanem. Ku jego zaskoczeniu, a także przerażeniu odezwała się smutno: – Zupełnie inaczej sobie pana wyobrażałam.

– Proszę? – Coś zatrzeszczało w jego uszach, a wysoki szum momentalnie stał się tłem dla następnych słów gospodyni.

– Na zdjęciach wygląda pan całkiem inaczej – stwierdziła. Potrząsnęła przy tym głową, jakby to stwierdzenie było równie niesamowite jak wiadomość o ataku terrorystycznym w bezpośrednim sąsiedztwie. – A więc to pan!

– O czym pani mówi? – niemal krzyknął Milan. Szum, z którym musiał się zmagać, przybierał na sile. – Za kogo mnie pani uważa? – syknął i pożałował tego w chwili, w której otrzymał odpowiedź.

Gdy starsza pani powiedziała:

– Jest pan najwyraźniej przyczyną, dla której mój mąż próbował sobie dzisiaj odebrać życie.

## 38

**W**iem, że powinnam teraz być z nim, ale na to jest dla mnie jeszcze za wcześnie.

Tylko z najwyższym trudem nie traciła panowania nad sobą. Kobieta wiedła w oczach. Dla tego procesu, który właśnie obserwował, Milan nie mógł znaleźć lepszego słowa. Jej skóra, mięśnie, szkielet kostny – wszystko to wydawało się na jego oczach przegrywać walkę z siłą ciężenia.

– Najpierw pojechał samochodem do Berlina, choć wcześniej prawie nie spał. Potem popędził tego samego dnia z powrotem. Nie odezwał się ani słowem i płacząc, zamknął się w łazience. – Wysupłała materiałową chusteczkę do nosa z kieszeni szlafroka, ale jej nie użyła. – Mój mąż się zmienił. Nie czuje się teraz dobrze. – Zaśmiała się histerycznie. – No tak, to chyba oczywiste w przypadku kogoś, kto w środku nocy podcina sobie żyły, podczas gdy żona szykuje dla niego kanapki przy kuchennym stole.

– Dlaczego to zrobił? – spytała Andra. Cicho, powoli. To była jej mocna strona. Choć umiała kłąć jak szewc, potrafiła też znaleźć łagodne tony, jeśli sytuacja tego wymagała.

– Wyjaśniałam to już lekarzom. Zmienił się. Wiem nawet dokładnie kiedy. To było drugiego sierpnia. Gdy wrócił wtedy ze swojego gabinetu, wyglądał tak, jakby zobaczył ducha.

– Z gabinetu? – spytał Milan.

– Jest lekarzem. Ale przecież musi pan o tym wiedzieć!

– Skąd?

Pochyliła głowę.

– Bo to on przecież wtedy pana leczył. Inaczej nie pojechałby do pana do Berlina.

*Leczył mnie Frank-Eberhardt Ende?* Milanowi nic to nazwisko nie mówiło.

– Czego pani mąż chciał ode mnie?

Kobieta chrząknęła i wykonała ruch ręką, jakby zamierzała przepędzić muchę. Wydawało się, że nawet ten gest wymagał od niej największego wysiłku.

– Przeprosić pana, jak sędzę. – Łza potoczyła się po jej pooranym zmarszczkami policzku. – Bardzo mi przykro, ale nie wtajemniczał mnie we wszystko. W zasadzie przestał ze mną rozmawiać. Zawsze wszystkiego dowiadywałam się dopiero po fakcie. Jak na przykład tego, że opróżnił nasze konta i całe oszczędności włożył w ten dom. – Rozejrzała się wokół, wykrzywając niemal z odrazą kąciki ust. – Co za bezsens. Sprzedawca żyje sobie teraz w apartamencie w najlepszym hotelu na wyspie, bo mąż musiał zapłacić dwukrotność ceny rynkowej.

– Ale dlaczego? – zainteresowała się Andra.

– Tego mi nie zdradził. Pewnego ranka stanął obok mojego łóżka i oświadczył, że się udało. Musieliśmy się przeprowadzić. Sam nabył w markecie budowlanym wszystkie te kartony. – Zakasłała do chusteczki. – Mało co mówił. Tylko we śnie. Walczył wtedy ze swoimi demonami. Krzyczał do nich, że wszystko naprawi. Że żałuje tego błędu.

*Błędu?*

Milan pochylił się w kierunku kobiety, która ciągnęła:

– Przypuszczam, że źle pana leczył, a wina z tego powodu dręczyła go i pozbawiła go rozumu. Dlatego przejechał dziś całą tę drogę do pana i z powrotem. Czy jest pan wybitnie uzdolniony, chłopcze?

To pytanie wywołało w Milanie jednocześnie wiele odczuć. Z jednej strony zaschło mu w gardle, z drugiej wzrosło mu tętno. Typowa reakcja walki lub ucieczki.

– Nie. Ja... – Chciał już powiedzieć: „raczej przeciwnie”, gdy kobieta skonkretyzowała swoje pytanie:

– Czy ma pan jakieś szczególne uzdolnienie, które wiąże się z problemami w codziennym życiu?

Kątem oka Milan zobaczył, jak Andra mimowolnie kiwa głową.

– Pani Ende, ja...

Pokręciła głową.

– Nie nazywam się Ende. Moje nazwisko to Karsov.

Milan poczuł, jak Andra obraca się w jego stronę. Przypuszczał, że patrzy na niego pytająco.

On sam siedział jak skamieniały po tym, jak poznał nazwisko kobiety.

– Profesor Patrick Karsov? – spytał.

– To mój mąż – potwierdziła starsza pani.

– Chirurg w klinice na Rugii?

– Znasz go? – szepnęła Andra, a Milan skinął głową.

*Operował mnie. Po pożarze. Przed przeprowadzką.*

Dlatego starszy pan wydawał mu się znajomy, gdy go zobaczył w restauracji.

– Był nim dawniej – stwierdziła kobieta. – Dziesięć lat temu otworzył gabinet medycyny ogólnej. W oczach naszych przyjaciół był to krok wstecz. Patrick, słynny neurochirurg, zajmował się teraz grzybicą stóp i astmą. Ale prywatna praktyka zapewniła mu czas potrzebny na własne badania. Jego pasją byli sawanci.

Milan zamrugał.

– Obawiam się, że nie nadążam.

– Pacjenci, u których po ciężkim urazie mózgu zaczęły się nagle rozwijać wprost nadnaturalne zdolności.

Milanowi przypomniał się film dokumentalny o pewnym człowieku, który był w stanie przypomnieć sobie każdy szczegół ze swego dzieciństwa po tym, jak dostał kijem bejsbolowym w głowę.

– Wszystko jedno. – Pani Karsov machnęła drżącą ręką. – Zostawmy to. Mój mąż już od dłuższego czasu nie prowadzi praktyki. – Przełknęła ciężko ślinę. – Od niedawna nie przepisuje nawet syropu na kaszel.

– Ale według książki telefonicznej w tym domu mieszka Frank-Eberhardt Ende? – spytała Andra.

Pani Karsov przyjrzała się jej przez chwilę w milczeniu, niemal lustrując ją wzrokiem, zanim odpowiedziała:

– Powiedziałam przecież, że Patrick kupił dom od niego. Mieszkamy tu już od ośmiu tygodni, ale mój mąż nie chciał nawet rozpakować kartonów. Powiedział, że ten dom w zasadzie nie należy do nas. Że nim tylko

zarządzamy.

– W czym imieniu? – zainteresował się Milan.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko niemal w transie dodała:

– Jedyne pokój, który urządził, to pracownia. – Zamknęła oczy. Ciężar psychiczny, który na niej spoczywał, zrobił się chyba jeszcze większy.

– Czy możemy go zobaczyć? – spytał Milan.

Przez pewien czas starsza pani milczała i Milan przypomniał sobie, jak cicho bywało w tym małym domku, gdy wszyscy spali. Liczył się już z tym, że jego prośba pozostanie niespełniona, ale najwyraźniej nie docenił siły fatalizmu starszej kobiety. To, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, trwale nadwyreżyło jej zdecydowanie, a być może nawet chęć życia.

– Skoro państwo koniecznie chcą. – Westchnęła zrezygnowana. – Ale proszę nie oczekiwać, że będę wam towarzyszyć. Wiecie państwo, widok tej całej krwi w wannie był wystarczająco straszny. Jeśli jednak mam być szczerą, jeszcze większe ciarki przechodzą mnie, gdy widzę pokój Particka w piwnicy.

## 39

**N**a co dzień Milan często zmagał się z uczuciem, że został porzucony w jakimś obcym kraju, którego języka nie znał i którego znaków – napotykanym na plakatach, szyldach ulicznych i ścianach domów – nie potrafił rozszyfrować. Jednak poczucie, że jest turystą, który rozbił się na obcym lądzie, było niczym w porównaniu z tym, czego doświadczył na widok tak zwanego gabinetu.

Milan zszedł za Andrą do niskiego, pozbawionego okien pomieszczenia piwnicznego, którego unikał już jako dziecko. Wówczas były tu przechowywane odpady wielkogabarytowe, choć jego rodzice nigdy by tak nie nazwali zużytych krzesel, stołów, zabawek, rowerów czy starych komód. Teraz pomieszczenie nie było tak zastawione, a mimo to Milan poczuł się jak w zupełnie obcym świecie, którego nawet jako osoba umiejąca czytać nie dałby rady pojąć. Ponieważ najwyraźniej był to świat wariata.

*Opętany*, to było pierwsze, co przyszło Milanowi do głowy, gdy się rozejrzał wokół.

Nie było prawie widać tynku pokrywającego pierwotnie mury tego kwadratowego pomieszczenia. Wszystkie ściany były wytapetowane zdjęciami, artykułami gazetowymi, wydrukami komputerowymi i stronami wyrwanymi z książek.

– Ostrożnie! – przypominała go Andra, ale było za późno.

Milan zdążył już stanąć na jednej z ponad setki karteczek samoprzylepnych, którymi Karsov wyłożył podłogę. Wszystkie były zapisane bardzo drobnym, wyglądającym niezwykle pedantycznie pismem. Odlepił więc żółtą wlepkę od swojego buta i rozejrzał się w poszukiwaniu



miejsca, na którym mógłby bezpiecznie stanąć. Na koniec nie pozostało mu nic innego, jak przesunąć na bok stos akt, aby móc podejść do stołu. Był to rodzaj stołu kreślarskiego, jakich używało się dawniej w biurach architektonicznych. Z pochyloną powierzchnią roboczą stół wyglądał jak gigantyczny biały pulpit do czytania. Do drewna przypięte były pinezkami niezliczone zdjęcia, a każde z nich przedstawiało tę samą twarz, fotografowaną w ciągu ponad dziesięciolecia. Przy czym wszystkie zdjęcia były posegregowane chronologicznie od lewej do prawej.

– O cholera – powiedziała Andra, gdy rozpoznała mężczyznę na zdjęciach.

Pierwsze z nich wyglądało jak wycięte z gazety i leżało obok fotografii paszportowej, po której następowały zdjęcia, pochodzące chyba z internetu. Milan wcale nie wiedział, że można je tam znaleźć, bo jeszcze nigdy nie wyszukiwał sam siebie w Google.

– Co to ma znaczyć? – chciała wiedzieć Andra.

Nie umiał jej udzielić odpowiedzi. Milan nie miał pojęcia, dlaczego lekarz tak intensywnie się nim zajmował. Milanem Bergiem, którego czaszkę Patrick Karsov przed ponad czternastoma laty musiał otworzyć, aby zmniejszyć ciśnienie powstałe w wyniku obrzęku mózgu po upadku ze schodów.

*Przypuszczam, że źle pana leczył, a ta wina go dręczyła i pozbawiła go rozumu.*

– Co jest napisane na wszystkich tych kartkach? – spytał Milan w nadziei na wyjaśnienie tego niezwykłego kultu jednostki.

Andra na chybił trafił odczepiła od ściany dwa arkusze formatu A4 i odczytała tytuł znajdujący się na pierwszym z nich:

– Nowa substancja czynna sprawia, że neurony znów rosną. – Spojrzała na drugą kartkę. – Zespół badawczy z Centrum Helmholtza do spraw komórek macierzystych przywraca nadzieje ludziom z porażeniem połowicznym.

Milan pokręcił głową.

– To nie ma ze mną nic wspólnego. Nie jestem sparaliżowany.

– To po co to wszystko? – Andra wskazała na fotografie na stole. – Myślisz, że Karsov jest po prostu twoim fanem i podczas pracy potrzebuje

na ciebie patrzeć?

*Cokolwiek w tym przypadku znaczy praca.*

Odczepiła kolejny wydruk od ściany.

– „To, co zaobserwowaliśmy, to było cofnięcie się choroby”, donosi Greg Brown z Uniwersytetu w Waszyngtonie.

– Cofnięcie się?

*Jakiej choroby?*

Czy miał na myśli analfabetyzm? *Ale nie, to nie jest żadna choroba, żadne uznane zaburzenie.* A mimo to cytat z artykułu przeczytany przez Andrę był jak klucz do jego wspomnień. Milan ponownie powrócił myślami do spotkania z profesorem w amerykańskiej restauracji.

Słyszał jego głos tak wyraźnie, jakby staruszek stał teraz tuż obok niego: „Jeśli będzie pan je zażywać, być może znów będzie pan umiał czytać”.

Cofnięcie się choroby!

Milan zamrugał i zmusił się do powrotu do rzeczywistości, w której Andra czytała dalszą część artykułu:

– Nowy środek prawdopodobnie może wspomagać trombektomie lub wręcz je zastępować.

– Co?

Powtórzyła to, ale Milan już przedtem wszystko usłyszał. Po prostu nie wiedział, co znaczy trombocośtam.

Andra otworzyła szufladę biurka.

– Boże – jęknęła, choć powodem tego była tylko połówka zepsutego banana, który prawdopodobniegnił w szufladzie od wielu dni.

– Poczekaj – poprosił Milan, gdy Andra chciała już ponownie zamknąć szufladę.

Ona także to zobaczyła. Wyjęła z kieszeni spodni chusteczkę do nosa i za jej pomocą wyciągnęła spod banana tkwiące tam akta chorobowe.

– Jest na nich moje nazwisko, prawda?

Andra skinęła głową i otworzyła brązowy skoroszyt. Wypełniały go kartki, które tylko częściowo były wpięte, a częściowo leżały luźno między okładkami. Znów wpadł im w ręce gazetowy artykuł.

– To przecież tutaj! – Milan ponownie mógł rozpoznać tylko zdjęcie z pierwszej strony lokalnego czasopisma. Bez wątplenia przedstawiało ono

dom, w którego piwnicy właśnie stali. Dom, w którym wyrósł i w którym stracił matkę. – Czytaj na głos!

Obserwował, jak Andra podczas czytania porusza bezgłośnie ustami.

Tak jak kiedyś w szkole Yvonne, gdy miała trudne zadanie do wykonania.

Na koniec Andra otworzyła szeroko oczy. Gdy wypuściła z rąk kartkę razem z całą teczką, wyglądała na tak wstrząśniętą jak jeszcze nigdy dotąd.

– Co?

Potrząsnęła głową i wyszeptała:

– Nie mogę tego zrobić.

– Co to ma znaczyć? – Gdy mimo jego pytania nie zareagowała, miał ochotę nią potrząsnąć: – Co, do diabła, było napisane w artykule?

– Bardzo mi przykro, Milan. – Odłożyła teczkę do szuflady.

– Hej! Hej! Poczekaj!

Krzyczał za nią, ale ona, nie zwracając na to uwagi, popędziła bez jednego słowa w górę schodów. Potem jej kroki zabrzmiały w sieni nad jego głową, by opuścić dom i zniknąć w mroku nocy.

# 40

**Kurt / Berlin**

POSZUKIWANA!!!

100 euro nagrody.

*Talent artystyczny Milan odziedziczył po mnie*, pomyślał Kurt, patrząc z zadowoleniem na ulotkę, którą dopiero co narysował z pamięci. Razem z pinezką i pniem drzewa, do którego przed laty ulotka była przyczepiona. Przez dwa tygodnie bezskutecznie poszukiwali Tinki, łaciatej kotki domowej, która w zasadzie była zbyt leniwa, by powlec się trzy metry ze swojego miejsca przy kaloryferze do miski z jedzeniem, i nagle zniknęła bez śladu, jakby pochłonęła ją wyspa.

Rozłożyli i rozwiesili tuziny ulotek. Na przydrożnych drzewach, na tablicach ogłoszeniowych w mieście, w piekarni. Hilda przyszpiliła kartkę z fotografią nad barem w Stubbenkrugu. Ogłoszenie było dobrze widoczne dla stałej klienteli, która w weekendy nawiedzała jej knajpę aż do trzeciej nad ranem. „O krok od przepaści”, jak niedbale ubrana właścicielka często ją nazywała, czyniąc w ten sposób aluzję do faktu, że dziwaczna chata z bali stała tylko kilka metrów od klifów Rugii.

*Boże, ile to już czasu minęło?*

Kurt spojrzął znad biurka stojącego w domu spokojnej starości na swoje nieużyte dziś jeszcze łóżko i porzucił ostatecznie wszelką myśl o śnie.

Tej nocy nie zmruży już oka.

„Starcza ucieczka z łóżka”. Tak żartobliwie określał to wcześniej, gdy wiekowi pacjenci już o trzeciej nad ranem przemykali się szpitalnymi korytarzami w kierunku automatów z kawą. Tylko że w jego przypadku

ucieczka z łóżka zaczęła się jeszcze przed pójściem spać.

Już krótka rozmowa telefoniczna przed południem z profesorem Karsovem wyprowadziła go z równowagi. A teraz, po tym wszystkim, co się od tego momentu wydarzyło, było całkowicie zrozumiałe, że nie mógł znaleźć spokoju. Przy tym zrobił źle wszystko, co tylko można źle zrobić, gdy odzywają się demony przeszłości. Pograżanie się w melancholijnych wspomnieniach podczas oglądania zdjęć swojej zmarłej ukochanej to nie był bynajmniej właściwy mechanizm obronny, który mógłby powstrzymać napływ ponurych myśli.

Podobnie jak mało skuteczne było wspomnianie nieudanych poszukiwań Tinki.

Wydrukowali wtedy o wiele za dużo ulotek. Kurt zawsze miał jedną z nich przy sobie, nawet tego dnia, gdy został zawezwany na rozmowę przez dyrektor szkoły, panią Läubich. Bardzo szczupłą, wytrenowaną kobietę, która zawsze wyglądała tak, jakby właśnie skończyła zajęcia w studiu fitness i wyszła z zaczerwienionymi policzkami spod prysznic. Zawdzięczała temu swoje dwuznaczne przezwisko „Pani Gorąca”<sup>9</sup>. Włosy zawsze miała związane w praktyczny koński ogon i nigdy nie nosiła spódnic ani sukienek, tylko najczęściej jednokolorowe legginsy, buty sportowe i bluzy. Uczyła przy tym niemieckiego i historii.

– Pański syn... – zaczęła i Kurt już się przygotował na dłuższy wykład na temat ocen niedostatecznych, które mogą się pojawić na świadectwie.

– Czy chodzi o promocję Milana?

Nie byłyby to pierwszy raz. W domu Bergów można było tapetować ściany informacjami o zagrożeniach przychodzącymi ze szkoły. Milan dawał też wystarczająco często inne powody, aby rodzice byli wzywani na rozmowę. Z czasem doszli do przekonania, że Kurt dzięki swemu uprzejmemu sposobowi bycia lepiej zażegnuje spory niż Jutta, która wpadała w furję, gdy tylko miała poczucie, że jej dziecko jest dyskryminowane. Dlatego stało się zwyczajem, że na spotkaniach takich jak to pojawiał się tylko Kurt.

– Nie, nie chodzi o jego promocję. To znaczy: jeszcze nie chodzi o promocję. Muszę panu zadać pewne nieprzyjemne pytanie, panie Berg, na które może pan, jeśli tak panu wygodniej, odpowiedzieć tylko „tak” lub

„nie”.

„Czy przestał już pan bić swoją żonę?” – Kurt przypomniał sobie żartobliwy przykład takiego nieprzyjemnego pytania, na które nie można odpowiedzieć słowami „tak” lub „nie”.

– Czy Milan moczy się w nocy?

Kurt nie mógł sobie teraz przypomnieć, czy gapił się wtedy na panią Läubich z otwartymi ustami, czy też siedział z nieruchomą twarzą. Prawdopodobnie rozejrzał się z niepewnością po nudnie urządzonej gabinecie, układając sobie w głowie myśli. W końcu odezwał się:

– Skąd taki pomysł? On ma już czternaście lat.

W rzeczywistości, gdy Milan miał dwanaście lat, zdarzył mu się taki przypadek. Od wielu już lat nie było z tym problemów, gdy nagle pewnej nocy przestał kontrolować pęcherz i dlatego nie wziął udziału w wycieczce klasowej. Okazało się wtedy, że jego organizm ma jakieś problemy z wazopresyną. Produkuje zbyt mało tego hormonu, który przestawia nocą nerki na tryb ograniczonej produkcji. Krótkie leczenie wystarczyło, by przywrócić równowagę gospodarki hormonalnej, i nie było już więcej kłopotów.

– Istnieją także dorośli, którzy mają taki problem – wyjaśniła pani Läubich.

– Ale nie Milan. W każdym razie nic o tym nie wiem.

– A co z ogniem?

– Nie rozumiem, co pani ma na myśli.

– Zabawy zapałkami, podpalanie.

Dziś, po prawie dwudziestu latach, to pytanie dyrektorki szkoły wciąż rozpalało jego emocje. Słup ognia, który wówczas wybuchł, nic nie stracił z czasem na swej intensywności. Trzecią poszlakę Kurt przyjął wówczas do wiadomości nieomal z ulgą, jednak tylko dlatego, że nie wiedział, jaki obrót przybierze w końcu ta rozmowa.

– Znaleźliśmy dzisiaj coś w szafce Yvonne Frankenfeld.

– Ma pani na myśli jego przyjaciółkę?

– Właśnie.

– Narkotyki?

– Nie. Ale coś nie mniej poważnego.

Kurt wziął głęboki oddech i pomyślał o książce. *A więc o to chodzi.*

„Czy nie powinienes jej kiedyś w końcu odnieść” – spytał raz Milana, gdy książka leżała już od ponad dwóch miesięcy w jego pokoju.

*Prezent.*

Bez wątpienia egzemplarz ze szkolnej biblioteki, choć bez pieczętki z datą wypożyczenia w przewidzianym dla niej miejscu na ostatniej stronie książki. Co przemawiało za tym, że Milan nie wypożyczył jej, tylko ją ukradł.

– O co chodzi? – spytał panią Läubich.

W odpowiedzi nauczycielka wyprowadziła go z biura i poszła z nim schodami na parter budynku szkolnego, gdzie znajdowała się pracownia biologiczna. Na jej zapleczu, które prawdopodobnie było dostępne tylko dla nauczycieli, przechowywane były mikroskopy i inne pomoce dydaktyczne, w tym zbiór motyli i wypchane zwierzęta leśne. Dla delikatnych preparatów przewidziana była zamrażarka, którą pani Läubich otworzyła ze słowami:

– Muszę pana ostrzec, panie Berg. To nie jest przyjemny widok.

W rzeczywistości było to bardzo oględnie powiedziane. To tak jakby stwierdzić, że człowiek, którego przejechał pociąg, nieco oberwał.

Tinka nie wyglądała jak na ulotce. Nie wyglądała w ogóle jak kot, lecz jak jakiś rozszarpany kawał mięsa, który ktoś wcisnął na powrót do futra.

– Udusił ją jej własnymi kiszkami – stwierdziła dyrektorka, pozostawiając bez odpowiedzi pytanie, czy to się wydarzyło po tym, jak kotu wykłuto oczy, czy też przedtem.

– Kto? – zapytał Kurt zdławionym głosem. Mimo okoliczności nie liczył się nawet w najgorszych snach z odpowiedzią, którą usłyszał:

– Milan. Przyłapaliśmy pańskiego syna, jak wkładał ją do szafki.

Doszedłszy do punktu zwrotnego swoich wspomnień, do chwili, w której los ich wszystkich został na zawsze przypieczętowany, Kurt uderzył pięścią w biurko stojące w domu spokojnej starości.

Złapał się mocno brzegu stołu, jakby chciał w ten sposób zapobiec temu, aby jeszcze dalej porwał go napływający wciąż strumień myśli.

Największym wysiłkiem woli udało mu się wstać i podejść do okna, przez które widać było bezlistne, smagane wiatrem lipy rosnące na podwórzu. Ich groźnie chwiejące się korony wyglądały z tego miejsca jak

tańczące olbrzymy.

*Requiem byłoby dobrym podkładem muzycznym, pomyślał gorzko.*

Zbliżył się jeszcze do szyby, oparł o nią porane życiem dłonie i znów pomyślał o Milanie.

*Moczenie łóżka.*

*Podpalanie.*

*Dręczenie zwierząt.*

Zastanawiał się, czy jego syn już odkrył prawdę. I ile zostało mu czasu, zanim tu powróci i zabije swojego ojca.



**M**ilan odczekał zaledwie kilka sekund, nim otrząsnął się po chwili z szoku. Wtedy ruszył w ślad za Andrą, a mimo to zgubił ją już w otwartych drzwiach domu. Ostatnie, co zobaczył, to były tylne światła jej mini, które zniknęły za ścianą lasu, zmierzając w kierunku ronda.

*Co takiego przeczytałaś, że tak bardzo się wystraszyłaś?*

Bezradny rozejrzał się wokoło. Osiedle, które przedtem eksplodowało światłami alarmowymi straży pożarnej, teraz, po wycofaniu się pojazdów służb ratunkowych, wyglądało jak śpiący zółw, schowany głęboko pod pancierzem ciemności. Szum wiatru, który szarpał drzewami, krzewami i równo przyciętymi żywopłotami, dawał przedsmak hukowi fal Bałtyku, które rzut kamieniem stąd uderzały o wybrzeże.

Gdy Milan wszedł na zamarznęty trawnik przed domem, który w czasach jego dzieciństwa przypominał raczej klepisko, jego zmysły były w stanie najwyższej gotowości. Wydawało mu się, że czuje smak soli w drobnych kroplach mżawki, a także woń morza mimo mrozu, w którym zapachy rozchodzą się gorzej niż w ciepłym powietrzu. Zdawało mu się, że nigdy przedtem tak dobrze nie słyszał, nie czuł i nie widział, ale to wszystko nie pomagało mu w podjęciu tropu. Andra mogła wrócić do Berlina lub pojechać tylko do najbliższej stacji benzynowej. Być może on sam nigdy już nie pozna przyczyny jej panicznej ucieczki, gdyż artykuł, który tak widocznie ją wzburzył, zabrała ze sobą.

– Panie Berg?

Wzdrygnął się, zanim odwrócił się w kierunku żony profesora i

przeprosił ją, że wpuszcza zimno do środka domu.

– Pójdę już – powiedział, choć nie miał zielonego pojęcia dokąd. Przyszło mu na myśl, że w pośpiechu nie zabrał swoich akt chorobowych. Mógłby je zeskanować przy użyciu telefonu i potem odczytać za pomocą aplikacji zamieniającej tekst na mowę. – Czy mógłbym jeszcze raz zajrzeć na chwilę do piwnicy?

– Jest już późno. – Pokręciła głową. – Poza tym doszłam tymczasem do wniosku, że popełniłam błąd, w ogóle was wpuszczając.

– Bardzo przepraszam, że pani przeszkodziliśmy – odpowiedział Milan, szukając na jej zmęczonym obliczu przyczyny tej nagłej powściągliwości. – No tak, najlepiej by było, gdyby pani nie otwierała już dzisiaj drzwi kolejnym nieznanym. – Odwracał się już, by odejść, kiedy cicho wymruczane przez panią Karsov słowa pożegnania, sprawiły, że się cofnął.

– Och, przecież nie byliście dla mnie żadnymi nieznanymi – powiedziała.

Milan zatrzymał się.

– Ma pani na myśli to, że zna mnie pani z fotografii? – *Które wiszą w gabinecie, gdzie ktoś najwyraźniej postradał resztki rozumu.*

Pani Karsov skinęła głową.

– No i z ostatnich odwiedzin.

Milan uśmiechnął się z politowaniem. Ta noc musiała starszą panią naprawdę wiele kosztować.

– Nigdy jeszcze państwa nie odwiedzałem, pani Karsov.

– Pan nie, ale pańska przyjaciółka tak.

– Andra? – Milan poczuł, jak pod blizną coś znów zaczyna mu pulsować. I jak to nieprzyjemne uczucie rozprzestrzenia się na całą czaszkę. Wkrótce poczuje taki ucisk, jakby miał na głowie ściśle przylegający kask motocyklowy.

– Ściśle mówiąc, odwiedziła nie mnie, tylko mojego męża, i nie spotkali się tutaj, tylko u Włocha dwie ulice dalej. Była w towarzystwie bardzo silnego, onieśmielająco wyglądającego mężczyzny.

*Günthera*, pomyślał automatycznie Milan.

– Wracalam właśnie z zakupów i widziałam ją tylko przez chwilę z daleka. – Pani Karsov postawiła wysoko kołnierz swojego szlafroka. –

Zapewne dlatego jej dziś od razu nie rozpoznałam. Ale teraz jestem już pewna. – Przyglądała sobie kosmyk włosów. – Pomyślałam sobie: „Co robi taka schludna dziewczyna w towarzystwie takiego zabijaki?”.

– Kiedy to było? – spytał sceptycznie Milan. *To musi być jakaś pomyłka.* Przecież „schludna” nie było pojęciem, które na widok Andry jako pierwsze przychodziło do głowy. Jednak opis prawej ręki Hulka zgadzał się co do joty.

– Pod koniec lipca, jak sędzę. Mój mąż powiedział mi później, że to była studentka medycyny, która szukała opiekuna swojej pracy naukowej. – Jej wzrok nieoczekiwanie stwardniał. – Koniec lipca – powtórzyła i nagle Milan już wiedział, czemu kobieta stała się dla niego taka nieprzychylna. Do jakich niesamowitych wniosków musiała dojść dosłownie przed chwilą.

*Ona myśli, że jesteśmy przyczyną próby samobójczej Karsova.*

W tym momencie Milan najchętniej uciekłby tak samo jak Andra. Ale nie w ślad za swoją przyjaciółką, tylko dokładnie w przeciwnym kierunku.

– Dziwię się nieco, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy – usłyszał ochrypły głos żony profesora, zanim ta zamknęła mu drzwi przed nosem – ale pierwszy raz zobaczyłam pańską przyjaciółkę bezpośrednio przed tym, jak mój mąż postradał rozum.

## 42

**J**eśli ktoś chciał się udać do Stubbenkrugu i uniknąć przy tym asfaltowej drogi lokalnej, mógł użyć skrótów, który prowadził na przełaj przez las. Wąskiej ścieżki, która nawet w świetle dnia ledwie co się odróżniała od leśnej ściółki. Nocą, jeśli ktoś oświetlał sobie drogę jedynie latarką w telefonie, skręcenie kostki było najniższą ceną, z jaką powinien się liczyć. Mimo to Milan wybrał tę trasę do jedyne miejsce, gdzie nocą mógł liczyć na znalezienie otwartych drzwi. Od dawna była już sobota, a Stubbenkrug był jedyną knajpą w promieniu trzydziestu kilometrów, która była otwarta non stop. Odjeżdżając samochodem, Andra zabrała jego zimową kurtkę, która pozostała na tylnym siedzeniu. Ponieważ miał na sobie tylko sportowe buty, bluzę i dzinsy, kwestią nadzwyczaj pilną było znalezienie ciepłego miejsca na nocleg.

Przynajmniej nie narażał się na niebezpieczeństwo spotkania tu Andry, gdyby nagle zmieniła nastawienie i podążyła w przeciwnym kierunku. Bo choć Milan bez samochodu i jej towarzystwa czuł się bezradny, chciał teraz przez pewien czas pobyć sam, aby w spokoju przemyśleć szalone wydarzenia ostatnich godzin.

Nie zdążył jednak uporządkować myśli w swojej głowie.

Wąski krąg światła roztaczającego się z telefonu oświetlał tylko najbliższą okolicę, w której porastające brzeg ścieżki drzewa liściaste pojawiały się dosłownie w ostatniej chwili. Milan musiał się więc dodatkowo koncentrować na odgłosach dobiegających z otoczenia. Na jękach konarów, które wyginały się pod naporem wiatru, trzaskaniu, trzeszczeniu i szeleście liści, gałązek i krzaków. W dodatku z każdym krokiem odgłosy kipieli u stóp klifu stawały się coraz głośniejsze, a zapach

morza coraz intensywniejszy. I gdyby Milan był bojaźliwym człowiekiem, pod wpływem nagłego alarmu, który rozerwał mrok, wydarłby się na cały głos ze strachu. Wydał jednak z siebie tylko dyszący jęk i udało mu się nawet przerwać przeraźliwe dzwonięcie, po prostu odbierając telefon.

– Halo?

Usłyszał jedynie czyjś szloch, potem gwałtowny wdech i znów szloch.

– Andra?

Głos, który go dobiegał, był bez wątpienia kobiecy, ale o wiele młodszy niż jego przyjaciółki.

– Jestem w łazience – powiedziała dziewczynka, a lękliwy, zmalretowany ton jej głosu pasował do obrazu zapłakanej nastolatki, którą dzień wcześniej widział na tylnym siedzeniu volvo.

Pierwszy raz słyszał głos porwanej dziewczynki, gdy ta nie była torturowana.

– Zoe! Gdzie jesteś? Gdzie dokładnie? Czy znasz adres? – Milan stanął. Ponieważ jedyne źródło światła znajdowało się teraz przy jego uchu, widział tylko cienie i czarne sylwetki.

– Nie. Nie wiem. To motel. Gdzieś przy autostradzie.

*Przy autostradzie. Byli więc na stałym lądzie. O ile w ogóle zmierzali na Rugię.*

– A ty dzwonisz z toalety?

– W łazience jest telefon. Jakob myślał, że jest zepsuty, ale wystarczyło tylko wetknąć wtyczkę.

*Mądra dziewczynka.*

– Gdzie teraz jest Jakob?

– Śpi pod drzwiami, żeby nie mogła wyjść. Mama leży w łóżku.

*Mama.*

Słowo, które normalnie kojarzy się ze wszystkim, co dobre. Z miłością, bezpieczeństwem, ciepłem i życiem. A nie z cierpieniem, bólem i śmiercią.

A więc porywaczka była tak naprawdę matką Zoe.

*Ale czy w tym przypadku jest to w ogóle porwanie?*

Ponieważ oczy Milana tymczasem przyzwyczyły się do leśnego mroku, spróbował powoli i ostrożnie posuwać się naprzód ścieżką.

– Dostałem twoją wiadomość. Ende. To twoje nazwisko, prawda?

– Tak.

– Jakob to twój ojciec?

– Nie – odpowiedziała dziewczynka. – To jest skomplikowane.

Droga zaczęła skręcać i nagle oczom Milana ukazał się punkt orientacyjny, który go zadziwił. Blask ciepłego światła widoczny jakiegoś dwieście metrów od brzegu wydawał się wytyczać mu drogę wśród gałęzi. Milan nie umiał sobie przypomnieć, czy knajpa miała niegdyś tak daleko widzialne oświetlenie zewnętrzne, i w pierwszym odruchu się zastanowił, czy nie powinien się jednak ukryć.

Ale przed czym? Źródło światła było statyczne. Nie była to lampa, która poruszała się w jego kierunku.

– Kim jest Jakob?

*Kim, jeśli nie twoim ojcem?*

Zoe brzmiała na zbyt zdenerwowaną, aby móc go dłużej słuchać, nie mówiąc już o udzieleniu odpowiedzi.

– Zabierz mnie stąd, proszę.

– Nie wiem, gdzie jesteś. Ale posłuchaj mnie uważnie. Zrobię wszystko co w mojej mocy. Odłóż teraz słuchawkę i zadzwoń na policję.

– Muszę kończyć.

– Nie, poczekaj. Wybierz numer sto dziesięć. Powiedz „Pomocy” i odwieś po prostu słuchawkę. Oni potrafią odnaleźć miejsce, z którego dzwonicz.

*W każdym razie mam taką nadzieję.*

– Nie mogę, słyszę kroki.

Wkrótce potem połączenie się urwało.

I to akurat w momencie, gdy zaczął się upadek Milana – zarówno w dosłownym, jak i w przenośnym sensie. Najpierw pomyślał, że to jakiś napastnik stanął na jego drodze, a tymczasem był to tylko płot, który jakby znikąd wyrósł przed nim z ziemi. Gdy cofając się, stracił równowagę i potknął się, usłyszał cztery słowa, które dziewczynka powiedziała na pożegnanie. Słowa, które eksplodowały w jego umyśle jak bomba:

– Pomóż mi, proszę – powiedziała Zoe. – Pomóż mi, proszę, tato.

**P**chnął drzwi do środka tak mocno, że z hukiem walnęły o brzeg wanny.

– Co to, do diabła, ma znaczyć?! – krzyknął na nią. Uczucie, że jest oszukiwany *po raz kolejny*, sprawiło, że serce zaczęło mu walić jak oszalale. Wyrażenia „oślepiiony gniewem” Jakob nigdy nie rozumiał. Gdy był wściekły, widział wszystko jaśniej i wyraźniej, a jego wzrok w sekundę wyłapywał nowe szczegóły, które go jeszcze bardziej rozpałały. Jak na przykład szydercze błyski w jej oczach, sarkastyczny uśmiech tej małej, która w zasadzie powinna się go bać. Jego, człowieka z wiertarką akumulatorową.

A ona szydziła z niego tym swoim niewzruszonym, nieustraszonym spojrzeniem.

*Cholera*. Wiedział, że jeśli podejdzie do niej choćby jeden krok bliżej, to ją zabije. A wtedy będzie już po wszystkim, bo bez niej nie da rady doprowadzić tego do końca. Złapał się więc mocno obiema rękoma framugi drzwi, tak jak gdyby jego gniew był porywem silnego wiatru, który może go pochwyć z tyłu i wrzucić do zniszczonej łazienki motelowej. I nienawidził sam siebie za swoją żalosność, za to, że nie potrafi po prostu przełknąć swojej zranionej dumy. Ponieważ wiedział, że musi to tej przeklętej dziewczynce sprawiać ogromną satysfakcję, gdy słyszy wielką boleść w jego głosie, kiedy na nią wrzeszczy:

– Dlaczego nazwałaś go swoim tatą? DLACZEGO?

*Tato?*

Jego myśl utknęła w powtarzającej się pętli jak puszką koli w automacie z napojami, która po opłaceniu zaklinowała się gdzieś między wystawą a półką wydawania produktów. Najchętniej Milan potraktowałby swoje czoło z taką samą siłą jak obudowę upartego automatu, ale wiedział dobrze, że nic w ten sposób nie wskóra.

Myśl nie da mu spokoju, nie ucichnie ani nigdzie sobie nie pójdzie. W żadnym wypadku nie zniknie na zawsze.

*Tato?*

Tak, dziewczynka nazwała go *tatą*, nie przesłyszał się, a to słowo w normalnym przypadku nie pozostawiało żadnego pola do interpretacji. A mimo to Zoe nie mogła mieć tego na myśli. Bo ile lat mogła mieć teraz? *Trzynaście, czternaście?*

Wówczas, gdy ją spłodził, sam musiałby być w podobnie młodym wieku. Ale wtedy na Rugii Yvonne go nie „dopuściła”. Pewnego wieczoru prawie do tego doszło. Leżeli na łóżku w jego pokoju dziecięcym i słuchali romantycznej muzyki. Milan miał na sobie tylko bokserki, a Yvonne była ubrana w zbyt obszerną bluzę sportową, którą jej pożyczył, bo w domu było tak zimno. Niezwykle chłodny dzień lata wydawał się wówczas Milanowi niemal darem niebios, bo nastęrczył mu sposobność do romantycznego rozpalenia w kominku. A później, kiedy oboje poszli na górę (mama już spała), mógł troskliwie ogrzać Yvonne, przytulając się do niej i głaszcząc jej ciało. Ramiona, plecy, skórę pod rozpiętym stanikiem.



I gdyby tylko Milan nie spieprzył wszystkiego, zadając pytanie „Czy naprawdę jestem twoim pierwszym?”, wszystko potoczyłoby się pewnie inaczej. *Może byłbym dzisiaj zupełnie innym człowiekiem.*

Ledwo wszedł w nią, gdy Yvonne go wyśmiała i zaczęła się nabijać, że jest prawiczkim.

Przynajmniej tak wtedy zinterpretował jej zachowanie, bo w przypadku śmiechu Yvonne nigdy nie można było mieć pewności. Irytował, pojawiał się w zupełnie nieodpowiednich chwilach. Na lekcji podczas pracy klasowej, przy oglądaniu filmu w trakcie smutnej sceny. Jej fajerwerki myślowe wyprzedzały innych o dziesięć kroków albo Yvonne wykorzystywała dogodny czas, aby rozkoszować się chwilą, która dla innych przeminęła dawno temu.

Czyż nie myślał, że w przeciwieństwie do innych, którzy wyśmiewali się z jej odmienności, on jako jedyny ją rozumie? Dlaczego zatem zadał to niepotrzebne pytanie i stoczył się z niej? Czyżby końcu to on, a nie ona, był tym, kto zepsuł tę chwilę i cały wieczór.

Jego policzki wciąż pały wstydem, gdy o tym myślał.

*Wstydem?*

A może wtedy wybuchł gniewem?

Czasami widział w swoich snach, jak bierze zamach ręką, a potem słyszał odgłos wymierzonego policzka. To chyba jednak nie mogło się wydarzyć, prawda? Nie byłby do tego zdolny.

*A może jednak?*

Nie, to pewne, że zareagował przesadnie, jasne, ale mimo wszystko w pełni się kontrolował. To było tego wieczoru, który okazał się ostatnim, jaki spędził w rodzinnym domu.

Bo jeszcze tej samej nocy wybuchł pożar.

*Nie.* Tej nocy wydarzyło się bardzo wiele, ale z pewnością nie powstało nowe życie. Wręcz przeciwnie. Zgasło czyjeś życie.

Milan z trudem stanął na nogi.

Niemożliwe, aby był ojcem Zoe.

Zajął się zatem kolejną, bardziej namacalną tajemnicą. Z którą zderzył się równie niespodziewanie.

*Płot?*

Szarpnął za zimne metalowe pręty.

Czegoś takiego nie było za czasów jego dzieciństwa.

*Zresztą po co? Żeby trzymać pijaków z dala od poidła?*

Milan przeszedł około trzydziestu kroków na wschód wzdłuż wysokiego na dwa metry, zwieńczonego drutem kolczastym ogrodzenia i stwierdził, że nie była to jedyna zmiana, która się tu w ciągu ostatnich lat dokonała.

Stubbenkrug zniknął. Wprawdzie drewniana chata, w której dawniej mieściła się knajpa, wciąż stała, w niczym jednak nie przypominała teraz dawnego miejsca spotkań mieszkańców wyspy. Tu, w miejscu, które nie miało absolutnie nic wspólnego z eleganckim lokalem turystycznym, zbierali się niegdyś młodzi ze wsi, motocykliści i stali bywalcy baru. Podejrzana spelunka zmieniła się teraz dokładnie w to, na co goście pochyleni nad piwem i grogiem kręcili nosem: w pięciogwiazdkowy hotel. Z podjazdem, którego nie powstydziałaby się willa milionera.

Milan przekroczył dwuskrzydłową bramę i podążył wygrabioną żwirową alejką, która prowadziła do subtelnie iluminowanego głównego budynku. Nowoczesna budowla ze szkła i betonu została wzniesiona wokół chaty z bali. Podjazd oświetlały umieszczone po prawej i lewej, sięgające kolan latarnie.

To, co mógł rozpoznać po bokach, wyglądało jak zadbane, przypominający pole golfowe trawnik z pojedynczymi drzewkami i niewielkimi wzgórkami. Tam, gdzie dawniej znajdował się dziki parking, stały teraz podświetlone tablice z piktogramami, wskazujące drogę do kortów tenisowych i do basenu. A tam, gdzie niegdyś bezpośrednio przed progiem knajpy stały zaparkowane motocykle, wznosiły się teraz eleganckie kamienne schody wiodące do szklanych drzwi, które się automatycznie otwierały.

Milan wszedł do wybebeszonej drewnianej chaty i natychmiast poczuł się nie na miejscu, w swoich ubłoconych butach na gładkich jak lustro marmurach, ze spodniami pełnymi plam.

Usłyszał cichą muzykę fortepianową i poczuł waniliowy odświeżacz powietrza, kosztujący prawdopodobnie dużo więcej niż drogie perfumy, które podarował Andrzej na urodziny.

Drzwi się za nim zamknęły, zostawiając na zewnątrz zimny wiatr.

Zatrząsał się z powodu miłego ciepła, które go otoczyło.

*No, no. Architekt tu sobie nieźle poszalał.*

Rozejrzał się po recepcji i rozpoznał dwa szczegóły. Jednym z nich była dawna drewniana lada ze Stubbenkrugu, która została zamieniona w kontuar recepcji. Drugim był gapiący się z zaskoczeniem człowiek za kontuarem, który najwyraźniej miał dobrą pamięć do nazwisk.

– Milan? Milan Berg? – Recepcjonista uśmiechnął się krzywo, odsłaniając długie, pasujące do jego chudej postaci zęby, w przypadku których dentysta z pewnością nieco przesadził podczas wybielania. Nawet w subtelnym przytłumionym świetle padającym z reflektorków na suficie promieniały nieskazitelną bielą niczym oświetlone lampami UV na dyskotece. – Co, do diabła, cię tu przywiodło? I to jeszcze o tej porze?

Milan bezskutecznie poszukał w spodniach chusteczki, aby wydmuchać nos, po czym podszedł do kontuaru. Tego ekstremalnie chudego, rudego faceta, na którym granatowy uniform hotelowy leżał jak ulał, musiał, gdy był jeszcze dzieckiem, spotykać wielokrotnie, a mimo to nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Spojrzenie na plakietkę w kolorze mosiądzu przypiętą do marynarki oczywiście wiele mu nie pomogło.

### Μαρτιν Σποκοφσκι

– Potrzebuję pokoju – powiedział Milan i obmacał kieszenie w poszukiwaniu portmonetki, której na szczęście nie zostawił w kurtce w samochodzie. Razem z pieniędzmi swojego ojca, które podobnie jak jego kartę płatniczą włożył po prostu do środka, majątek Milana wynosił zaledwie 120 euro.

– Ty? Pokoju tutaj? Naprawdę? – Recepcjonista sięgnął po mysz komputerową i spojrział na monitor. Polizał przy tym dolną wargę i w tej samej sekundzie Milan sobie przypomniał.

– „Ślina” – wyrwało mu się i pożałował tego w tej samej chwili, w której to powiedział. To był Martin Spokowski, rudy, niezgrabny syn sprzedawcy warzyw, który podczas prac klasowych zawsze tak mocno się koncentrował, że ślina z kącika ust kapała mu na papier.

– Dawno już mnie nikt tak nie nazywał – odezwał się Spokowski, nie odrywając wzroku od monitora.

*I mam nadzieję, że od dawna nikt też nie każe ci jeść „kebaba”.* Był to ulubiona rozrywka łobuzów ze szkoły, których przywódcą przez pewien czas był Milan. Podczas przerwy na podwórku trzeba było zerwać duży liść lipy, zwinąć go razem z zebrany brudem, ziemią i innym świństwem, a następnie tak długo wpychać takiego „kebaba” komuś do ust, aż ofiara zacznie się dusić. Był taki czas, że „kebaby” stale figurowały w jadłospisie Śliny.

Spokowski westchnął, podniósł głowę znad ekranu i odezwał się z zalem w głosie:

– Niestety wszystkie pokoje są zajęte.

Milan nie mógł dosłyszeć, czy powiedział prawdę, czy też była to spóźniona zemsta.

– I po to tak długo gapiłeś się w to pudło? Daj spokój! – Milan poczuł, jak ogarnia go złość, ale nadchodzący gniew nie miał szansy, aby wybuchnąć, bo do głowy przyszła mu nowa myśl. Nieco niedorzeczna i nieprawdopodobna, ale być może Zoe nie miała racji, gdy mówiła, że są w motelu. Być może ją ogłuszyli lub zawiązali jej oczy i teraz myliła szum morza z hałasem autostrady.

– Czy dziś wieczór nie zameldowała się tu przypadkiem pewna rodzina? Ojciec, matka i dziecko? Być może na twojej zmianie?

– Dzieci tu nie wpuszczamy. – Spokowski wyglądał na rozbawionego. – W żadnym przypadku. To hotel dla dorosłych.

*Jak miło.*

Recepcjonista złapał się za płatek ucha. Wyglądał przy tym tak, jakby ciężko walczył sam ze sobą.

– Posłuchaj, Milan. Ze względu na stare dobre czasy...

*W których tak często się z ciebie wyśmiewałem.*

– ...mógłbym dać ci apartament. Tylko że on jest...

– Drogi?

– Nie, przeciwnie. – Pokręcił głową. – Mógłbym ci policzyć połowę ceny. Tylko że ma on... powiedzmy, obniżony standard.

– Nieposprzątanym?

– Nieodnowionym.

Milan uniósł pytająco brwi.

– Pewien gość przeprowadził się dziś rano z pokoju dwieście jedenaście do dwieście trzysta – wyjaśnił Spokowski i obniżył głos. – W ciągu minionych tygodni całkowicie zdemolował apartament dwieście jedenaście. Oberwana armatura, wypalone płamy, zepsuty telewizor. Pełen program.

– Co to znaczy, że gość się przeprowadził?! Chyba go wyrzuciliście, mam nadzieję!

Spokowski wzruszył ramionami.

– Chętnie byśmy to zrobili, ale gość dobrze płaci. W zasadzie mieszka tutaj.

– Mieszka tutaj? – powtórzył Milan, a w jego uszach odbił się echem głos pani Karsov, narzekającej, że jej mąż wydał zbyt wiele pieniędzy na dom: „Co za bezsens. Sprzedawca żyje sobie teraz w apartamencie w najlepszym hotelu na wyspie”. Pochylił się do przodu i zaczął szeptać, bo wiedział, że takich informacji w luksusowych hotelach się w zasadzie nie udostępnia. Jednak nawet najmniejsza reakcja widoczna w oczach Śliny całkowicie by mu wystarczyła, więc zapytał: – Czy ten stały gość nie nazywa się przypadkiem Frank-Eberhardt Ende?

# 45

## Andra

**S**chrzaniłam to – powiedziała Andra i przełożyła komórkę od jednego zmarzniętego ucha do drugiego. Postawiła mini w parkowej alejce i ostatnie pięćdziesiąt metrów do kliniki Sana przeszła piechotą.

Nowoczesna pudełkowa budowla była jedynym szpitalem na wyspie, która była tak rozległa, że Andra nawet o tej porze potrzebowała prawie całej godziny, aby dotrzeć z Lome do Bergen.

– Leży w pokoju dwanaście zero pięć – powiedział Lampert, a jego głos był dla niej w tej chwili jedynym źródłem otuchy.

Wszystko poszło nie tak. Od momentu ich wyruszenia nic nie przebiegło zgodnie z planem. Najpierw Milan zobaczył zdjęcie profilowe Lamperta, gdy przyszedł esemes od niego, i prawdopodobnie bardzo się zdziwił tym, że szef nawiązał z nią kontakt. Co prawda Milan nie zdążył jej o to wypytać, bo wkrótce potem byli zajęci ukrywaniem zwłok w Lesie Brandenburskim, działając na polecenie szaleńca. Potem to niepokojące spotkanie ze starym Karsovem. W piwnicy rodzinnego domu Milana bezpieczniki Andry w końcu się przepaliły, gdy w ręce wpadł jej artykuł sprzed czternastu lat.

Podpalenie? Po anonimowym doniesieniu eksperci raz jeszcze sprawdzają przyczynę pożaru

Cholera jasna, jak miała to przeczytać Milanowi?

Z drugiej strony nie powinna była tracić panowania nad sobą, ale to niestety pasowało do ciągu błędów i porażek, których musiała dzisiaj doznać.

– Jak udało ci się tak szybko odkryć miejsce jego pobytu? – spytała Lamperta.

– Günther zadzwonił do nich i podał się za adwokata rodziny Karsov. Urządził klinice piekło przez telefon, mówiąc, że na temat próby samobójczej absolutnie nic nie może się przedostać do prasy. Jak sama wiesz, potrafi być bardzo przekonujący.

*O tak, potrafi.*

– Pokój dwanaście zero pięć na pierwszym piętrze, oddział internistyczny. Pokój jednoosobowy w głównym budynku, jaki się należy byłemu szefowi szpitala. Istnieje wyjście ewakuacyjne od strony lasu, zawsze otwarte dla palaczy.

Andra, która miała już w zasięgu wzroku spoczywający na kolumnach okap nad głównym wejściem, zrobiła w tył zwrot.

– Nie zapytam nawet, skąd Günther to wie.

– Ode mnie – powiedział Hulk. – Prowadziłem restaurację na wyspie.

*A gdzie niby nie?*

– Jedna z moich sprzątaczek pracowała także w klinice. Powiedziała, że jeśli ktoś potrzebuje fartucha, może go zawsze znaleźć w schowku, pierwsze drzwi na prawo od wyjścia ewakuacyjnego.

– Obejdzie się bez przebiezanek.

– Jesteś pewna? Jeśli poczekaś trzy godziny, Günther zjawi się u ciebie.

– Dam radę zrobić to sama.

Zakończyła rozmowę i weszła schodami na górę. W porównaniu z chłodem na zewnątrz ciepłe powietrze było błogosławieństwem. Tylko kolczyk w nosie i drugi tkwiący w brwi były jak płonące igły wbite w jej powoli odtajającą skórę.

Nie potrzebowała dużo czasu, aby odnaleźć pokój, którego numer podał jej Hulk. O tej porze korytarze szpitalne były puste. Nikt nie widział, jak otworzyła drzwi i zniknęła w jednoosobowej sali.

– Panie profesorze?

Leżał płasko na plecach i otwartymi oczami gapił się na sufit. Oba ramiona spoczywały na wykrochmalonej poszwie, tak że wyraźnie było widać opatrunki uciskowe na tętnicach przedramion. Jego skóra była blada i bezkrwista, pomimo kroplówek, które z pewnością otrzymał.

– To pani? – Jego oddech miał zapach kwasu żołądkowego. Wyglądał na zmęczonego i chyba się nie zdziwił, że ją widzi.

– Dlaczego pan to zrobił? – Andra przeszła od razu do rzeczy.

Po dłuższej chwili udzielił zrezygnowanej odpowiedzi:

– Bo nie widziałem żadnego powodu, dla którego miałbym tego nie robić.

– Byłam u pańskiej żony.

– Tak? – W jego oczach nie pojawiły się ciekawość ani zaskoczenie. Jedynie fatalizm.

– Myślę, że mnie poznała. Bardzo specyficznym mi się przyglądała. – Andra rozejrzała się wokoło. Nie było tu żadnych przedmiotów osobistych, tylko stereotypowe wyposażenie pokoju szpitalnego. Jak by zresztą inaczej. Pani Karsov ledwie była w stanie przekazać zespołowi ratowników zapakowaną torbę dla swojego męża.

– Powinienem być jej to powiedzieć – wymruczał Karsov. – Nie powinienem jej od wszystkiego separować. Po to przecież jest małżeństwo, prawda? Aby wszystkim się dzielić.

Andra wzruszyła ramionami.

– Wkrótce będzie miał okazję, by o wszystkim z nią porozmawiać. Także o tym. – Wskazała na artykuł, który wzięła ze sobą z jego piwnicy. – Dlaczego pan to zachował?

Karsov ugryzł się w dolną wargę, a Andra uczyniła to, czego zrobienia przedtem odmówiła Milanowi. Przeczytała na głos:

– „Po otrzymaniu anonimowego zgłoszenia eksperci z zakresu pożarnictwa ze Stralsundu raz jeszcze zbadają przyczynę pożaru w domu jednorodzinnym w Lohme, w wyniku którego dwa tygodnie temu życie straciła kobieta. Świadek ten wskazał rzekomo na podpalenie, a w związku z tym na możliwość popełnienia zbrodni zabójstwa”. – Obróciła gazetę w ten sposób, aby Karsov mógł widzieć zdjęcie, które redakcja graficzna wybrała do artykułu. Przedstawiało ono Kurta Berga, ojca Milana, który właśnie opuszczał szpital na wyspie. Prawdopodobnie ze względu na prawo prasowe jego twarz była rozpixselowana, ale zarówno sylwetka, jak i postawa ciała nie pozostawiały żadnych wątpliwości, o ile się wiedziało, kogo się ma przed oczami. – To pan stoi za nim w wejściu do szpitala? –



Wskazała mężczyznę w białym fartuchu, który odwracał się od obiektywu.

Karsov ledwie zauważalnie skinął głową.

– A więc to pan był tym anonimowym świadkiem?

– Nie. – Pokręcił głową. – To nie byłem ja.

*A mimo to poczucie winy dręczy pana tak bardzo, że czternaście lat później chce pan sobie odebrać życie.*

Karsov złapał ją za rękę. Jego palce były zimne jak śnieg, a jego uścisk tak słaby jak u małego dziecka.

– Po co pani tutaj wróciła?

*To długa historia. W zasadzie nie ma z panem bezpośrednio nic wspólnego, panie profesorze.*

– Szukam pewnej dziewczynki – odpowiedziała i wyciągnęła kolejną fotografię. Tym razem pokazała mu zdjęcie, które znaleźli z Milanem w opuszczonej willi w Berlinie. – Czy to ona? Czy to ta mała, która wywołała u pana poczucie winy?

Karsov przycisnął brodę do kościstej piersi i nie odezwał się ani słowem, patrząc na zdjęcie Zoe nieruchomym wzrokiem. Po chwili z kącika jego oka wypłynęła łza i potoczyła się po policzku.

Andrze starczyło to za odpowiedź.

– Była zatem w pańskim gabinecie. Kto ją przyprowadził? Matka czy ojciec?

Pokręcił głową.

– Przyszła do mnie jej matka.

– Gdzie ją znajdzie?

– Tam, gdzie wszyscy mieszkają. Babka, matka, ojczym. – Po czym wyszeptał ledwie słyszalnie nazwę miejscowości. – Ona potrzebuje pomocy – dodał z jeszcze mniejszą siłą i odwagą niż wcześniej.

Andra wzięła do ręki dzbanek z wodą stojący na stoliku nocnym i nalała jej duży łyk do papierowego kubka.

– Proszę, panie profesorze. Musi się pan czegoś napić. Stracił pan wiele krwi.

Skinął głową i otworzył usta, gdy przystawiła do nich kubek. Był zbyt słaby i zmęczony, by zauważyć, że jeszcze przed pierwszym łykiem położyła mu na języku maleńką tabletkę.

– Proszę pić – powiedziała. – Zaśnie pan po tym mocno i głęboko, a jutro świat będzie wyglądać o wiele lepiej.

Nos złamał się z odgłosem przypominającym trzaskanie kłód drewna w kominku. Kości palców u stóp popękały bezgłośnie, a przynajmniej ich odgłos został zagłuszony przez przeraźliwy krzyk mężczyzny.

A Milan przecież nie użył całej swojej siły, gdy skrzydło drzwi rozpląszczyło nos i staranowało palce u nóg gościa z apartamentu numer 213.

– Obsługa hotelowa – powiedział i po minucie pukania drzwi z założonym łańcuszkiem wreszcie się otworzyły.

W szparze ukazała się pognieciona, nieogolona twarz, brzydka i wściekła jak gęba Jacka Nicholsona w słynnej scenie z toporem ze *Lśnienia*.

– Jest siódma rano, a ja niczego nie zamawiałem, wy durne skurwiele.

– Ale to pan jest Frank-Eberhardt Ende?

– Tak i zaraz wyrucham cię w dupę – odpowiedział prawie sześćdziesięcioletni mężczyzna.

Milan wykorzystał czas, który nastąpił po „tak”, aby cofnąć się o dwa kroki, wziąć rozbieg i wcielić w życie plan, który powziął po dwóch godzinach snu w swoim pokoju:

1. Zapukać. 2. Otworzyć. 3. Wycisnąć prawdę.

Dwa pierwsze punkty zostały już załatwione, a Frank-Eberhardt Ende leżał u jego stóp na dywanie, krwawiąc obficie. Jedną rękę przyciskał do nosa, drugą trzymał się za stopę, ale obie dłonie nie były w stanie przeszkodzić temu, aby długowłosa, kremowa wykładzina podłogowa obok niego zaczęła przybierać czerwoną barwę.

– Szego chcesz odze mnie, ty menelu?! – krzyczał Ende, bełkotliwie i niewyraźnie. Kilka siwych włosów, które zapewne zwykle zaczesywał w poprzek łysiny, stało mu na głowie jak żagiel. Połyskliwa srebrna bluza od piżamy rozerwała się podczas upadku. Milan mógł zobaczyć jego owłosione brzuszysko i męskie piersi, których pozazdrościłaby mu niejedna szesnastolatka. Na dole był nagi, a mały penis był całkowicie zakryty włosami łonowymi. – Żosztaf mnie! – ryknął Ende, ale prawie się nie bronił, gdy Milan złapał go za kołnierz i wciągnął w głąb apartamentu.

Rozkład pomieszczeń był prawie identyczny jak w jego pokojach, tylko okno wychodziło na plażę, a wyposażenie nie było tu zrujnowane. Jasna sofa nie miała wypalonych plam, a szklany stolik przed nią nie był popękany. Duży jak ekran kinowy płaski telewizor wisiał wciąż na ścianie, a minibarek ciągle stał na wykonanej z dryfującego drewna meblościance, zamiast leżeć zrzucony na podłogę. Tylko metrowej wysokości łóżko z materacami sprężynowymi było rozgrzebane, jakby Ende walczył na nim ze słońcem za pomocą absurdalnej liczby poduszek.

– Szego chcesz odze mnie?

Sypialnia przechodziła w należącą do apartamentu łazienkę. Tutaj Milan przywiązał swoją ofiarę do żeberek podgrzewanej suszarki na ręczniki za pomocą paska wyciągniętego z wiszącego na drzwiach hotelowego szlafroka.

Po czym odkręcił wodę w wannie i pod prysznicem.

– To po to, żeby twoje krzyki nie obudziły innych gości – wyjaśnił więźniowi, który gapił się na niego z podłogi z wściekłością w oczach.

W miarę jak ból ustępował, wracały mu chyba siły. Ende szarpał za swoje więzy, ale osiągnął w ten sposób tylko tyle, że jeszcze mocniej się zacisnęły. Jednak brak strachu w jego oczach odpowiedział Milanowi, że dobrze postąpił. Jakkolwiek bardzo niewytrenowany, galaretowaty i bezsilny był ten stary piernik, to miał on odwagę szaleńca i rozsądne słowa do niego prawie nie trafiały.

*Tylko czysta przemoc.*

Wystarczająco wiele razy spotykał na ulicy takie typy, do których można było dotrzeć tylko w nadzwyczaj nieprzyjemny sposób. Sam się w najwyższym stopniu zdziwił, jak łatwo mu przyszło zastosować tak brutalne

metody wobec zupełnie obcego człowieka.

– Gdzie on jest? – Przysunął sobie łazienkowy taboret i usiadł możliwie blisko swojego więźnia, trzymając się jednak poza zasięgiem gołej stopy, gdyby Endemu przyszło do głowy, aby go kopnąć.

– Kto?

– Gdzie jest twój syn? – skonkretyzował pytanie.

– Postradałeś całkiem rozum? Wiesz, z kim zadzierasza?

– Gdzie? On? Jest?

Trzeci raz już nie zapytał, ale też nie było to konieczne.

Ende przewrócił oczami i zakasłał krótko, ale tak gwałtownie, że jego ciało zachybotowało się na unieruchomionych w górze rękach, jak worek bokserski pod ciosami trenującej osoby.

– Skąd niby mam wiedzieć, gdzie się włóczy Jakob. Masz nie po kolei w głowie?

Tą odpowiedzią Ende potwierdził dwa nasuwające się przypuszczenia: że ten pulpet rzeczywiście miał syna, którego zaszyfrowane nazwisko Zoe pozostawiła dla Milana na ścianie toalety dla niepełnosprawnych. Oraz że Jakob był zdecydowany posunąć się do granic ostateczności i nie pozostawić za sobą żadnych świadków. Inaczej nie zdradziłby mu swojego prawdziwego imienia.

– Gdzie?

– Pewnie gdzieś się tam pałęta ze swoją starą, ale co ja tam wiem? – Ende pociągnął nosem.

Milan odczekał, aż Ende przełknie krew i śluz, zanim stwierdził:

– Tak. Robi to. I przy okazji uprowadził własne dziecko.

– Nie jestem adwokatem, ale to chyba nie jest uprowadzenie, jeśli chodzi o własnego bachora. – Ende uśmiechnął się tak podstępnie, jak tylko pozwalała mu na to jego sfatygowana twarz.

– Gdzie tu na Rugii znajdę twojego nieudanego syna?

– U Solveig.

– To jego żona?

– Chyba raczej babka – zaśmiał się Ende.

– Czy ona mieszka tu na wyspie?

– Nie, w Manili, zaraz za rogiem, ty skurwielu. – Ojciec Jakoba splunął

przed siebie.

Milan wyszedł na chwilę z łazienki.

– Co to ma być? – spytał Ende, gdy Milan wrócił z sypialni i podstawił mu pod złamany nos komórkę, którą znalazł na stoliku nocnym pod stosem czasopism pornograficznych.

– Zadzwoń do niego.

– Hę?

Milan złapał go za resztkę włosów i siłą odchylił mu głowę do tyłu.

– Źle słyszysz? Zadzwoń natychmiast do swojego syna!

– Bo co?

W odpowiedzi Milan przyłożył mu kciuk do złamanego nosa i nacisnął zmiażdżoną przegrodę nosową nieco w bok. Potem poczekał, aż krzyki ucichną i zostaną zagłuszone przez lecącą wciąż wodę. Następnie zrobił taki ruch, jakby chciał stanąć na jego połamanej stopie.

To wystarczyło, aby Ende szybko zawołał:

– Okej, okej, już dzwonię. Cholera, człowieku. Co mam mu niby powiedzieć?

– Że się chcesz z nim spotkać. Ma tu przyjść. Natychmiast.

Wykończony nerwowo Ende zamknął na chwilę oczy.

– Stary, prawie ze sobą nie gadamy. Nie mamy najlepszych relacji. Dlaczego miałyby się ze mną chcieć zobaczyć?

Milan zastanowił się. Ojciec Jakoba nie był w najlepszej formie. Jego oddech cuchnął krwią i alkoholem. Chcąc nie chcąc, musiał mu więc udzielić strategicznego wsparcia.

– Czym się Jakob zajmuje zawodowo?

– Utylizowaniem masy spadkowej.

Z powodu niewyraźnej wymowy Milan z początku nie zrozumiał go dobrze.

– Zarządza masą spadkową?

– Nie, to byłoby zbyt piękne. Powiedziałem: utylizuje. Jakob opróżnia mieszkania, sprzedaje graty po zmarłych i tym podobne rzeczy. Od czasu do czasu robi jakieś przeprowadzki.

Milan zastanowił się chwilę.

– Powiedz mu, że hotel ma dla niego megazlecenie.

Ende zaśmiał się i splunął krwawym śluzem pod stopy Milana.

– Wtedy od razu odłoży słuchawkę. Pomijając już to, że w sobotę rano pewnie w ogóle nie odbierze połączenia. Jest obibokiem i lubi się dobrze wyspać. Wyciągniesz go z wyra, jeśli pomachasz mu przed nosem wygraną w totka lub darmowymi dziwkami.

– No to właśnie to.

– Co?

– Dziwki. Powiedz mu, że twój przyjaciel wynajął całe piętro w hotelu i urządza orgię. Niech się pośpieszy.

– Po co? Czego chcesz od niego?

– Zrób, co ci mówię.

– Orgia? Nigdy mi nie uwierzy.

– Postaraj się być przekonujący, bo jak nie... – Ręka Milana wystrzeliła do przodu i zatrzymała się centymetr od nosa Endego.

Ten w przestrachu tak mocno odchylił głowę do tyłu, że uderzył potylicą w suszarkę do ręczników.

– Skurwiel. No dobrze, zrobię to.

Milan przystawił iPhone'a Endego do jego twarzy, lecz z powodu złamanego nosa i krwi telefon nie rozpoznał oblicza mężczyzny i nie odblokował się automatycznie. Przytrzymał zatem przyciśnięty boczny klawisz i poczekał, aż zamelduje się Siri – oprogramowanie o miłym kobiecym głosie, które tak często wyciągało go z tarapatów. Na przykład gdy gdzieś zabłądził i musiał zapytać o drogę. Lub gdy chciał wybrać numer telefonu, który tylko dzięki jej pomocy znajdował się wśród zapamiętanych kontaktów.

– Powiedz jej, żeby zadzwoniła do Jakoba – polecił Endemu.

Ten rzeczywiście posłuchał rozkazu, choć nie dało to żadnego rezultatu. Dopiero gdy ojciec Jakoba wydmuchał z nosa większy skrzep krwi, jego głos stał się bardziej zrozumiały i Siri go posłuchała.

Połączenie z Jakobem zostało natychmiast nawiązane.

Coś trzasnęło na linii i choć Milan nie przestawił aparatu na tryb głośnomówiący, rozpoznał w słuchawce porywacza, który zameldował się, mówiąc głośno i niegrzecznie:

– Czego chcesz?

– Cześć, synku – odezwał się ojciec z udawaną wesołością. – Nie uwierzysz, co się tu wyprawia. – Mrugnął do Milana. – Ten typ, o którym mi opowiadałeś. Milan Berg. Rzeczywiście się tu zjawiał.



**N**o i jak się czujesz jako marionetka?

Milan przeszedł z łazienki do sypialni mieszczącej się w obrębie apartamentu. Jego dłonie tak mocno zaciskały się na telefonie, że aż słyszał, jak jego obudowa trzeszczy.

– Zabiję cię. Najpierw twojego ojca, potem ciebie, potem...

– Ciii, ciii, cicho. Nic mnie nie obchodzi mój ojciec. Ten głupek nie uznał za konieczne, aby się podzielić ze mną choćby jednym centem ze swego majątku. Żyje sobie jak sułtan z haremem w hotelu, a ja bieduję jak żebrak na ulicy. Możesz mu wyłupić oczy, jeśli tylko chcesz.

Milan podszedł do okna, odsunął zasłony na bok i spojrzał na rozciągające się przed nim morze.

Gdzieś tam, setki mil dalej, musiała leżeć Szwecja, gdzieś było Ystad, miejsce, w którym rozgrywała się akcja licznych kryminałów z Wallanderem, które tak chętnie by przeczytał, a nie tylko zobaczył w telewizji. Stamtąd przybywały ciemne fale uderzające z impetem w strome wybrzeże, na którym jak latarnia morska wznosił się budynek hotelu. W normalnych okolicznościach obserwowanie stąd porannego świtu i wschodu słońca nad Bałtykiem musiało być zapierającym dech w piersiach widowiskiem, lecz Milan już nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz w jego życiu występowały normalne okoliczności.

– Czego chcesz? – wydusił z siebie.

– Człowieku, nie myślałem, że jesteś taki zapominalski. Stu sześćdziesięciu dwóch tysięcy trzystu sześćdziesięciu sześciu euro i czterdziestu dwóch centów. A ponieważ wydaje mi się, że robisz tym więcej błędów, im więcej czasu masz do dyspozycji, postanowiłem skrócić

ci czas ultimatum.

– Co to ma znaczyć? – Uwagę Milana przyciągnęło czerwone światło nawigacyjne kutra rybackiego, który wypłynął na połów o świcie. Patrzył na nie po prostu dlatego, że potrzebował jakiegoś punktu odniesienia, podczas gdy słowa porywacza sprawiały, że tracił grunt pod nogami.

– Spotkajmy się jeszcze dzisiaj o siedemnastej trzydzieści, a więc chwilę po zachodzie słońca.

– Okej, jak sobie chcesz. Powiedz tylko gdzie, a ja tam przyjdę. Tyle że z pustymi rękami. – Milan starał się brzmieć ironicznie, co jednak słabo mu się udało.

– To wtedy będziesz się tylko przyglądał, jak zabijamy tę małą.

Czerwone światło nawigacyjne przed oczami Milana zaczęło tańczyć w takt pulsującej w jego tętnicach krwi.

– My? – syknął. – Ty, skurwielu, dręczysz ze swoją żoną własne dziecko! Śmiech Jakoba był dla niego jak policzek.

– Nie chciałbym ci zbyt ubliżać, ale jako komisarz wydajesz mi się dość żalną figurą. – Głos Jakoba obniżył się. – Dziś po południu o siedemnastej trzydzieści. Później podam ci dokładny adres.

*On oszalał, kompletnie stracił rozum. Nie ma sensu zadawać mu rozsądnych pytań, pomyślał Milan, a mimo to spróbował jeszcze raz:*

– Ale jak mam do tej pory zdobyć tyle forsy?

– Nie łam sobie tym głowy. Po prostu przyjdź. Resztą sam się zajmę.

Krótki trzask na linii sprawił, że coś zadźwięczało w uszach Milana. Przez chwilę słyszał wszystko jakby z oddali, potem jednak uczucie głuchoty przeminęło i nagle każdy odgłos odbierał o wiele głośniejszy i wyraźniejszy. Buczenie minibaru, szum kaloryferów, odkręconą wodę w łazience.

– Co przez to rozumiesz? – spytał.

– To, co powiedziałem. Przyjdź punktualnie. Nawet jeśli teraz mi nie wierzysz, z pewnością będziesz je miał. – Jakob mruknął zadowolony z siebie jak żartowniś, który puentę kiepskiego dowcipu powtarza dwa razy, aby go wszyscy zrozumieli: – Będziesz miał te pieniądze, Milan. Zaufaj mi.

**J**akob zakończył połączenie z Milanem, położył się obok Lynn na motelowym łóżku i zamknął oczy. Zoe była przywiązana opaską zaciskową do kaloryfera w łazience, a Lynn spała. Na szczęście nic nie usłyszała z rozmowy przed chwilą.

Nie miał więcej ochoty słuchać krytyki jego działań. Ta gęś mogła sobie wsadzić gdzieś swoje przemądrzałe komentarze. Miał wrażenie, że dość się już napracował, podczas gdy ona kazała mu się obwozić po okolicy i zachowywała jak operowa diwa tylko dlatego, że opracowała plan. Wieża Eiffla, piramidy, nawet jeden pieprzony blok z wielkiej płyty, nic nigdy by nie powstało, gdyby istnieli sami architekci, a zabrakłoby rzemieślników.

*Cholera!*

On i Lynn nie mogli żyć ze sobą ani bez siebie.

Z nimi było tak jak z heroiną i kimś śmiertelnie chorym. Umrzesz, czy ją zażyjesz, czy też nie. Tyle że z tym diabelstwem będzie ci przez kilka godzin choć odrobinę lepiej.

*A jednak.*

Był przecież narkotyk, który mógł ją zastąpić, a w dodatku nieco mniej niebezpieczny.

Gdyby nie było Lynn, miałyby jeszcze zawsze Solveig.

„Babcię”, jak ją zawsze nazywał jego ojciec. Słusznie, rzeczywiście nie była już najmłodsza. Ale jak to się pięknie mówi: na starych łodziach nauczysz się pływać.

*A w kontakcie z dojrzałymi kobietami dojrzewa własna żądza.*

O tak, mógłby o tym zaśpiewać piosenkę. Na wiele głosów, z orgiastycznie brzmiącym chórem.

W porównaniu z Solveig Lynn brakowało nieco doświadczenia, ale przecież było to logiczne.

Jakob uśmiechnął się, gdy pomyślał o ich pierwszym spotkaniu, i nie zauważył nawet, jak jego wspomnienie łagodnie przeszło w sen.

Nagle nie leżał już w tym zapuszczonym pokoju motelowym z zaplamionym materacem i wzorzystą wykładziną podłogową, od której można było nawet mimo założonych butów dostać grzybicy stóp, jeśli się stało zbyt długo w jednym miejscu.

Znów miał siedemnaście lat i dopiero od trzech dni przebywał na tym zadupiu nad Bałtykiem, które już zdążył znienawidzić. W zasadzie nienawidził całej tej wyspy, która była tak cholernie rozległa, że można było godzinami jechać skuterem i nie zobaczyć pieprzonej wody.

*Naprawdę, człowieku. Równie dobrze można by Indie określić jako wyspę, a tam jest przynajmniej cieplej niż tu, na Rugii. Czternaście stopni wieczorem, cholera, a to podobno jest lato!*

Jakob odmroził sobie na swojej vespie tyłek.

Przy tym wszystkim „ucieczka” – a przecież niczym innym nie była ich pośpieszna przeprowadzka – w ogóle nie była konieczna. „Zatrzymanie akcji serca”, stwierdził żółtodziób z karetki pogotowia i wpisał to jako przyczynę zgonu, tak jakby serce nie miało u każdego człowieka w pewnym momencie przestać bić. Ponieważ jego matka i tak zawsze cierpiała na silny bezdech senny, nie zarządzono sekcji zwłok. Ubezpieczyciel wypłacił odszkodowanie i nikt nie dochodził tego, czy ojciec i syn nie przyspieszyli nieco za pomocą poduszki przebiegu choroby.

Przy czym tak naprawdę był to tylko syn z poduszką. Ojciec stał obok łóżka z sadystycznym uśmiechem na nalanej twarzy i piwem w ręku, ograniczając się do wskazówek i komentarzy, podczas gdy Jakob musiał się zająć całą brudną robotą.

*Jutro stąd spieprzam*, pomyślał, biorąc skuterem zakręt. Nawet gdyby ojciec miał przed nim płakać, że Jakob nie może go samego zostawić. Ale do cholery jasnej, miał już siedemnaście lat, a ten alkoholik mógł mu skoczyć. Żeby stary nie zakręcił mu natychmiast kurka z pieniędzmi,

obiecał mu, że spróbuje życia na wyspie, i przywłókł się tu za nim. Okazało się, że jest tu tak gównianie, jak to sobie wyobrażał. Z tymi wszystkimi wschodnimi małpami z wyspy i emerytowanymi turystami, którzy nie mogli sobie pozwolić na Mauritius lub Malediwy i oszukiwali samych siebie, że wolą się kąpać w pełnym meduz, lodowatym Bałtyku niż w Oceanie Indyjskim.

Nie, podjął już ostateczną decyzję.

Jeszcze ta jedna noc i wyprowadza się stąd. Jako bramkarz u Eddy'ego zarobi więcej niż to, co skłonny byłby mu oddać ojciec z ubezpieczenia na życie. Suma zresztą i tak nie porażała. Sto tysięcy. Jak daleko można na tym zajechać?

Chyba tylko na Rugię. I to była już stacja końcowa.

*Á propos stacji końcowej.*

Skręcił właśnie z głównej drogi obok dyskontu i skierował się w stronę Seestraße, gdy zobaczył ją bezpośrednio przed wejściem do domu. Dwoje drzwi od jego celu. Sąsiadka wpadła mu w oko już wczoraj podczas wnoszenia śmieci. Nieźle wtedy ruszała swoim jędrnym tyłkiem, ale teraz, ubrana w ściśle przylegający dres do biegania, jeszcze bardziej nadawała się do zerżnięcia.

I to w jej wieku! Musiała mieć minimum ze trzydzieści lat, a może nawet czterdzieści, jak stwierdził po przyjrzeniu się jej w świetle ulicznej latarni. Mimo to, była niezłą sztuką.

Szczupła, długie nogi, jędrny tyłek i cycki wielkie jak piłki lekarskie.

Odniósł wrażenie, że stała nieco niezdecydowana przed drzwiami do własnego domu i szarpała je chyba za klamkę. Dlatego postanowił spróbować szczęścia i zatrzymał się przed jej ogródkiem.

– Czy mogę w czymś pomóc?

*Na przykład moim kutasem?*

Odwróciła się i spojrzała na niego. Najpierw sceptycznie, potem z udawaną uprzejmością, gdy go poznała.

– Hej, to ty jesteś naszym nowym sąsiadem, prawda?

– Tak. Jakob Ende. Mieszkamy dwa domy dalej.

Odetchnęła głęboko, co wyglądało tak, że jej wielkie piersi podniosły się i ponownie opadły jak dwie poduszki powietrzne schowane za koszulką z

lycry z długimi rękawami.

– No tak, Jakob Ende. Wygląda na to, że zatrzasnęłam się na zewnątrz. Drzwi zamknięte, a klucz w środku. Głupio wyszło.

– A gdzie jest pani mąż? – Postawił na nóżkach vespę i zdjął z głowy kask.

– Na nocnej zmianie. Pracuje w Rostoku w sortowni poczty. Nie wróci przed północą.

*Brzmi to jak jego pech, a moje szczęście.*

– Cholera, to co pani teraz zrobi? Może trzeba zbić szybę albo coś w tym stylu?

Pokręciła głową.

– Pobiegnę. Moja córka ma drugi klucz, ale jest teraz u swojego przyjaciela w Lome.

*Lome? Właśnie tamtędy przejeżdżał.*

– To ponad sześć kilometrów!

– I to skrótem przez park narodowy. Tak, wiem o tym. Ale kluczyki do mojego samochodu również są w środku. – Wskazała na zatrzaśnięte drzwi od domu.

– Rozumiem.

Kobieta, która mu się jeszcze nie przedstawiła, podeszła do niego. Delikatna warstwa potu, prawdopodobnie skutek joggingu po plaży, mieniła się w świetle latarni ulicznych jak pyłek kwiatowy na jej czole.

– Nie ma komórki. Próbowалаm już zadzwonić na telefon stacjonarny, ale u jej przyjaciela nikt nie odbiera.

– Jak nie idzie, to nie idzie, prawda? – Jakob uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, którym według jego byłej przyjaciółki mógłby pozyskać każdego, nawet gdyby mu wcześniej przyłożył.

– Ja przecież mógłbym przywieźć klucz – zaproponował. Wskazał przy tym na swój skuter.

– Naprawdę? Teraz? – Obdarzyła go uśmiechem, który postanowił sobie dobrze zapamiętać, by przypominać go sobie podczas masturbowania.

– Jasne, nie ma sprawy. Gdzie dokładnie znajdę pani córkę?

– Łatwiej by było, gdybyśmy pojechali razem.

– Nie mam drugiego kasku.

– *No risk, no fun* – powiedziała i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, wsiadając za nim na skuter i obejmując go szczupłą ręką. Pachniała potem po bieganiu, gumą do żucia i cytrusowymi perfumami. Podobała mu się ta mieszanka i to, jak podczas jazdy się do niego przytulała.

– Tak poza wszystkim, to jestem Solveig – chuchnęła mu w kark, podczas gdy dodawał gazu i poza odczuciem przyspieszenia doświadczał bolesnej erekcji. I zanim Jakob prawie czternaście lat później w nędznym motelu przy autostradzie przeszedł w fazę snu pozbawioną marzeń sennych, powiedziała jeszcze, śmiejąc się przy tym: – Miejmy tylko nadzieję, że moja córka Yvonne nie jest zbyt zajęta z tym swoim Milanem.

# 49

## Milan

**M**ilan opuścił hotel bez płacenia. Nawet za połowę ceny nie mógłby sobie pozwolić na apartament tutaj, a poza tym był pewien, że Ślina nie ściągnie mu na kark policji za to, że nie uregulował rachunku za kilka godzin spędzonych w używanym łóżku stojącym w zdemolowanym pokoju. Prędej Frank-Eberhardt Ende zadzwoni po gliny, gdy tylko pokojówka go znajdzie i odwiąże od kaloryfera.

Pieniądze i czas, które mu wciąż pozostały, musiał wykorzystać, aby jak najszybciej dostać się na kemping, którego nazwę wydusił biciem z ojca Jakoba. Camp-Bodden-Blick był oficjalnym miejscem zameldowania babki, u której najwyraźniej mieszkał Jakob, gdy akurat nie porywał dzieci, aby wraz ze swoją żoną lub kochanką wymuszać na kimś okup. Kemping był położony na wąskim wzniesieniu o tej samej nazwie, które jedynie droga krajowa numer 292 oddzielała od Zatoki Greifswaldzkiej.

Już kilkaset metrów wcześniej droga biegła równolegle do brzegu morza, na którego szerokiej piaszczystej plaży zaledwie dwóch właścicieli psów dzieliło z Milanem marny los rannego ptaszka. Nawet labradorom nie sprawiało chyba radości, że biegają przy tej mżawce i grzęzną w mokrym piasku. Także Milan, wciąż bez kurtki, niechętnie spoglądał na perspektywę zamiany przyjemnego ciepła we wnętrzu taksówki na ziąb, z którego cieszyć się mogli jedynie producenci kropli do nosa i tabletek na kaszel.

– Jesteśmy na miejscu. – Całkowicie wyluzowany, krępy taksówkarz wyłączył radio, z którego ciągle leciały same przeboje, i wskazał na taksometr. Po godzinie jazdy i pokonaniu prawie pięćdziesięciu kilometrów



widniała na nim suma osiemdziesięciu euro.

– Mógłby pan tu na mnie poczekać? – spytał Milan, sięgając po portmonetkę.

– A ile to potrwa?

*No tak, ile czasu potrzeba, aby wyciągnąć biciem prawdę z człowieka, który z pewnością nie ma żadnego interesu w tym, aby zdradzić mi swoje tajemnice?*

Nawet w hotelu zajęło to pół godziny, ale wtedy przerwała mu rozmowa telefoniczna z Jakobem.

– Jakieś dwadzieścia minut – stwierdził Milan, pocierając sobie obitą pięść.

– Przykro mi, kolego. – Taksówkarz zrobił pełną ubolewania minę. – Mam za chwilę do odebrania kolejnego klienta w Binz. Ale tutaj masz kontakt do naszej centrali. – Wręczył mu rachunek w zamian za pieniądze.

– Dziękuję – powiedział Milan i zgniótł w kulkę bezużyteczny dla niego, pokryty hieroglifami papier, aby zaraz po wyjściu z taksówki wyrzucić go do kosza na śmieci obok wjazdu na kemping.

Nie było tu żadnego szlabanu. Stał tylko opuszczony domek strażnika, tak ciemny jak chmury nisko wiszące nad Bałtykiem.

Latem musiało tu być idyllicznie, jeśli pominąć hałas dobiegający z drogi i skoncentrować się jedynie na widoku szerokiej plaży. Zapewne wtedy też było tutaj tłoczno. W tej chwili tylko sześć przyczep kempingowych stało skośnie do drogi w zatoczkach parkingowych, które były oddzielone bezlistnymi, mizernymi drzewkami. I tylko z jednej przyczepy – najmniejszej i najbrudniejszej ze wszystkich – wznosił się dym z komina, co bardzo ułatwiło Milanowi poszukiwania.

Ponieważ nieutwardzona piaszczysta droga od wielu dni była wystawiana naprzemiennie na działanie śniegu i deszczu, Milan musiał bardzo uważać, aby jego lekkie sportowe buty nie ugrzęzły w błocie. Po drodze nie zobaczył nigdzie pojazdów, które mogłyby tutaj przyciągnąć przyczepy, z czego wysnuł wniosek, że większość z tych ostatnich została tu po prostu odstawiona na czas zimy.

Żółta jak paznokcie u nóg przyczepa, w której postanowił złożyć niespodziewaną wizytę, należała do kategorii: „Nie podarowałbyś jej nawet

najgorszemu wrogowi”.

„Zapaskudziłaby nawet najgorsze złomowisko”, powiedziała by jego ojciec na widok odrapanych, pokrzywionych od wiatru ścian i dziurawej papy, którą to pudło w niezliczonych miejscach było połatane. Nawet w oknie tkwił przybity gwoździami kawał papy.

*I co teraz?*

Milan zastanawiał się, czy powinien zapukać, czy od razu wtargnąć do środka, gdy boczne drzwi otworzyły się nagle na zewnątrz.

Zamarł w pół ruchu, ze stopą uniesioną już do wejścia, rozerwany w środku, niepewny, za którym z wewnętrznych impulsów powinien teraz podążyć.

Uciec czy zaatakować.

Nakrzyczeć czy przytulić.

– Wejdz – odezwała się kobieta, której nie szukał i której w zasadzie nie spodziewał się już spotkać na wyspie.

A ponieważ chciał rozwiązać chociaż tę jedną zagadkę, wszedł za Andrą do wnętrza przyczepy kempingowej Solveig Ende.

## 50

**W** wyjaśnię ci wszystko później – szepnęła do niego, wpuszczając go do środka. – Przysięgam. Na razie porozmawiajmy z nią spokojnie. To jest dużo ważniejsze.

Ostatniej kwestii Andra nie musiała mu powtarzać. Spojrzawszy na kobietę, z powodu której znalazł się tu, w cuchnącym ludzkim upadkiem wspomnieniu po przyczepie kempingowej, miał już tylko jedną myśl w głowie. Myśl, której nie omieszkał natychmiast wypowiedzieć:

– Gdzie jest Jakob?

*Gdzie jest człowiek, który dla swoich psychopatycznych zabaw w porywanie innych ludzi nadużywa biblijnego imienia?*

Solveig siedziała pod oknem na cielistej plastikowej kanapie, która zakręcała wokół zatłuszczonego składanego stołu. Miała szczupłą, wysportowaną sylwetkę, co jednak nie zmieniało faktu, że nikotyna, alkohol i rozpacz wywołana bezużytecznością własnego życia wyłobily głębokie bruzdy na jej smagłej twarzy, zmarszczki, które były nie do wygładzenia nawet za pomocą botoksu.

Podobnie jak twarz profesora, również jej oblicze wydawało mu się w jakiś mglisty sposób znajome. Wyglądała jak żywy rezultat działania aplikacji do modyfikowania fotografii, dzięki której można było postarzyć osobę na zdjęciu portretowym o ładnych parę lat. Tyle tylko że w jej wypadku Milan nie był w stanie pod strapionymi rysami twarzy rozpoznać wersji sprzed uruchomienia programu.

– Jakob? – Jej głos brzmiał tak, jakby starała się mówić możliwie niskim tonem, co według doświadczeń Milana było nieomylną oznaką ciężkiej depresji. Nie miał na to żadnych medycznych dowodów, sądził jednak, że

rozpoznaje to sam u siebie, jak jego wahania nastrojów przekładają się na pracę strun głosowych. – Zaufałam mu, temu gnojkiowi. A ta zakłamana świnią wzięła sobie po prostu moją przyczepę razem z volvo. Ta kupa złomu, w której siedzę, należy do niego. Teraz muszę tkwić w tym cholerstwie i mogę mieć tylko nadzieję, że ten dupek, którego w zasadzie nie chcę już nigdy więcej widzieć na własne oczy, wróci do mnie. Powiem wam jedno. Jeśli Jakob zrobi choć jedną rysę na mojej Mecki, będzie musiał wylizać do czysta kibel na kempingu.

– Na Mecki?

– Mojej przyczepie kempingowej. A wy nie nadajecie swoim samochodom przezwisk?

– On nawet nie ma prawa jazdy. – Andra spróbowała rozbroić napiętą sytuację. Przecież chcieli się dowiedzieć od tej kobiety, gdzie przebywa jej najwyraźniej sadystyczny wnuk.

– Jest pan gejem?

*Co ma jedno do drugiego?* Milan chciał już objechać tę homofobiczną swołocz, gdy zauważył fotografię na lodówce. Minęło raptem czternaście lat, ale na zdjęciu z polaroida Solveig wyglądała przynajmniej dwadzieścia lat młodziej. W tym momencie ją rozpoznał.

– To *pani* jest matką Yvonne?

Widział ją zaledwie dwa lub trzy razy, gdy odprowadzał przyjaciółkę do domu, ale wówczas nazywał jej matkę zawsze „pani Schlüter”. Jej imię nigdy go nie obchodziło.

*To po prostu niemożliwe.*

W poszukiwaniu żony porywacza Zoe natknął się na matkę pierwszej miłości swego życia.

W głowie huczało mu jak w ulu, który ktoś z zewnątrz okłada kijem.

*Ale... wówczas Solveig nie może być chyba babką Jakoba.*

Po bliższym przyjrzeniu rzeczywiście to się nie zgadzało. Była wprawdzie stara i mocno sterana życiem, ale co najwyżej mogła być jego matką. Nie bez przyczyny stary Ende w pokoju hotelowym zaśmiał się tak plugawo: „Chyba raczej babka”.

Nie miał na myśli pokrewieństwa. Wyśmiewał się ze związku własnego syna z o wiele starszą kobietą. Z jego romansu z matką Yvonne!

Prawda wstrząsnęła nim jeszcze bardziej niż widok Andry w drzwiach przyczepy. A przecież pierwsze oznaki tego odkrycia były nadzwyczaj widoczne.

*Książka.*

*Szyfr*

*Pomóż mi, tato.*

Skąd Zoe miałyby znać tajny język, *jeśli nie od...?*

– Zresztą już od dawna nie mówi ona na siebie Yvonne – stwierdziła kobieta, ale Milan już jej nie słuchał.

Odczepił zdjęcie od lodówki, które naderwało się przy tym z jednej strony, ale to chyba nie robiło Solveig różnicy.

*To po prostu niemożliwe.*

– Nie poznaje mnie pani? Chodziłem z pani córką.

– Kiedy?

– Dawno temu. Przed czternastu laty.

– Milan? Milan Berg? – Coś szarpnęło jej ciałem. Gniew, który przedtem był skierowany przeciw Jakobowi, zwrócił się teraz z całą gwałtownością przeciwko niemu. – Spierdalaj – syknęła i chwytając się stołu, podniosła się ze swojego siedzenia. – Spierdalaj z mojego domu!

– To nazywasz domem? – Milan stanął nad nią i uniemożliwił jej w ten sposób wstanie. – Chyba dla karaluchów i pcheł, chociaż... – udał, że rozgląda się wokoło – ...całkiem niezłe do niego pasujesz.

– Milan, proszę. – Andra położyła mu ostrożnie dłoń na ramieniu i choć był wściekły także na nią, udało jej się tym znajomym gestem uspokoić go nieco.

– Czy Yvonne ma córkę? – postawił nasuwające się pytanie.

*Tato.*

– I ty mnie pytasz? Właśnie ty? – Solveig wyglądała tak, jakby piana miała jej wystąpić na usta.

– Co pani ma na myśli? – spytała spokojnym głosem Andra.

Solveig niemal wywierciła dziurę palcem wskazującym w powietrzu, które zaległo między nią a Milanem.

– Zgwałcił ją. Moją małą dziewczynkę.

Milan zachwiał się wstrząśnięty nie tyle impetem strasznego

oskarżenia, co bólem wyraźnie słyszalnym w słowach Solveig.

– Zabrał mi wszystko, co miałam. Ona już nigdy potem nie była taka jak wcześniej.

– Kłamstwo! – krzyknął, na co Solveig wyrzyczała jeszcze głośniej:

– Zhańbiłeś ją, ty przeklęty skurwysynu! Tej samej nocy, w której zabiłeś swoją matkę!

## 51

Chciał się jej rzucić do gardła. Chciał zacisnąć swe ręce na jej tętnicach szyjnych i trzymać je tak długo, aż zatamuje dopływ tlenu do mózgu. Aby jej zapijaczony umysł nie był dłużej w stanie produkować takich kłamstw, a jej śmierdzący nikotyną pysk nie mógł dłużej wypluwać takich oszczerstw. I gdyby Andra nie złapała go z całej siły za ramię i przemocą nie odciągnęła go od niej, Solveig doświadczyłaby nie mniej bolesnego losu niż Frank-Eberhardt Ende.

– Uspokój się, Milan – usłyszał słowa Andry, co jednak nie mogło go powstrzymać od miotania kolejnych przekleństw w kierunku matki Yvonne.

– Całkowicie straciłaś rozum, stara pijaczko? Co za głupoty wygadujesz!

Z drugiej strony czego mógł się spodziewać od notorycznej kłamczuchy i oszustki? Już wówczas chodziły słuchy, że przyprawiała rogi swojemu mężowi, który pracował na nocną zmianę w Rostoku. Oraz że lubiła się zabawić z młodszymi. Ingo ze starszej klasy chełpił się nawet, że stracił z nią dziewictwo. Była to przechwałka, której dziś – w obliczu widocznego upadku Solveig – raczej nie powtarzałyby zbyt głośno.

– Taaa, jasne. Jakby mnie to dziwiło, że się wszystkiego wypierasz! – wrzasnęła w jego stronę. – Miałaś po prostu szczęście, że nie udało się niczego tobie udowodnić. Nie myśl sobie jednak, że twoja przeszłość nigdy cię już nie dogoni.

Twarz Milana znów zaczęła go palić, jakby ktoś go spoliczkował. Nieświadomie złapał się za bolesne miejsce.

*PRZYKRO MI. NIE CHCIAŁEM TEGO.*

– Gdzie ona jest? – spytała Andra i zdjęła plecak.

W tym czasie udało mu się odepchnąć od siebie wspomnienia koszmaru

sennego, który go regularnie nawiedzał.

Solveig wycelowała palec w jego pierś.

– Mam nadzieję, że tam, gdzie jest przed tobą bezpieczna.

– Ja...

Andra przerwała mu.

– Niech pani posłucha, Solveig... pani Ende. Mamy powody, aby przypuszczać, że pani wnuczka jest w poważnym niebezpieczeństwie.

– Bękart Milana? – Solveig splunęła na sofę. – Nic mnie ona nie obchodzi. Ta mała zdzira to ostatnia szumowina. Jest chora, podobnie jak jej ojciec.

Milan zwinął dłonie w pięści, gotów w każdej chwili ją uderzyć. Chodziło przecież o dziewczynkę, która jakimś dziwnym trafem trafiła do tej szalonej rodziny psychopatów. Uprowadzona, wywieziona i okaleczona. I teraz miała zostać jeszcze zamordowana.

*Ale dlaczego?*

To pytanie sprawiło, że zamarł. Ta rozmowa tutaj była czystą stratą czasu. Solveig straciła rozum. Była psychicznym wrakiem. Dyskusja z nią przypominała próbę toczenia debaty filozoficznej z kimś śpiącym.

– Co mogę zrobić? – spytał zmęczony, bo nie wiedział, jak ma dalej postąpić. Nawet gdyby przyznał się do czegoś, co było kłamstwem, i padł tu przed nią na kolana, aby błagać o przebaczenie za czyn, którego nigdy nie popełnił, i tak nic by to nie zmieniło. – Co, na miłość boską, mam zrobić, abyś nam pomogła?

*NAPRAWIĘ TO.*

Ku jego zdziwieniu Solveig chyba zaczęła zastanawiać się nad tym pytaniem. Po chwili pociągnęła przesadnie głośno nosem i rzeczywiście udzieliła mu odpowiedzi:

– Myślisz, że możesz mnie sobie kupić?

– Nie – obronił się.

– O tak. Tak myślisz. Wszyscy mężczyźni tak myślą. No dobrze. – Pochyliła się nad stołem, dosłownie kładąc piersi na jego blacie. – No to podam ci moją cenę: sto sześćdziesiąt dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt sześć euro i czterdzieści dwa centy.



**S**kąd znasz tę sumę? Co wiesz o planie Jakoba? – Milan ponownie zwinął dłonie w pięści, którymi już przedtem zdefasonował twarz Endego. – I gdzie jest ten psychol?

Wydała z siebie pełne dezaprobaty chrząknięcie.

– Ten psychol, jak go nazywasz, może i jest kompletnym dupkiem, ale ma więcej rozumu w jajach niż ty w całej swojej głowie. I lepiej troszczył się o twojego bękarta, niż ty byłbyś kiedykolwiek w stanie to zrobić.

*Psychol.*

*Rozum.*

*Bękart.*

Chciał coś na to odrzec, ale go zatkało, miał istny mętlik w głowie. Mętlik, który sam dopiero powoli zaczynał rozplątywać i wyławiać z niego poszczególne okruchy informacji.

*Jakob nie związał się z Yvonne, ale z jej matką Solveig. Porwał dziecko (Zoe), które nie jest jego, lecz innego mężczyzny. Urodziło się ono w wyniku gwałtu i zostało spłodzone przez mordercę mojej matki.*

Przeze mnie.

Nie miało to wszystko żadnego sensu, ale pasowało dobrze i harmonijnie do tego, co zgodnie śpiewał ten chór wariatów, któremu przysłuchiwał się od paru godzin.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytał Andry, która przyglądała mu się z dziwną mieszaniną współczucia i zwątpienia. Zwrócił się do niej, choć jeszcze przed kilkoma minutami miał jeszcze więcej powodów, by być nieufnym wobec niej.

*Co tu się dzieje? Co to wszystko ma ze sobą wspólnego?*

Nagle poczuł się zbyt słaby, by stać na nogach, ale nie chciał siadać przy jednym stole z Solveig, a innego miejsca do siedzenia w przyczepie nie było.

– Pytam ostatni raz: Skąd ta suma?

– To zadośćuczynienie, które mi się należy.

– Zadośćuczynienie za co?

*162 366 euro i 42 centy.*

– Jaki jest wasz przeklęty plan?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd weszli do przyczepy kempingowej. Był to szczery, złośliwy uśmiech, od którego zaświeciły się jej oczy.

– Boisz się. To dobrze, bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ze strachu robisz w portki, Milanie Berg. Bo masz ku temu wszelkie powody. Myślisz sobie, że to Jakob jest tym, którego powinieneś się bać? Więc się mylisz. Jakob to tylko frajer, któremu zawdzięczam to, że moje życie stało się piekłem. Jemu i tobie.

– Nie obwiniaj mnie o swoje życie, ty żałosna, uzalająca się nad sobą kupko nieszczęścia.

– A jednak mogę cię obwiniać. Bo od ciebie to wszystko się zaczęło. Zgwałciłeś moją dziewczynkę. Zniszczyłeś jej życie. Zabiłeś moją Yvonne i zrobiłeś z niej innego, okaleczonego człowieka. A ponieważ bękart, którym ją obdarzyłeś, nie miał ojca, na jego miejsce wskoczył Jakob. I to go zbliżyło do mojej córki. – Jej głos zamarł. Ostatnie słowa zawisły jak dym tytoniowy w zakurzonej powietrzu.

*Za bardzo go zbliżyły, pomyślał Milan, który jak sądził, zaczynał już rozumieć, w jakich urojeniach zatraciła się Solveig.*

Nie chciała zaakceptować prawdy, że w osobie Jakoba zdała się na niewłaściwego człowieka, który najpierw ją uwiódł, a potem porzucił dla własnej córki. A kto powiedział, że się skończy na Yvonne? Psychopatów, którzy znęcają się nad dziećmi, nic nie odstraszy od wykorzystywania ich również seksualnie.

Zamknął oczy i raz jeszcze przywołał ze swej fotograficznej pamięci obraz z poprzedniego dnia. (Boże, to naprawdę było tak niedawno, gdy na moście Gotzkowsky'ego zatrzymał się samochód z płaczącą dziewczynką w

środku?!)

Zobaczył wtedy tylko Zoe. Potem przed willą ujrzał także Jakoba. Kim jednak była ta kobieta, z którą ten uprowadził dziewczynkę?

Naszła go równie straszna, co niedorzeczna myśl.

*Yvonne?*

Nie.

To prawda, że nie mógł dobrze obejrzeć porywaczki. Widział tylko jej plecy, a i tak w połowie już znikła w głębi domu.

*Cholera jasna!* Yvonne była dziwna, ale nie była psychopatką, która by pozwoliła na to, aby jej własnemu dziecku został obcięty palec. Nawet gdyby zostało ono spłodzone przez takiego skurwiela jak Jakob.

Kto jednak siedział obok kierowcy? Kim była kobieta, z którą Jakob podróżował?

– Bez twojego udziału moja córka nigdy by nie zeszła na złą drogę. – Głos Solveig wyrwał go z rozmyślań. – Po rozwiązaniu była wrakiem człowieka. Codziennie zmieniała imiona, próbowała odebrać sobie życie. Musiałam zrezygnować z pracy, aby zająć się dzieckiem, które tu pozostawiłeś.

Milan tylko kiwał głową. Pozwalał, aby padały na niego fałszywe oskarżenia i wygłaszane były różne kłamstwa, byle tylko nie przerywać potoku jej słów. I tak nie byłby w stanie przekonać Solveig, że swój upadek społeczny zawdzięczała nie jemu, lecz własnym fatalnym decyzjom. To, że w ogóle z nim jeszcze rozmawiała, stanowiło zdaniem Milana tylko dowód, że potrzebowała jakiegoś zaworu bezpieczeństwa. Musiała z kimś gadać, nawet jeśli był to domniemany gwałciciel jej córki.

Zrozumiała to najwyraźniej także Andra, ponieważ sięgnęła po argument, który jest w stanie przekonać większość ludzi, by robili rzeczy sprzeczne z ich zadeklarowanymi poglądami. *Po pieniądze.*

– Nie mamy dość pieniędzy na nową przyczepę kempingową, ale na renowację powinno wystarczyć.

Jeśli Solveig chciała ukryć zachłanność w oczach, była bardzo kiepską aktorką.

– Ile? – spytała natychmiast, jakby wystrzeliła z pistoletu. Brakowało tylko, żeby zaczęła się oblizywać.

Andra otworzyła plecak, a wzrok Milana padł na plik świeżo wydrukowanych banknotów.

*Skąd, u diabła...?*

Nie musiał zadawać na głos tego nasuwającego się pytania, bo wystarczyło mu szybkie spojrzenie na Andrę, która wobec jego niepomiernej konsternacji dała mu znak oczami, że wyjaśni to później.

Podowała Solveig dwa banknoty.

– Jak już mówiłam, Jakob to dupek. Co chcecie wiedzieć?

– Gdzie przebywa?

– Nie mam pojęcia.

– Ale wie pani, jakie ma zamiary?

– Ma pewien plan, jak się może dostać do pieniędzy profesora. Przed ośmioma tygodniami organizował jego przeprowadzkę i przy tej okazji stwierdził, że stary siedzi na kupie forsy – powiedziała Solveig, sięgając po banknoty.

– Profesor Karsov? – spytała Andra i puściła pieniądze dopiero wtedy, gdy Solveig skinęła głową.

– Właśnie tak. Nawiasem mówiąc, tę robotę naraił mu ojciec Jakoba. – Zwinęła banknoty i odsunęła od szyi kołnierz swetra, aby wetknąć pieniądze do stanika. – W końcu to był jego dom. – Solveig spojrzała szyderczo na Milana. – To musi być jednak dla ciebie dziwne, że to akurat Frank kupił chałupę, w której podpaliłeś własną matkę.

Milan nie mógł się powstrzymać.

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz wygadywać tych kłamstw, nasączę banknoty benzyną i podpalę, wsadziwszy je przedtem do twojej zakłamanej gęby! Zrozumiałaś?

Solveig skinęła głową w kierunku Andry.

– Widzi pani, co mam na myśli? Jaki normalny człowiek mówi coś takiego?

– Jaka normalna kobieta zarabia pieniądze na życiu swej wnuczki?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Solveig wyciągnęła tylko rękę.

Kolejny banknot o wartości stu euro zmienił właściciela i powędrował z plecaka do stanika.

– Tak czy inaczej profesor musiał być samotny lub gadatliwy –

kontynuowała. – Z początku był nieufny, ale mój Jakob potrafi okazać się przydatny, jeśli tylko chce. Załatwiał dla niego wszelkie możliwe sprawunki, jeździł na zakupy, do apteki, a nawet do banku. Stary był tak spierniczały, że raz zapomniał nawet wyciągu z konta.

– Niech zgadnę – odezwał się szyderczo Milan. – Jakob przez nieuwagę rzucił na niego okiem.

– To jasne. Chciał przecież uszczknąć coś z tortu profesora. Jego własny ojciec nie dał mu złamanego centa ze sprzedaży domu, a teraz wygrzewa sobie siwe jaja w luksusowym hotelu, podczas gdy Jakob musi odwalać za niego całą brudną robotę. Nie można mu brać za złe tej odrobiny ciekawości. Jednak od starego nie dało się już nic wyciągnąć.

Jej ręka znów wyskoczyła do przodu. Jeśli liczyć poprzednie banknoty od Andry, Solveig była teraz bogatsza o nędzne sześćset euro. O ile tylko Andra nie wcisnęła jej fałszywych pieniędzy, co Milana wcale by nie zdziwiło.

Od wczorajszej nocy, jeśli chodzi o jego przyjaciółkę (*czy ciągle jeszcze nią była?*), był w stanie uwierzyć prawie we wszystko.

– Konto bieżące Karsova było na minusie, a wyciąg z jego konta oszczędnościowego pokazywał marne dwieście euro na plusie.

– A ile przedtem tam było?

Solveig chrząknęła z uznaniem pod adresem Andry.

– Inteligentna dziewczyna. Nie tak głupia jak ty, Milan. Stawia właściwe pytania.

– Sto sześćdziesiąt dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt sześć euro i czterdzieści dwa centy – powiedział raczej do siebie Milan.

– Dokładnie tyle. Tyle wynosiło poprzednie rozliczenie.

*I te pieniądze chce teraz zagarnąć Jakob.*

*Ale dlaczego ode mnie?*

*I to za dziecko, z którym nie mam nic wspólnego, nawet jeśli ta wiedźma powtórzy jeszcze setki razy swoje oskarżenia.*

A nawet gdyby jej oszczerstwa były prawdą, nawet gdyby Milan był ojcem Zoe, nie miał przecież tych pieniędzy. Zmęczony życiem profesor niczego mu nie pozostawił.

Tylko pigułki, po których miał znowu umieć czytać.

Jak Jakob wpadł na pomysł, że Milan może wystarać się dla niego o te pieniądze? A nawet więcej: co skłoniło go do nedorzecznego przypuszczenia, że Milan będzie miał tę szaloną sumę przy sobie, aby przekazać mu ją w ciągu niecałych dziesięciu godzin?

*Nigdy nie dostałem żadnego przelewu. Z jakiego niby powodu?*

*Nie znam przecież wcale profesora.*

*No dobra, operował mnie. Przed czternastu laty.*

*Przypuszczam, że źle pana leczył, a wina z tego powodu dręczyła go i pozbawiła go rozumu, wyraziła swe przypuszczenia żona Karsova.*

Ale jaka wina? Zgodnie ze słowami Solveig to on, Milan był potworem. Gwałcicielem i mordercą.

Krążyły nie tylko myśli Milana, lecz także on sam zaczął się kręcić w kółko. Gdy obrócił się już o 360 stopni i wydawało mu się, że karuzela myśli w jego głowie zaczyna robić kolejny obrót, jego wzrok padł na banknoty w rękach Solveig, a potem na plecak Andry i cały plik pieniędzy w środku. Przyszła mu do głowy myśl, na którą by się wcześniej nigdy nie odważył. Zgodnie z porzekadłem, że jeśli coś jest możliwe, to tego nie ma.

– Ile? – spytał Andrę i wyciągnął ją z przyczepy Solveig. Złapał ją razem z plecakiem, wypchnął przez otwarte drzwi i strącił w dół z niewysokich schodów prosto na zimne pole kempingowe. – Ile masz tam w środku? I z kim jesteś w zмовie?

## 53

**N**ie popchnął jej zbyt mocno, jednak na mokrej ziemi Andra straciła równowagę i upadła jak długa w błoto. Natychmiast wstała na nogi i rzuciła w Milana grudą rozmokłej ziemi.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyknęła.

– Ze mną? – Milan podszedł dwa kroki bliżej.

– Co? – Andra wysunęła przed siebie bojowo podbródek. – Chcesz mnie uderzyć? Tak jak tę kobietę w przyczepię?

– Nie tknąłem jej nawet palcem.

– Ale *chciałeś*. Niewiele brakowało, a straciłbyś panowanie nad sobą. Tak jak w hotelu.

Odchylił do tyłu głowę, nie ruszając przy tym nogami, jak bokser, który uchyla się przed sierpowym.

– Skąd wiesz o...?

Odwróciła się do niego plecami. Milan chciał ją złapać za rękaw, ale sam poślizgnął się przy tym na mokrej ziemi, tak że w efekcie zdołała mu się wymknąć.

Odchodząc, odpowiedziała mu:

– Szukałam ciebie i obdzwaniałam wszystkie hotele na wyspie, które wchodziły w rachubę. Facet w recepcji Subbenkrugu był ekstremalnie wkurzony.

Dogonił ją i dopiero teraz odkrył jej mini, które było zaparkowane za jedną z przyczep kempingowych.

Andra nie musiała wyciągać kluczyków do samochodu. Wystarczyło, że miała je przy sobie lub w kieszeni plecaka, aby drzwi się otworzyły.

– Gdybyś tak po prostu nagle nie związała, nigdy bym tam nie trafił.

Dlaczego zostawiłaś mnie samego? I skąd, do diabła, masz te pieniądze? Ile tego jest? – wyrzucił z siebie te wszystkie pytania, podczas gdy Andra wsiadała do samochodu, nawet nie otrzepawszy sobie z błota rąk, ubrania czy choćby glanów.

Milan uniemożliwił jej zamknięcie drzwi i złapał za pasek plecaka, który leżał na jej kolanach.

– Rozmawiasz teraz ze mną, Andra! Mam prawo do odpowiedzi!

– Ty? – spytała, śmiejąc się smutno. – Właśnie ty masz czelność mówić o *prawie* do odpowiedzi po tym, jak przez dwa lata odgrywałeś przede mną same kłamstwa? Niedowidzący Milan, zapominalski Milan, uczulony Milan. Ale gdzie, do jasnej cholery, przez ten cały czas był Milan analfabeta?!!

Jakaś ciężarówka przemknęła drogą obok i Milan dostrzegł, jak się zapalają jej światła hamowania, zanim wzięła zakręt, aby nie wjechać prosto przed siebie we wzburzone morze. Brudnoszare kłęby chmur, które zebrały się nad wybrzeżem, tylko w nielicznych miejscach przepuszczały światło.

– Nie rozumiesz tego.

– Tak jak ty nie rozumiesz tego, dlaczego muszę tak postępować, jak właśnie teraz postępuję. Zaufasz mi, Milan? Nie chcę twojej krzywdy.

– To pokaż mi pieniądze. Ile tam, do cholery, jest tej forsy? – Wyrwał jej plecak z rąk, a ponieważ był wciąż otwarty, a Andra nie chciała mu go oddać bez oporu, obrócił go na pasku wokół własnej osi i cała jego zawartość wysypała się w błoto obok samochodu.

*To niemożliwe!*

Zamrugał, jakby miał ciało obce w oku, ale to, co drażniło jego wzrok, tkwiło nie pod powieką, lecz w mokrej brei u jego stóp. Trzy grube pliki banknotów, przynajmniej dziesięć tysięcy euro. Wiatr zaczął już porywać banknoty z rozdartego wcześniej pliku, a mimo to Milan schylił się nie po to, aby zapobiec temu, by pieniądze zostały rozniesione po całym terenie kempingu.

Schylił się po artykuł wart kilka centów: niepodpisane, białe pudełko na gumę do żucia, które w rzeczywistości nie było żadnym opakowaniem gumy, lecz pojemnikiem na tabletki, który dwa dni temu wręczył mu profesor Karsov przy stole w amerykańskiej restauracji.



*Prezent.*

– Dlaczego wyciągnęłaś to ze śmieci? – Obrócił pudełko w dłoni. Usłyszał ciche stukanie jego zawartości i zobaczył rozdartą plombę.

*Jeśli będzie pan zażywać te tabletki, panie Berg, być może znów będzie pan umiał czytać.*

– Co ty takiego zrobiłaś? – Klęczał teraz w otwartych drzwiach do samochodu i wpatrywał się w nieporuszoną twarz Andry. – Otrułaś mnie?

*W drodze na wyspę?*

Przy użyciu herbaty imbirowej, która bynajmniej nie była parzona zbyt długo, lecz smakowała tak źle z całkowicie innego powodu.

*Wypiłem jej cały termos. A wkrótce potem zasnąłem.*

– To nie jest trucizna. Nie chcę twojej krzywdy, Milan – usłyszał, jak Andra mówi to raz jeszcze. Jej słowa brzmiały w jego uszach jak szyderstwo, zwłaszcza teraz, gdy odkrył kolejny zabójczy przedmiot, który wypadł z jej plecaka.

– A do czego potrzebujesz tego? – Podniósł i wycelował w jej pierś srebrny pistolet o krótkiej lufie. – Bo nie chcesz mojej krzywdy?

Andra uruchomiła silnik i wrzuciła bieg, a potem znów odwróciła się do niego. Spojrzała najpierw w wylot lufy broni, a potem prosto w jego oczy.

– Wsiadaj.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Ponieważ zawiozę cię do prawdy. Czeka już na ciebie.

## 54

**M**ilan się zdziwił. Przez wszystkie te lata, stracone miesiące i tygodnie, w trakcie których tak zażarcie walczył o to, aby nikt nie zerwał mu maski, zawsze miał stałego towarzysza. Niewidocznego dla innych jak szum uszny. Źle nastrojony kamerton w uchu, który nigdy nie chciał przestać drgać, odporny na wszystkie triki, jakie Milan stosował, aby go zmusić do milczenia.

Od czasu do czasu jego ton przybierał określone kontury, stawał się szeptem, który złośliwie wibrując, objaśniał mu, jak nic niewart, niekompetentny i bezużyteczny jest Milan jako analfabeta. Przez większość czasu jednak ten wciąż dziwacznie szumiący towarzysz był tylko nie do końca uświadomionym, stałym przypomnieniem jego największej wady.

*Ortograficznie niedorozwinięty. Literowo upośledzony. Alfabetyczny kaleka.*

Milan żył w ciągłym strachu, że jeśli podejdzie zbyt blisko jakiegoś człowieka, będzie on w stanie usłyszeć ten stale rozbrzmiewający szum. Dlatego trzymał innych ludzi na dystans. Prawie nie miał przyjaciół. Dlatego też nie chciał w pełni zaufać Andrzejowi, wręcz bał się, że nocą we śnie zacznie mówić i w ten sposób się przed nią zdradzi.

Ale teraz, gdy siedział obok niej z bronią w ręku, ani trochę się już nie przejmował, że nie potrafi odczytać celu na ekranie nawigacji. Jeszcze wczoraj wstydził się, że nie potrafił zaprogramować tego urządzenia. Dziś jego szumiący towarzysz – a tym samym przyczyna jego stałych oszustw – zamilkł na dobre. Choć ostatnie godziny były tak straszliwe, przyniosły ze sobą też coś dobrego. Podobnie jak cierpiący na chroniczny ból pacjent, w którego przypadku miły koncert lub wciągająca książka odwracają uwagę

od dolegliwości, tak on nie myślał wcale o swym analfabetyzmie, odkąd...

*No właśnie. Od jakiego w zasadzie momentu?*

Jechali przez jakąś małą miejscowość i także tutaj nie sprawiało mu to najmniejszej różnicy, że nie może odczytać stojącego u wjazdu szyldu z jej nazwą. Wystarczały mu same tablice informacyjne z ilustracjami postawione na wysepce rozdzielającej jezdnie oraz piktogramy i logotypy sklepów i firm stojących przy drodze. Bank, apteka, studio kosmetyczne, fryzjer. Było już po sezonie i w sobotę wiele lokali zamknięto, a na chodnikach spotkać można było zaledwie kilku przechodniów.

Wszystko było zamknięte poza...

– Zatrzymaj się na chwilę – powiedział Milan i wskazał na mały parking sąsiadujący z dwiema restauracjami z ogródkiem piwnym przed wejściem. Bez baldachimów lub osłon miejsce to było wystawione na kaprysy pogody i z pewnością od października nikt tu na zewnątrz nie siedział.

Andra zatrzymała się w miejscu, które wskazał jej Milan, w środku ogromnej kałuży i poza zasięgiem wzroku przypadkowo przechodzących przechodniów.

– Co robisz? – spytała go, gdy schylił się w kierunku stóp, wciąż trzymając wycelowany w jej stronę pistolet.

– Wyciągam sznurowadła.

– Po co?

– Nie mam taśmy klejącej ani opaski zaciskowej.

Spojrzała na niego, jakby postradał rozum, posłuchała go jednak, gdy zażądał, aby położyła ręce na kierownicy.

– Zaraz wracam – powiedział, gdy już przywiązał jej dłonie do kierownicy samochodu. Sięgnął po kurtkę leżącą na tylnym siedzeniu, wsunął broń do wewnętrznej kieszeni i już miał wysiąść, gdy się zatrzymał. Stop! O mały włos byłby zapomniał zabrać Andrze elektronicznych kluczyków do samochodu. Gdy je w końcu znalazł w przedniej kieszeni plecaka, mógł mieć przynajmniej pewność, że Andra nie odjedzie stąd ani nie zatrąbi, aby zwrócić na siebie uwagę, podczas gdy on będzie podążać tropem pewnego podejrzenia. Pewnej myśli, której zarysy powstały w jego głowie już w przyczepie kempingowej, i to w chwili, gdy Solveig wspomniała, że Jakob pomagał Karsovowi w przeprowadzce.

Nie trwało to dłużej niż pięć minut, ale gdy Milan na powrót wsiadał do samochodu Andry, czuł się tak, jakby miał za sobą długą i wyczerpującą wyprawę.

– Gdzie byłeś? – Jej wzrok padł na wąski kawałek papieru w jego ręku, szaroniebieski jak jej włosy.

Jej smutny wzrok ją zdradził. Nie musiał jej mówić, czego się dowiedział. Wiedziała o tym już przed nim.

– Wiesz już, dokąd jedziemy, prawda? – spytała.

Zmęczony zwinął kartkę w kulkę i westchnął.

– Obawiam się, że się tego domyślłam.

**D**o małego domu przynależał garaż, który sprawiał wrażenie zupełnie obcego dodatku. Został on dolepiiony później do wschodniej strony budynku. Funkcjonalny prostopadłościan o ścianach z betonu natryskowego i aluminiowym dachu, który nie miał patyny i duszy krytego trzciną przytulnego domu jednorodzinnego stojącego tuż obok. Otwierana automatycznie brama była otwarta i zamknęła się zaraz za mini, gdy Milan i Andra wjechali do środka.

Fotokomórka włączyła słabe światło sufitowe, ale poza kompletem opakowanych w plastikowe torby opon zimowych i damskim rowerem wiszącym na ścianie nie było tu nic wartego oświetlenia. Jeśli oczywiście nie liczyć mężczyzny stojącego w drzwiach prowadzących do głównego budynku.

Zanim jeszcze brama do garażu opadła, jego twarz skryła się w cieniu. Na chudym ciele mężczyzny zwiślało ciemne ubranie sportowe, masowo produkowany model dostępny w sieciach sklepów z tanią odzieżą, który nosiły miliony innych klientów. Mimo to Milan natychmiast rozpoznał, kto na niego czekał.

I choć liczył się z tym, że go tu zobaczy, poczuł drapanie w gardle, jakby połknął żyjącego owada.

Chrząszcza o ostrych odnóżach, który reagował na imię „Zdrada”.

– Ręce! – rozkazał Milan, po czym ponownie przywiązał Andrę. Tym razem jeszcze mocniej zacisnął sznurowadła wokół jej nadgarstków i kierownicy.

– Wiesz, dlaczego się ciebie słucham? – spytała. Skrzydełka jej nosa trzęsły się tak gwałtownie, że kolczyk w nich się kołysał.

– Bo mam broń?

Przygryzła dolną wargę i pokręciła głową.

– Bo po raz pierwszy się ciebie boję, Milan. Zmieniłeś się.

– Czy możesz mieć mi to za złe?

– Nie jestem twoim wrogiem, Milan. – Skinęła głową w kierunku czekającej na niego postaci. – On ci to wyjaśni.

Milan wysiadł z samochodu.

Także mężczyzna się poruszył. Wyprostował kręgosłup, przejechał ręką przerzedzone włosy.

– Musimy się pospieszyć. – Stary człowiek brzmiał jak ktoś zmęczony i przeziębiony, co sprawiało, że wydawał się jeszcze starszy. Pensjonariusz, który w zasadzie powinien leżeć w łóżku i rozwiązywać krzyżówki, a nie jak jakiś szpieg włóczyć się setki kilometrów za swoim synem aż nad morze, by tam czatować na niego w ciemnościach. – Pani Karsov jest u swojego męża w szpitalu. Nie mam pojęcia, kiedy wróci.

– Co to ma być? – spytał Milan. – Czego chcesz ode mnie, tato?

Ojciec przytrzymał mu drzwi.

– Orientujesz się tu przecież. To znaczy, dużo się tu zmieniło. Sam ten garaż, co za hańba. Ale rozkład pomieszczeń jest taki jak wcześniej, jeśli pominąć to, że to przejście było kiedyś naszą spiżarnią.

– Wczoraj dopiero co tu byłem – stwierdził Milan. Ścisłej mówiąc, było to dziś rano.

Weszli razem do kuchni. Także tu wciąż tkwiły kartony z rzeczami z przeprowadzki, tylko talerz i dwie kubki do kawy stały w zlewie. Stare, przytulne meble, zebrane kiedyś do kupy na targu staroci, nie przeżyły najwyraźniej pożaru i zostały zastąpione przez kredowobiałą zabudowę kuchenną w stylu rustykalnym.

– Wiem. Andra mi o tym opowiadała. – Ojciec przejechał palcami po kuchennym stole. Niegdyś razem spożywali przy nim śniadania, po których Milan wsiadał na rower, by pojechać do szkoły. Był to jedyny mebel, który uratował się z ich przeszłości. – Andra mi wszystko opowiedziała.

Milan wahał się, czy ma dotknąć drewna stołu. Jego dyskomfort rósł z każdym oddechem i nie wynikało to z nowego urządzenia kuchni. Chodziło o mieszkańców, którzy po nich przyszli. O Franza-Eberhardta Endego,

który z jakichś niewytłumaczalnych względów kupił ten dom. O ojca tego psychopatycznego potwora, który go właśnie wpędzał w szaleństwo. Jego negatywna energia, jego nienawiść i całe zło w nim odbiły się na tym domu, nadały mu nieprzyjemną aurę, która dusiła Milana.

Kurt podszedł do zlewu, odkręcił kran i napełnił kubek wodą.

– W jaką grę się wy ze mną bawicie?

– To nie jest gra, chłopcze. Mogę przysiąc. Żadna inscenizacja, żaden test, nic w tym stylu. To czysta katastrofa. – Jego ojciec wypił łyk wody. Teraz jego głos brzmiał nieco mniej ochryple, ale wciąż słychać w nim było to samo napięcie. – Nie chciałem tu już nigdy wracać. Skończyłem już ostatecznie z tym domem, z tą przeklętą wyspą.

– A mimo to tutaj stoisz.

– A mimo to wyruszyłem dziś skoro świt koleją, gdy tylko usłyszałem, co się wydarzyło.

– Dlaczego?

Buczenie lodówki ucichło na chwilę i tylko dlatego Milan uświadomił sobie, że ten masywny przedmiot w ogóle wydaje z siebie jakieś dźwięki.

– Co cię do tego skłoniło, tato, aby mnie śledzić? Zwłoki kobiety przy autostradzie czy odcięty palec dziewczynki w jej ustach?

Wydawało się, że wzrok Kurta przenika go do głębi.

– To moja wina mnie do tego skłoniła. Od czternastu lat nie ma we mnie silniejszego uczucia.

*Wina.*

Znów pojawiło się to słowo.

Milan obserwował nerwowe ruchy, którymi ojciec podnosił do ust kubek, i zapytywał sam siebie, co się stało z tym mężczyzną, którego wcześniej porównywał z falochronem. Z tym dobrodusznym, silnym, pewnym siebie facetem, który nawet w najgorszych chwilach znajdował czas, by rzucić jakiś głupi dowcip.

Być może ta przemiana była tak wyraźna, bo Milan przyglądał się jej w miejscu, gdzie wyrósł. Choć kulisy tak bardzo się zmieniły, mimo to znajdowali się na tym samym spłachetku ziemi, który dawniej był jego ojczyzną. Przy stole, przy którym Kurt się z nim śmiał i wygłupiał, a także go pocieszał. Gładki blat nie wykazywał prawie żadnych oznak zniszczenia.

W przeciwieństwie do jego ojca.

– Co takiego zrobiłeś?

– Gdybym mógł ci to tak po prostu powiedzieć, chłopcze, zrobiłbym to przez telefon. Przywlokłem się tutaj, aby ci to pokazać. – Kurt obrócił się i ruszył ku drzwiom wiodącym na korytarz.

– Dokąd idziesz?

Ojciec zatrzymał się z ręką na gałce poręczy schodów.

– Na górę, do twojego dawnego pokoju dziecięcego. Tam, gdzie zaczęło się całe zło.



Co mu powiedziałaś?

– Komu?

– Nie rób ze mnie głupka. Nie na darmo przecież stłukł tatę, by wydusił z niego nasz adres. Co mu o nas zdradziłaś? – Jakob zabębnił pięścią w ścianę przyczepy kempingowej.

Solveig nawet się nie wzdrygnęła. Słodkawy zapach nałożył się na smród, który Jakob przez wszystkie te lata tutaj wyprodukował. A mimo to zabronił Solveig palić tu w środku jointy. Jej ciągle jaranie trawki w końcu przeważało szalę i przed rokiem zmusiło go do wyprowadzki z jej Mecki. Głupio tylko, że nie mógł sobie pozwolić na nic więcej niż ten gruchot na czterech kołach.

– A niby co? – odparła Solveig. – Chciał wiedzieć, gdzie się ukrywasz.

– No i?

– No i gówno. Przecież nic nie wiem. A może by sobie poszli, gdybym im powiedziała, że tu wrócisz? – Solveig mówiła spokojnie, na całkowitym luzie. Działanie skręta wciąż się utrzymywało. – Była z nim dziewczyna.

– Wiem.

– Niezła sztuka, ale zbyt pewna siebie jak na twoje potrzeby, Jakob.

Znów uderzył pięścią, tym razem zostawiając na laminowanej ścianie przyczepy kempingowej odcisk swoich kostek.

– Śmiało, rozwal tę swoją budę. Ważne, żebyś nie traktował w ten sposób mojej Mecki, bo inaczej stłukę cię na kwaśne jabłko. – Wyciągnęła przed siebie rękę. – Dawaj kluczyki.

Jakob wyrzął przez podrapane okno z tworzywa sztucznego na przyczepę kempingową Solveig stojącą nieopodal. Smugi brudu i plamy zaschniętej soli świadczyły o nocnej jeździe z Berlina.

– Jeszcze jej potrzebuję. Dostaniesz ją z powrotem dziś wieczór.

– I mój udział.

– Jaki udział? – Jakob oderwał się od okna.

Solveig wstała ze swojego miejsca na narożniku i napuszyła się przed nim.

– Wciąż jestem twoją żoną, nawet jeśli teraz wtykasz swoje brudne łapy gdzie indziej. Wciąż mam prawa.

– Prawa?

– Tak. Nie zawarliśmy przecież intercyzy, a więc do mnie należy połowa tego, co zarobisz.

Zaśmiał się szczerze ubawiony.

– Aż tak porębana jesteś? Naprawdę sądzisz, że zgłoszę okup w urzędzie skarbowym? I co takiego powiesz w sądzie rodzinnym? Chciałabym dostać plastikową zastawę stołową, zepsuty telewizor i osiemdziesiąt tysięcy euro zdobyte w wyniku porwania?

Solveig zastanowiła się krótko, zanim odpowiedziała:

– Jeśli mi niczego nie oddasz, pójdę na policję.

*Boże, jakiego syfu się tym razem najarała? Jest jeszcze mniej poczytalna niż zwykle.*

Jakob westchnął.

– Lynn miała rację.

– Z czym?

– Żeby z tym dłużej nie zwlekać.

Solveig wysunęła podbródek do przodu i oparła dłonie na biodrach.

– Co? Chcesz wystąpić o rozwód? – powiedziała wyzywającym tonem.

– Właśnie – odparł Jakob. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, skąd wyciągnął sprężynowiec i wbił jej w oko.

**P**okój dziecięcy był pusty. Nie stały tu nawet kartony.

A mimo to był to pierwszy pokój w domu, w którym dosięgła go rzeka wspomnień.

Zwłaszcza że widać było magnolię – drzewo w ogrodzie sąsiadów, które Milan widział zawsze, gdy siadał w oknie, które na wiosnę tak przepięknie kwitło i którego gołymi gałęziami potrząsał teraz wiatr. Jakże często w młodości pogrążał się w rozmyślaniach i śnił, że przebywa w innych światach, na obcych lądach i w ramionach dziewczyn takich jak Yvonne, wciąż mając przed oczami tę magnolię. Jej gałęzie odcisnęły się jak znak wodny na jego wspomnieniach.

– Czy to się wydarzyło tutaj? – spytał ojciec. Zatrzymał się w drzwiach, podczas gdy Milan wszedł do kwadratowego pomieszczenia pod ukośnym dachem.

– Co?

– Ty mi powiedz.

– Tato, o co tu chodzi? – Milan potrząsnął głową. – Co ty masz wspólnego z szaleństwem, w którym tkwię już od dwudziestu czterech godzin?

– Od czternastu lat – poprawił go Kurt.

– Proszę?

– Co najmniej. Jeśli nie dłużej. Szaleństwo, jak to nazywasz, zaczęło się w dniu, w którym umarła twoja matka. Tu, w tym pokoju.

Milan zamrugał. Dopiero minęło południe, ale było już tak ciemno jak

latem późnym wieczorem. W oprawce na suficie brakowało żarówki, co prawdopodobnie ojcu bardzo odpowiadało. Zbyt jasne, agresywne światło mogłoby przypuszczalnie przepłoszyć wspomnienia, które w tym zmroku pojawiały się w umyśle Milana.

- Nie byłeś tu sam – stwierdził ojciec.
- Yvonne była tutaj, to prawda, ale...
- Powiedz mi, co tu robiliście.
- Byliśmy nastolatkami w wieku dojrzewania. Co sobie myślisz?
- Czy wy...?

Milan machnął ręką. Jeszcze teraz, po upływie tych wszystkich lat, mówienie o tym było dla niego niezręczne.

- Nie. Do niczego nie doszło. Wiesz przecież.
- To dlaczego, krzycząc, wybiegła z domu, goła od pasa w górę?

Milan spojrział na magnolię, która wówczas była obsypana fioletowymi kwiatami.

*PRZYKRO MI.*

– Nie jestem pewien. Po tej nocy, po moim upadku nie potrafię sobie przypomnieć wszystkiego.

– Ale pokłóciliście się. – Ojciec wszedł na krok do środka pokoju.

– Tak, o ile wiem, tak. Wyśmiała mnie. Byłem zraniony. Od słowa do słowa. Chciała już sobie pójść i po drodze, na schodach zdjęła z siebie bluzę.

– Dlaczego?

*NIE CHCIAŁEM TEGO.*

Milan zamknął oczy i obrazy stały się wyraźniejsze. Nagle wydało mu się, że czuje nawet oddech Yvonne pachnący gumą do żucia. Jego usta były wciąż obolałe po wielu niewprawnych pocałunkach.

– Bo była moja. Nie chciała jej już.

– A potem?

– Pobiegnęłam za nią. I...

– Co potem?

Milan otworzył oczy, lecz zapach pozostał. Nie gumy do żucia Yvonne, ale dymu. W tej retrospekcji zajął już miejsce przyjemnych woni.

*NAPRAWIĘ TO.*

– Nie potrafię sobie przypomnieć – powiedział.

– Nie potrafisz czy nie chcesz?

Milan się wściekł.

– A więc teraz ty znów zaczynasz? Jak Solveig?

Zdziwiony Kurt uniósł prawy kącik ust.

– Matka Yvonne? Co ci powiedziała?

*Że zgwałciłem jej córkę i zostawiłem ją z dzieckiem.*

Kurt podszedł do niego jeszcze o krok.

– Nie wypowiesz tego na głos, bo boisz się, że to może być prawda.

– Nie powiem tego, bo nie chcę powtarzać kłamstw. Wiem, co zrobiłem, a czego nie zrobiłem.

– Ach tak? – odpowiedział Kurt. – Dopiero co twierdziłeś, że nie potrafisz sobie wszystkiego przypomnieć. Jak trafiłeś do piwnicy?

Milan odwrócił się do niego plecami i znów spojrział przez okno tam, gdzie dawniej stała szopa na rowery. Teraz została zastąpiona przez grządki.

– Nie mam pojęcia. Chyba wróciłem na górę i zasnąłem, a potem obudził mnie dym. Uciekając na zewnątrz, musiałem pomylić drzwi. W ten sposób upadłem.

– Dym nikogo nie budzi – usłyszał za sobą głos ojca. – To szeroko rozpowszechniony błąd. Dlatego tak wielu ludzi umiera we śnie.

*Jak mama.*

– Nie wierzysz mi? – spytał Milan.

Stado czarnych ptaków zbliżyło się od strony morza i przeleciało na dachem. Gdy już przefrunęły, wydawało się, że zrobiło się jeszcze ciemniej, niż było.

Milan odwrócił się w stronę ojca i starał się odczytać coś z jego twarzy.

– Nie chodzi o to, w co ja wierzę, tylko o to, co uczyniłem, Milan.

*Wina.*

*Co, do diabła, chciał mu wyznać ojciec?*

– I wyznam ci to. Ale zaraz. Jeśli mi przedtem powiesz, co się stało z Tinką.

– Z naszą kotką? Mówisz poważnie?

– Proszę cię, powiedz mi to. Ze względu na mnie.

Milan jęknął głośno.

– Boże, została złapana i rozszarpana przez kombajn zbożowy. – Dzikie zwierzęta zdążyły się już nią uraczyć, zanim została odnaleziona. Ale co, do diabła, miało to z tym wszystkim wspólnego?

*Czy tu w ogóle coś się dzieje z jakiegoś powodu?*

– To samo twierdziłeś wówczas. Jednak opowiedziałeś to dopiero po tym, jak twoja nauczycielka znalazła kotkę w szafce szkolnej Yvonne.

– Wciąż myślisz, że to ja ją tam podłożyłem? – *Po wszystkich tych latach?* – Yvonne ją znalazła i nie chciała, aby kotka leżała na skraju drogi. Wiedziała, ile znaczyła dla nas Tinka. Chciała, abyśmy mogli ją pochować, zanim zabierze ją śmieciarka.

– Jaka dziewczyna wlecze ze sobą na wpół rozłożone, nadjedzone przez ptaki zwłoki kota do szkoły?

– Ale twój syn zrobiłby coś takiego, tak? Tato! Wyjaśniałem ci to już po wielokroć. Znałeś Yvonne. Była dziwaczna. Myślała inaczej. Byłaby z niej typowa ofiara dręczona na przerwach szkolnych, gdyby nie to, że wszyscy inni odrobinę się jej bali. Niektórzy myśleli, że była wolniejsza, nie dość inteligentna, ale ona po prostu bardzo często przebywała we własnym świecie. A w nim było rzeczą całkowicie normalną, że kota przyniesionego w plastikowej torbie do szkoły trzeba tymczasowo schować do szafki, aby nie spóźnić się na klasówkę z matematyki.

– To jednak nie tłumaczy tego, że nauczycielka widziała, jak to ty wkładasz kotkę do szafki.

– Nie wkładałem jej tam! Chciałem ją stamtąd wyjąć. Po tym jak Yvonne mi o niej opowiedziała. Wtedy zostałem przyłapany. Przecież Yvonne to wszystko ci wówczas potwierdziła.

– I tak szczegółowo to sobie przypominasz? A to, czy to twoja matka ci czytała, czy też sam umiałeś odszyfrowywać miłosne liściki od Yvonne, to jakoś wyleciało ci z głowy? Nie uważasz, że to trochę dziwne?

– I tak wróciliśmy do początku: Nie wierzysz mi.

Milan chciał jak najszybciej opuścić pokój. Wyjść stąd, wymknąć się z miejsca pełnego starych wspomnień. Ojciec jednak złapał go zadziwiająco mocno za ramię. Był to ich pierwszy kontakt cielesny od jego przybycia.

– Bardzo długo ci wierzyłem, Milan. Twoja matka także. Ale wtedy byliśmy w tym osamotnieni. Rada pedagogiczna zastanawiała się, czy cię

nie wyrzucić ze szkoły. Po tym zdarzeniu z Tinką nie wolno ci było pojechać na wycieczkę szkolną do Walsrode. Pamiętasz jeszcze? I to po raz drugi!

– Masz zamiar wyciągać wszystkie przykre momenty z mojego dzieciństwa? Podczas pierwszego wyjazdu na zieloną szkołę zostałem dobrowolnie w domu.

– Ponieważ nie byłeś w stanie kontrolować nocą pęcherza. Wstydziłeś się tego. Nikt nie powinien o tym wiedzieć.

– Do czego zmierzasz?

Ojciec wciąż trzymał go mocno, ale teraz zwolnił uścisk. Tak jakby zauważył, że z każdą sekundą rozmowy Milan staje się coraz słabszy i można oczekiwać po nim coraz mniejszego oporu.

– Bluza leżała w kominku, Milan. Przypominasz to sobie?

*Yvonne. Kłótnia. Wycieczka szkolna.*

– Nie widzę żadnego związku – odezwał się cicho.

– Eksperci z zakresu pożarnictwa dokładnie to zbadali. To bluza spowodowała, że płomienie przeskoczyły i objęły ogniem cały salon. – Kurt dotykał go teraz bardzo ostrożnie, niemal delikatnie. – Twoja bluza, chłopcze. Po prostu wrzucona do ognia. Jednak jeden jej rękaw był na zewnątrz. Czy umiesz mi to wyjaśnić?

*Moczenie łóżka.*

*Podpalanie.*

*Dręczenie zwierząt.*

A więc do tego zmierzał. Trójca psychopatii. Jednoznaczne cechy szczególne wrodzonego szaleństwa.

– A więc myślisz, że jestem jak dziadek Willy?

*Perwersyjny, zwyrodniały, zły?*

Milan cofnął się o krok.

– Myślisz, że zabiłem mamę?

Kurt skinął głową. Z oczu potoczyły mu się łzy.

– Dlatego się tu zjawiałeś? Aby mnie oskarżyć? – Milan chciał przełknąć ślinę, ale jakaś niewidzialna pętla zacisnęła mu gardło.

– Nie. Wybrałem się w tę drogę, aby ci wyznać, co *ja* ci zrobiłem. Zanim się tego dowiesz od jakiegoś perwersyjnego porywacza.

– Co?

Ojciec odwrócił się w kierunku drzwi.

– Chodźmy lepiej do piwnicy. Tam łatwiej przyjdzie ci mnie zabić, gdy już się tego dowiesz.



**B**oże, ależ ta stara jest ciężka.

*Czy śmierć zwiększa w jakiś sposób wagę ciała? Solveig przecież była szczupła.*

*Cholera.*

Wyglądało to tak, jakby musiał ciągnąć wypełnioną wodą plastikową miednicę po tartanowej bieżni. Lynn nic mu nie pomagała. Nie chciała nawet przyłożyć do tego ręki, choć to w zasadzie był jej pomysł, aby załatwić Solveig.

– Ale nie tak! – nakrzyczała na niego na widok trupa. – Jak można być tak tępym?! Dlaczego nie wywabiłeś jej na zewnątrz i nie sprzątnąłeś jej dopiero tam? Teraz sam pomyśl, jak się jej pozbyć z tej twojej zasranej przyczepy.

Pozostawienie jej tu nie wchodziło w rachubę.

Pojutrze miał być poniedziałek, a wtedy pojawiał się strażnik, który zbierał miesięczny czynsz. Poza tym nie pasowało to do planu Lynn, aby rzucić na Milana całe to gówno. Dlatego tak czy inaczej Solveig musiała zostać znaleziona razem z Zoe.

– Dlaczego po prostu nie przyprowadzimy tu Zoe? – zdążył spytać, nim uchwycił spojrzenie Lynn, na którego widok poczuł się tak, jakby na niego napluła.

– Całkowicie przeżarło ci mózg? Zaraz musimy ruszać dalej, a tego nie da się zrobić z tą budą z papy na kołach. Rozpadnie się na kawałki, jeśli przeciągniemy ją choćby metr dalej. Nie, Solveig musi trafić do przyczepy

Zoe, a nie na odwrót.

Co racja, to racja, musiał to przyznać Lynn.

Mimo to Jakob wciąż się złościł, że nie potrafił wtedy nic na to odpowiedzieć. Teraz musiał dwa razy odwalić brudną robotę. Po pierwsze to on sprzątnął Solveig. Po drugie musiał sobie teraz zarzucić na plecy jej zwłoki i mimo skrzypienia w krzyżu wynieść ją przez drzwi.

Na szczęście zaparkowali Mecki tak blisko, że Jakob nie mógł zostać dostrzeżony ani z sąsiedniej drogi, ani z podjazdu na kemping. Przy tym pogoda stawała się coraz gorsza. Deszcz przechodził powoli w śnieg.

– Wrzucić ją do bagażnika volvo – poleciła Lynn przez opuszczoną szybę po prawej stronie kierowcy, nie opuszczając schronienia w samochodzie.

– Cholera. Nie mogę jej po prostu wrzucić do Mecki z tyłu?

– Nie. Nie chcę, aby Zoe kompletnie zwariowała. Wciąż jej potrzebujemy.

– Okej.

*Co tylko chcesz, mała. Ale jeśli sobie myślisz, że po całym tym gównie podzielę się z tobą forszą pół na pół, to się grubo mylisz.*

Gdy wykonał już rozkaz Lynn, usiadł za kierownicą i potrzebował dłuższej chwili, aby odsapnąć.

– I co teraz? – Zdjął rękawiczki i otarł sobie pot oraz wilgoć z czoła. – Dokąd jedziemy?

– W kierunku Prory.

Uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg. Opony zakręciły się w miejscu, aż wreszcie po chwili bieżnik chwycił i ze skrzypieniem przyczepa kempingowa potoczyła się w tył.

– Dokąd dokładnie?

Podawała mu adres.

– Cholera, nigdy stamtąd nie wrócimy, jeśli złapie nas tam ta parszywa pogoda.

– Nie musimy.

– Hę?

– Zrozumiesz, gdy będziemy na miejscu – odpowiedziała Lynn i ze swego miejsca uruchomiła zestaw głośnomówiący podłączony do komórki Jakoba.

Za drugim razem pracownia Karsova w piwnicy robiła jeszcze bardziej nierzeczywiste wrażenie. Jakby zaglądało się do szalonego mózgu profesora. Nawet gorzej: jakby się stało w chaotycznej przestrzeni jego umysłu i można się było w niej rozglądać dookoła.

Wciąż nie potrafił znaleźć logicznego związku między słowami, znakami i literami. Artykuły na ścianach, wycinki z gazet i notatki nadal nie miały dla niego żadnego sensu. Nawet jeśli Andra przypuszczalnie nafaszerowała go tabletkami Karsova. Gdyby stało się inaczej i podziałyby, byłby to prawdziwy cud. Przy czym chciała go raczej otruć, bo na analfabetyzm nie było lekarstwa.

– Poznałeś już manię Karsova? – spytał go ojciec.

Milan znów ruszył przodem, schodami w dół piwnicy. Trzeszczenie trzeciego od końca stopnia było jedyną rzeczą, która wywołała w nim wspomnienia – obraz tego, jak strażak go chwyta i wynosi do góry.

Znów stał sam jeden w pomieszczeniu, choć tym razem bez skrępowania kroczył swoimi pozbawionymi sznurówek butami po karteczkach samoprzylepnych, podczas gdy ojciec oparł się o otwarte drzwi, ponownie z twarzą skrytą w półcieniu bladego oświetlenia sufitowego.

*Kurt.*

Milan zauważył, że nie nazywa teraz swojego ojca po imieniu. Ten sposób dystansowania się zawsze wcześniej wydawał mu się dziwny, gdy słyszał, jak dzieci zwracały się do swoich rodziców, nie mówiąc „mamo” albo „tato”.

Pierwszy stopień do tego, aby przejść na pan. Wydarzenia ostatnich godzin mocno wstrząsnęły relacją między nimi. Bardzo możliwe, że nieodwracalnie zniszczyły bliskość i zaufanie, które ich łączyły.

– Badania nad sawantami – odparł Milan. – Jego żona nam o tym opowiadała.

*Czy jest pan wybitnie uzdolniony?*

– A opowiedziałeś jej o swojej fotograficznej pamięci?

Milan pokręcił głową, co skłoniło ojca do wygłoszenia wykładu.

– Karsov miał pewną teorię. Wiele osób ze szczególnymi uzdolnieniami zawdzięcza swoje niewiarygodne umiejętności jakiemuś wypadkowi, zwykle jest to uszkodzenie mózgu. Uderzenie w głowę, guz umiejscowiony w specyficznym regionie i pacjent może nagle opanować język obcy w ciągu zaledwie godziny lub narysować szczegółowo siatkę ulic po jednokrotnym przelecie nad nimi helikopterem. Problem polega na tym, że większość tych sawantów potrafi tylko tę jedną rzecz i zawodzi w innych dziedzinach. Niektórzy robią w gacie, zajęci liczeniem liści na drzewie.

– Kurt. Oczekuję odpowiedzi od ciebie.

*Karsov, Andra, porwanie, ty. Jaki to ma ze sobą związek?*

Kurt mówił dalej, jakby nie słyszał wtrąconej uwagi Milana.

– Na początku myślano, że zdobyte umiejętności tak pochłaniają sawantów, że w innych dziedzinach stają się upośledzeni duchowo i psychicznie. Ale jest to oczywiście skutek samego uszkodzenia. To właśnie uraz uniemożliwia im stanie się normalnymi członkami społeczeństwa. Ich uzdolnienia, ta superkompensacja, to tylko objaw zaburzenia.

– Brzmisz jak jakiś profesor – powiedział Milan, który na słowo „uraz” mimowolnie złapał się za głowę.

– Długo na ten temat z jednym z nich rozmawiałem. – Ojciec wskazał na kolaże ściennie profesora. Na tapetę z kartek wykonaną przez opętanego. – Karsov początkowo zajmował się neurochirurgią sądową. Postawiona przez niego teza brzmiała: poważne zaburzenie psychopatyczne nie może zostać wyleczone, lecz w najlepszym razie stłumione za pomocą lekarstw. Jednak życie przyszłej ofiary gwałtu lub zabójstwa nie powinno zależeć od tego, czy chora umysłowo osoba grzecznie łyka pigułki. – Kurt chrząknął. Powietrze tu w dole było zakurzone i suche, ale nie to było przyczyną jego

nagłej chrypki. Milan przypuszczał, że ojciec znajdował się już na ostatniej prostej w drodze do prawdy. Im bliżej był swojego wyznania, tym ciężiej przychodziło mu mówić. – Karsov poszukiwał metody, dzięki której można by za pomocą jednego chirurgicznego cięcia na stałe wyeliminować zło.

– Wyciąć je?

Kurt westchnął.

– Tak to nie działa, bo nie ma jednej siedziby zła, którą można by zlokalizować w naszej głowie. Karsov wybrał inną drogę. Zainspirowany badaniami nad zespołem sawanta doprowadzał do sztucznych urazów w mózgach pacjentów. Do powstania zaburzenia, które miało jeszcze większe skutki niż już istniejące. Nazwał to metodą minus plus. Ponieważ chciał wykorzystać minus, a więc uszkodzenie, aby w wyniku tego powstał plus.

Przez cebulki włosowe na głowie Milana przeszło mrowienie, jakby skóra na jego głowie została podłączona do prądu.

– Jego teoria głosiła, że mózg psychopaty nie będzie miał już więcej energii, aby snuć i realizować swoje brutalne plany, jeśli będzie zbyt zajęty rozwiązywaniem trwałego konfliktu egzystencjalnego.

– Co on mi zrobił? – spytał Milan, którego głos stał się tymczasem równie słaby jak u ojca.

– Niewiele. – Kurt odetchnął ciężko i zamilkł.

Milan starał się nie wnikać w jego milczenie. Wiedział, że ojciec jest już blisko, że bierze rozbieg przed zasadniczym momentem spowiedzi.

– Karsov przyszedł do mnie. Po pożarze byłeś operowany, ale wystąpiły komplikacje. Krwawienie. Była konieczna kolejna operacja. Znał mnie, wiedział, że jesteś synem szpitalnego konserwatora. Słyszał też te wszystkie pogłoski: Że prawie zostałeś wyrzucony ze szkoły za dręczenie zwierząt. Że to twoja bluza była przyczyną pożaru. Pytał mnie też, czy moczyłeś się w nocy do łóżka. Czy byłeś inteligentny, a mimo to miałeś problemy z czytaniem i pisaniem. Czy w rodzinie były już wcześniej inne przypadki chorób umysłowych. Mniej więcej w tym samym czasie matka Yvonne zaczęła rozsiewać plotki o gwałcie na jej córce.

Milan zatoczył się jak odliczany bokser. Każde słowo, każde zdanie trafiało w jego inne czułe miejsce. Pierwsza przerwa w wyznaniu Kurta wydała mu się przerywnikiem między rundami walki. Z wielkim trudem

wydusił z siebie pytanie, oddzielnie akcentując każde słowo.

– Co? On? Mi? Zrobił?

– Karsov opowiedział mi, że z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością zostaniesz mordercą. I że okienko czasowe jest bardzo ograniczone.

– Okienko na co?

– Aby doprowadzić.

– Do czego?

– Do krwawienia mózgowego.

Nie patrząc, co robi, Milan chwycił plik kartek wiszących na ścianie, oderwał je i zwinął w kulę, po prostu po to, żeby zrobić cokolwiek innego, niż tak głupio stać i się gapić, słuchając straszliwego wyznania ojca.

– Krwawienia mózgowego?

– Karsov powiedział, że nie potrafi przewidzieć, jakie skutki będzie miało to uszkodzenie, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że na przykład możesz oślepnąć. I jeśli tak się zdarzy, nie będziesz już stanowić niebezpieczeństwa.

*Niebezpieczeństwa? Dla kogo?*

– Po pierwszej operacji wystąpiło, jak mówiłem, krwawienie w mózgu. Ale po pewnym czasie prawdopodobnie przeminęłoby ono bez skutku. Dlatego Karsov podał ci dodatkowo lekarstwa rozrzedzające krew. Krwawienie nasiliło się i zaczęło uciskać na tkankę mózgową, co wywołało komplikacje. Gdy się przebudziłeś z narkozy, część twoich wspomnień zniknęła. Jestem laikiem, nie wiem, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Nie oślepniesz. Także ośrodek mowy w twoim mózgu pozostał nienaruszony, tyle tylko że zerwane zostało połączenie z okolicą wzrokową. Dlatego nie potrafisz teraz czytać ani pisać.

– Okaleczyliście mnie? – Milan chciał krzyczeć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Przykro mi.

– *Przykro ci?* No to wszystko mamy już wyjaśnione, nie ma problemu. Co będzie na obiad? – Próba przywołania sarkastycznego uśmiechu na twarz spaliła na panewce. Milan sam poczuł, jak jego usta układają się we wściekły grymas.

– Chłopcze, nie było takiego dnia, w którym nie zadreczę samemu sobie, za to, co ci zrobiłem. Dlatego nie ruszyłem tych pieniędzy.

– Jakich pieniędzy?

Milan nie wiedział, czy da radę coś jeszcze znieść. Tęsknił już do ostatniej, wiecznej przerwy na ringu, gdy przestanie inkasować kolejne ciosy poniżej pasa. Przeczuwał jednak, że ojciec jeszcze z nim nie skończył.

– Za moją zgodę na ten zakazany eksperyment profesor chciał mi zapłacić siedemdziesiąt pięć tysięcy euro. Tyle by kosztował remont domu po pożarze. Ja jednak nie chciałem już dłużej pozostawać na Rugii. I nie chciałem na moim koncie splamionych krwią pieniędzy.

– A teraz to konto pęka w szwach.

*162 366 euro i 42 centy.*

– Karsov włożył je dla mnie na lokatę – wyjaśnił Kurt.

– Dlaczego?

– Jego też dręczyło poczucie winy, że wówczas posunął się zbyt daleko.

Milan znów odzyskał swój głos i krzyknął:

– Pytałem się o to, DLACZEGO przez te wszystkie lata przemilczałeś to przede mną!

– Chłopcze, akurat ty powinieneś to zrozumieć, jak to jest, gdy dławi cię jakaś gorzka prawda. Niewiedza jest czasem największym prezentem na ziemi. Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz!

W trzech krokach Milan doskoczył do ojca, złapał go za kołnierz i podniósł tak wysoko, że Kurt musiał stanąć na palcach.

– Zrobiliście ze mnie umyślowego kalekę – wypluł mu te słowa w twarz.

– Uleczyliśmy cię.

– Co? Co ty gadasz? Dopiero co chciałeś się przede mną usprawiedliwić, a teraz...

*Uleczyliśmy?*

– Powiedziałem, że jest mi przykro. Oraz że to mnie zżera od środka. Nigdy jednak nie twierdziłem, że chcę cię za to przeprosić.

Milan pociągnął ojca w lewo i przycisnął go do ściany, od której oderwało się kilka artykułów.

– Karsov chyba tymczasem doszedł do wniosku, że wtedy źle cię przeanalizował. Sądzi, że byłeś niewłaściwym obiektem badań.

– Dlaczego?! – krzyknął Milan.

– Musisz zapytać Andry. To ona go odszukała. Wyrzuty sumienia najwyraźniej wpędziły Karsova w szaleństwo. Chciał chyba anulować przeszłość. Dlatego kupił ten dom dla nas. Chciał przekazać nam resztkę swojego majątku. Abyśmy tu wrócili.

Milan nie sądził wcześniej, by to było możliwe, ale teraz wściekł się jeszcze bardziej, ponieważ ojciec kolejny raz źle go zrozumiał.

– Pytanie brzmiało: Dlaczego Karsov bardziej wierzy we mnie niż mój własny ojciec?

– O to mnie pytasz? Mówisz poważnie? – Choć Milan coraz silniej przyciskał Kurta do ściany i ojcu powoli zaczynało brakować powietrza, znalazł on jeszcze w sobie dość energii na histeryczny śmiech. – Spójrz na siebie. Zanim poznałeś Andrę, zarabiałeś na życie, dokonując rabunków i oszustw. – W ustach Kurta zebrała się ślina. – Na własną rękę ścigasza przestępcę i ukrywasz trupa w lesie. Bijesz ludzi, torturujesz ich, posuwasz się do rękoczynów wobec mnie, własnego ojca, podczas gdy twoja przyjaciółka tkwi w garażu, związana przez ciebie w jej samochodzie.

Milan gwałtownie od niego odstąpił, dogłębnie wstrząśnięty wrażeniem, jakie wywarły na nim te słowa.

*Zabiję go za to*, pomyślał i wycelował broń w głowę ojca.

Ten skinął głową, jakby właśnie tego oczekiwał, i potarł sobie szyję.

– Nie opowiadaj mi tylko, że się z tym dobrze nie czujesz, chłopcze. Teraz, w tej właśnie chwili. Podoba ci się, co?

– Nie!

– Andra opowiadała mi przez telefon, że się zmieniłeś. A wiesz, kiedy to się stało? Odkąd nie musisz się w każdej wolnej sekundzie dnia zajmować walką z wiatrakami, które wprawia w ruch twój analfabetyzm. Twoje myśli są teraz wolne, a pod zewnętrznym naciskiem wychodzi na jaw twoje prawdziwe ja. Jakiego dowodu na teorię Karsova jeszcze potrzebujesz? Nie chcę nawet myśleć o tym, jaki byś się stał, gdyby nie było tego zaburzenia.

Milan poczuł palenie w oczach. Mogło być ono tylko wynikiem łez, które jednak nie miały swojego zwykłego, oczyszczającego działania, lecz przeciwnie, jeszcze bardziej rozpały jego gniew.

– Normalny. Byłbym normalnym, szczęśliwym człowiekiem, Kurt.



– Bzdura. Dodaj sobie dwa do dwóch, chłopcze. Mój ojciec, a twój dziadek Willy, był psychopatą wziętym prosto z kart podręcznika. Ja sam miałem szczęście na loterii genów i ten kielich mnie ominął. Ale po tym, jak zło przeskoczyło jedno pokolenie, zostało ono przekazane tobie. Jak pałeczka sztafetowa.

*Minus i minus daje plus.*

– Nie jestem zły – powiedział Milan, walcząc z przymusem naciśnięcia na spust.

– I dlatego właśnie celujesz do mnie z naładowanej broni? Bądź szczery wobec siebie. Chcesz mnie zabić, prawda? Być może to właśnie jest powód, dla którego tak długo milczałem. Ponieważ bałem się umrzeć, gdy tylko się wszystkiego dowiesz. Ale gdy Karsov postanowił mnie wczoraj odwiedzić, wiedziałem już, że dłużej nie dam rady ukrywać prawdy. Zadzwoiłem do ciebie, aby cię zaprosić. Chciałem już w Berlinie wyłożyć karty na stół. Wtedy jednak przyszedłeś z tą opowieścią o porwaniu. Teraz jest już po wszystkim i nawet jakoś się dobrze składa, że cała historia znajdzie swój koniec tu, na Rugii, gdzie to wszystko się zaczęło. Dalej, chłopcze. Pokaż swoją prawdziwą twarz. Naciśnij na spust.

Kurt pochylił się lekko do przodu, wystawiając w jego kierunku sklepienie czaszki.

Palec Milana drgnął, tak jak jego prawa powieka, tak jak blizna na skórze głowy. Tak jak telefon tkwiący w kieszeni jego spodni.

Terkotało i wibrowało w niej, ponieważ jednocześnie nadeszło co najmniej dziesięć wiadomości wraz z sygnałami dźwiękowymi, które się na siebie zgrzytliwie nałożyły.

W ciągu ostatnich sekund Milan się nie poruszył, a mimo to jego telefon musiał gdzieś w tej piwnicy złapać zasięg. Teraz wystarczył jeden pasek siły sygnału i aparat zasygnalizował pół tuzina nieodebranych połączeń.

– Nie ruszaj się stąd – powiedział Milan, pchnął ojca w bok i ruszył schodami do góry, aby się dowiedzieć, czego chce od niego morderca.

# 60

**Jakob**

**N**o wreszcie. Gdzie byłeś, idioto?

Jadąc drogą krajową numer 29, zostawili za sobą Binz i zmierzali na północ w kierunku Prory. Choć wiatr był powstrzymywany przez rzędy domów stojących między plażą a drogą, Jakob musiał trzymać kierownicę oburącz, bo tak mocno jego porywy szarpały samochodem i przyczepą<sup>10</sup>.

– Nie miałem zasięgu – oświadczył Milan.

– Twoja niedbałość mało co nie zabiła zakładniczki.

– Żyje jeszcze?

– A masz pieniądze? – spytał Jakob, czym zasłużył sobie na pełne pochwały spojrzenie Lynn, która dzięki zestawowi głośnomówiącemu mogła słuchać rozmowy, polerując sobie jednocześnie paznokcie miękkim pilnikiem.

*Żadnych dyskusji. Żadnych dialogów. To TY nadajesz ton.*

– Wiem już, na jakim koncie leżą – odpowiedział Milan.

– To dobrze.

Nawet bardzo dobrze. Duży postęp.

– Mamy ze sobą laptop – wyjaśnił mu Jakob. Minęli właśnie drogowskaz wskazujący skręt do Muzeum Narodowej Armii Ludowej<sup>11</sup>. – Weź tylko kartę płatniczą i PIN, to wszystko będzie dobrze.

Jego oddech pokrył parą dolną jedną trzecią część przedniej szyby. Nie pomagała nawet wentylacja działająca na najwyższych obrotach.

– Jak chcecie przetransferować pieniądze, nie narażając się na wpadkę?

– Martw się tylko o to, aby nie przyjechać za późno. Nie mamy czasu do

stracenia. Spotykamy się najpóźniej o szesnastej na plaży przy kempingu.

– Przy którym? – spytał Milan, choć już w zasadzie wiedział.

Lynn przycisnęła na ekranie dotykowym środkowej konsoli symbol odłożonej słuchawki i skinęła z zadowoleniem głową.

– Bardzo dobrze.

– Dziękuję – odpowiedział Jakob, szczerze ucieszony tą rzadką pochwałą. Musiał zdjąć nogę z gazu, bo z naprzeciwka nadjeżdżał autobus turystyczny, który podczas manewru wyprzedzania nieco zbyt długo pozostał na ich pasie.

– Ale on ma rację – odezwał się trochę później, gdy chwilę przed Neu Mukran skręcił w prawo i ich cel był już prawie w zasięgu wzroku.

– Z czym? – spytała Lynn.

Volvo zakołysało się jak łódź wiosłowa podczas burzy na nierównościach polnej drogi prowadzącej nad plażę. Rozciągający się przed nimi kemping wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż ten, z którego wyruszyli. O tej porze roku był całkowicie opuszczony.

– Mam na myśli to, że nawet jeśli ojciec Milana nie ma limitu przelewów, to co nam pomoże jego PIN? Potrzebujemy co najmniej listy kodów jednorazowych lub tego dziwnego urządzenia. A w dodatku czy na tym zadupiu tutaj, w samym środku orkanu będziemy mieli w ogóle zasięg?

– To już moje zmartwienie.

– No pięknie, ale na jakie konto ma wpłynąć forsa? – Jakob spojrzął w prawo na Lynn, nieco dłużej, niż w zasadzie pozwalała na to wyboista droga. – Tylko nie opowiadaj mi teraz niczego o bitcoinie lub jakichś numerach kont na Karaibach, bo tego się po tobie nie spodziewam.

– Sądzę, że jest jeszcze coś, czego się po mnie nie spodziewasz. – Lynn przyjrzała mu się z uśmiechem.

Nawet gdyby teraz otworzyła okno i wpuściła do środka śnieg z deszczem, nie zadrżałby bardziej niż w tej chwili.

– A mianowicie? – spytał, patrząc znów do przodu i tłumiąc w sobie drżenie.

Minęli właśnie duży, ciemny barak, który w trakcie sezonu służył jako umywalnia z prysznicami i toaletami.

– Że przez cały ten czas ani przez sekundę nie chodziło mi o tę cholerną

forse.

– A o co?

– O rodzinę – stwierdziła Lynn, chwytając za kierownicę. W jej drugiej ręce znalazł się nagle nóż, który jeszcze niedawno tkwił w oku Solveig. – Było mi z tobą miło, kochanie. – Zaśmiała się i wbiła nóż w brzuch Jakoba.

**G**dzie jesteście? – spytała Andra i potarła sobie przeguby rąk. Sznurówki głęboko werznęły się w jej skórę, jak pierścionek w spuchnięty palec. Odkąd Milan uwolnił ją z więzów i poprowadził pod skierowaną w jej kierunku bronią z garażu do piwnicy, minęło dopiero kilka minut, w trakcie których w jej dłoniach powoli powracało krążenie krwi. Towarzystwo temu uczucie swędzenia i drapania.

– Wcześniej była tu pralnia – odpowiedział Kurt, wskazując na odmiennie zabarwione kwadratowe miejsca na podłodze z płytek, gdzie kiedyś stały pewnie pralka i suszarka do bielizny. Obecnie w tym małym pomieszczeniu znaleźć można było tylko małą umywalkę bez kranu i równie bezużyteczny krótki kawałek rury, który bez żadnego widocznego celu zwisał z sufitu. – Kiedyś była ona połączona z kotłownią, ale jak widać, z jakiegoś tam powodu przejście zostało zamurowane.

– Cholera. – Andra uderzyła pięścią w ścianę i boleśnie przekonała się o jej masywności.

Po chwili zapytała ojca Milana, czy jest może jakieś inne wyjście z ich więzienia.

– To znaczy poza tym, które mój syn zamknął na klucz?

Najwyraźniej Franz-Eberhardt Ende przed swoją wyprowadzką wsadził z zewnątrz klucze do każdego zamka, a państwo Karsov nawet ich nie tknęli. Dlatego Milan miał szeroki wybór i zdecydował się zamknąć Andrę i swojego ojca w pralni.

*Jaki stary*, to była jej pierwsza myśl, gdy zobaczyła Kurta kucającego na

podłozie. Postarzał się widocznie, odkąd się pierwszy raz spotkali w jego pokoju w domu spokojnej starości w dzielnicy Nikolassee. Był też dużo starszy niż na fotografiach, które zrobił Günther, gdy pilnował ojca Milana.

Już wówczas Kurt Berg był blady i nieco drżący, ale dziś się wręcz wydawało, że jego własne ciało było dla niego o jeden numer za duże. Skóra na nieogolonej szyi zwisała mu w fałdach z podbródka jak zwinięta serwetka. Także on się bał, mogła to wyczuć węchem. Niektórzy ludzie reagują na stres jak psy, wydzielając słodko-kwaśne wyziewy. Kurt najwyraźniej należał do tej kategorii osób.

– Musimy poczekać, aż pani Karsov wróci do domu.

– Kiedy to będzie?

– Trudno powiedzieć. Jeśli mamy szczęście, za pół godziny. Jeśli mamy pecha, dopiero jutro rano lub jeszcze później. Gdy tu przybyłem, właśnie wychodziła, ale pozwoliła mi wejść do domu. I tak go nie zносиła i nie wiedziała, czy wytrzyma w nim choćby jeszcze jedną noc.

– Czy to znaczy, że w najgorszym przypadku umrzemy tu z głodu?

– W najgorszym przypadku nie będziemy pierwszymi, którzy niebawem zginą.

*No to pięknie.*

Andra obmacała się w poszukiwaniu komórki. Był to rodzaj wyuczonego odruchu, wiedziała bowiem aż nadto dobrze, że Milan zabrał jej telefon.

– Czy to kanalizacja? – Wskazała na grubą, pomalowaną na szaro rurę, która znikwała w zewnętrznej ścianie domu.

– Tak. – Kurt skinął głową. – Ta droga prowadzi na zewnątrz, ale jak pani chyba widzi, rura nie jest wystarczająco gruba, nie utknie w niej nawet kot. A my nie mamy narzędzi, jeśli nie liczyć mojego pęku kluczy. Jeśli więc nosi się pani z myślą, by...

Andra zamarła.

– Chwileczkę. Co pan właśnie powiedział?

– Mam pęk kluczy w kieszeni...

– Nie, chodzi o coś innego.

*Utknie w niej.*

Kurt był tak wzburzony, że nic nie odpowiedział, ale nie było to wcale potrzebne.

– To w tym miejscu była pralnia?

– To prawda.

Jej wzrok powędrował na sufit, a potem na ścianę, która znajdowała się naprzeciw wejścia. Z powodu wielu brudnych plam na murze Andra nie zwróciła przedtem uwagi na to, że w pewnym miejscu na ścianie działowej od strony kotłowni przez tynk przebiega pionowa rysa. Wcześniej uznała, że to nacięcie jest jedną z licznych tu pajęczyn.

– Pralnia ze zsysem na brudną bieliznę, w którym Milan utknął jako dziecko?

– A więc opowiadał pani o tym – upewnił się Kurt, kiwając głową.

*Okej, szansa nie jest zbyt duża, ale innej nie mamy.*

Andra uklękła i zaczęła rozsznurowywać swoje glany.

– Co pani robi? – spytał zaskoczony Kurt.

– A jak pan myśli? – odpowiedziała pytaniem i ściągnęła sweter przez głowę. Potem zaczęła rozpinać pasek od spodni. – Rozbieram się. Bardzo mi przykro, ale będzie musiał mnie pan oglądać naga. Jeśli jednak będę ubrana, nigdy się stąd nie wydostaniemy.

**J**est szesnasta czterdzieści trzy.

Pedałowanie pod wiatr w coraz gęściejszej śnieżycy sprawiało Milanowi wiele trudu, podczas gdy Siri odczytywała mu na głos czas.

*Cholera.*

Gdyby w podnieceniu nie zachowywał się tak głupio, mógłby wziąć samochód Andry. Przynajmniej odebrał jej wtedy telefon komórkowy, jednak zostawił jej kluczyki do samochodu. A po tym, jak celowo złamał od zewnątrz klucz w drzwiach do piwnicy, nie miał już możliwości wrócenia po nie. Dlatego musiał teraz pedałować na rowerze i walczyć z wichurą. I dlatego słuchawki wetknięte do uszu wydawały mu się teraz kostkami lodu, które z sekundy na sekundę stawały się coraz zimniejsze.

Tymczasem rozpadał się śnieg, masa wielkich płatków z rodzaju tych, na widok których dzieci wysuwają języki. Śnieżycy tym bardziej go pozbawiała widoczności, im szybciej starał się posuwać naprzód.

– Nie masz dziś już żadnego umówionego spotkania.

*No jasne.*

Programiści z Apple, Google i innych firm mogli sobie myśleć, że projektując Siri, Alexę i jak się one tam wszystkie nazywają, stworzyli sztuczną inteligencję, która więcej wie o swoich użytkownikach niż oni sami o sobie, ale w przypadku Milana całkowicie mijali się z prawdą.

Oczywiście, że miał dzisiaj spotkanie. Być może ostatnie w jego życiu.

Przy tym wspomagany komputerowo damski głos w jego uchu nie wiedział także nic o tym, że Milan opuścił środkowoeuropejską strefę



czasową w momencie, gdy z garażu wziął wysłużoną damkę i wskoczył na jej siodełko. Od tej chwili zegar Milana nastawiony był na czas Zulu.

Tego uniwersalnego czasu koordynowanego używali wojskowi podczas wojny, aby nie było nieporozumień. Czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w Iraku, Rosji, czy też Afganistanie, czas Zulu był na całej planecie identyczny. Także na Rugii, gdzie Milan zmierzał na bitwę z przeciwnikiem, którego zamiary tym gorzej rozumiał, im dłużej się z nim mierzył.

*Plaża przy kempingu.*

To także nie mógł być żaden przypadek. Jakob celowo wybrał miejsce przekazania pieniędzy.

Tutaj, pomiędzy miejscowościami Neu Mukran i Prora, on i Yvonne zbliżyli się do siebie. Tutaj się z nią kąpał w zimnych, niekiedy turkusowo czystych wodach Bałtyku. Tutaj pierwszy raz się z nią całował pod prysznicem na plaży. Tutaj, w kiosku Freddy'ego kupował jej kolę, którą doprawiał odrobiną ojcowskiego rumu skradzionego z barku w salonie. I tutaj przytulali się do siebie w starym, na wpół zbutwiałym koszu plażowym, do którego nikt już nie rościł sobie pretensji, a już zwłaszcza wiosną, gdy wieczorami było tak zimno jak gdzie indziej późną jesienią. Dla nich obojga było to idealne miejsce, w którym mogli wspólnie się zawiązać w koc i zwrócić twarzami do morza patrzeć razem w książkę, którą Milan ściągnął z biblioteki szkolnej.

R75A55W10-11, przypomniał sobie szyfr oznaczający „Kocham cię”.

Czy go wówczas sam odcyfrował? Po tym wszystkim, co powiedział mu ojciec, było całkiem możliwe, że Karsov miał rację. Że naprawdę był taki czas, w którym Milan potrafił czytać. Przed pożarem. Przed upadkiem.

*Zanim mnie okaleczyli.*

Lecz choć tak bardzo się starał, nie mógł sobie niczego przypomnieć. Przy tym jego mózg zdawał się pracować jeszcze intensywniej niż jego mięśnie, które teraz zmuszał do wysiłku, aby pokonać drogę w mniej niż pół godziny.

Wcześniej, przy dobrej pogodzie, nie stanowiłoby to żadnego problemu. Pomędzy Lome a Neu Mukran nie było przecież nawet szesnastu kilometrów. Jednak nigdy nie jeździł tą trasą w śnieżycę i nigdy nie musiał

dźwigać ciężaru, który teraz na nim spoczywał: pewności, że został zdradzony przez ludzi, którym zaufał najbardziej na świecie.

Przez Andrę.

Przez swojego ojca.

Oraz – co najgorsze – przez samego siebie.

Czy nie za wcześnie się poddał? Czy nie powinien tu znacznie wcześniej powrócić, aby dokładnie zbadać sprawy?

*Dlaczego pogodziłem się ze swoim własnym losem?*

Przez wszystkie te lata myślał, że jest w jakiś sposób sam winny własnego analfabetyzmu. Że jest zbyt głupi, zbyt leniwy, zbyt inny niż wszyscy ci „normalni” ludzie, którym nie myliły się litery. Milan nie zdążył jednak poukładać swoich myśli w spójną teorię, gdy już skręcił z drogi krajowej w odnogę, która niegdyś była ostatnią prostą wiodącą do realizacji jego największych marzeń.

Tu, na plaży spotykał się ze swoją przyjaciółką. Bawił się z nią. Całował.

Dziś, czternaście lat później, wyboista droga stała się dla niego ślepą uliczką. Nie hamując, zmierzał w kierunku swego końca, nawet jeśli tak działo się tylko w jego myślach.

Bo w rzeczywistości zsiadł z roweru i po prostu rzucił go w krzaki.

*Czas Zulu, pomyślał. Co tu się stało?*

Wyglądało tu rzeczywiście jak na wojnie, jakby Milan trafił nie na plażę przy kempingu, lecz na pole bitwy. Volvo dachowało i tkwiło teraz z boku drogi jak przewrócony czołg. Samochód leżał na wydmie z odchylonymi drzwiami od strony kierowcy i otwartym bagażnikiem. Reflektory wciąż działały i oświetlały to, co przedtem było ciągnięte za samochodem, a teraz znajdowało się przed nim: przyczepę kempingową. Stała na plaży równoległe do brzegu morza. Nieco przekrzywiona, ale wciąż na wszystkich czterech kołach.

*To zasadzka*, pomyślał Milan, podczas gdy jego wzrok padł na element, który ostatecznie zamienił w jego oczach plażę w pole bitwy: na ranną. Leżącą na mokrym piasku, jakieś dziesięć metrów od fal.

Wydawało się, że na wszelką pomoc było już za późno. Im bardziej Milan zbliżał się do kobiecego ciała, tym bardziej wyglądało ono na pozbawione życia. Nikt, kto oddychał, nie mógłby tak leżeć. Tak

powyginany, z głową niemal na plecach, z nogami w pozycji, która jest możliwa tylko przy wielokrotnym złamaniu miednicy. I nikt, kto jeszcze żył, nie trzymałby jedyne go widocznego oka tak szeroko otwartego, podczas gdy śnieg i niesiony z wiatrem piasek obrabiała źrenicę jak papier ścierny.

Milan pochylił się nad ciałem i stwierdził, że jego podejrzenia się potwierdziły. Znał tę kobietę. Spotkał ją po raz pierwszy dziś przed południem. I choć go nie lubiła, choć nim gardziła i go obrażała, zrobiło mu się przykro, że zobaczył ją w tym stanie. Solveig!

*Widzisz, tato. Jednak coś czuję. Nie jestem zły.*

*Nie z natury.*

Usłyszał, jak drzwi przyczepy się zatrzasnęły. Musiał je zatrzasnąć wiatr.

*Chociaż...*

Czy przed chwilą nie były zamknięte?

Czy przypadkiem nie dostrzegł jakiegoś cienia, gdy klękał obok Solveig? Uznał, że jest to niesiony wiatrem kłęb śniegu, który w półmroku panującym na plaży wydał mu się jeszcze mroczniejszy.

*Prawdopodobnie jednak się pomylił.*

– Jakob? – Obrócił się.

*Nie, pomyślał. To nie Jakob.*

To nie jego cień zniknął w głębi przyczepy kempingowej i zamknął za sobą drzwi.

Z pewnością to nie mógł być on.

Bo Jakob stał teraz przed nim.

W przemoczonym ubraniu, które nie było mokre od śniegu czy deszczu, lecz raczej przesiąknięte o wiele ciemniejszą i gęściejszą cieczą. Która spływała strumieniami po jego czole i po policzkach, a także wzdłuż ręki, w której trzymał pistolet.

Z którego rozległ się strzał.

**M**amo, proszę, pomóż mi – błagała szeptem Zoe. Tak cicho, że przy huku biczowanych wiatrem fal, który uderzał w cienkie ściany przyczepy kempingowej, nie dało się jej zrozumieć. Ale Lynn, która właśnie zamknęła za sobą drzwi, była w stanie odczytać to z ruchu jej warg.

– Co z tobą jest nie tak, ty bekso? Naprawdę błagasz o pomoc własną matkę?

*Jakie to wstrętne.*

To nie mogła być prawda, że płynęła w nich ta sama krew, jak to się pięknie mówiło. Nie, to było trudne do wyobrażenia.

Lynn nie chciała, aby ktokolwiek w jej rodzie zachowywał się tak jak Zoe, która nie zgadzała się na swój los, płacząc i rycząc. Ona sama pochodziła z rodziny wojowników, a nie wiecznie przegranych, którzy w obliczu nieuchronnej śmierci poniżali się jak Zoe, drżąc na całym ciele i klęcząc na ziemi. Z rękami złożonymi do modlitwy, tak jakby Lynn była jej zbawcą, a nie katem.

– Wstań – rozkazała Zoe.

W tej chwili powietrze na kempingu przeciął odgłos wystrzału. Zoe, która właśnie próbowała się wyprostować, skuliła się znacznie bardziej niż Lynn, która się z czymś takim liczyła.

Jakob był twardy. A więc nie stracił dostatecznie dużo krwi, która kapała teraz z jej ręki na wykładzinę dywanową.

*Niech będzie i tak.*

Gdy wyciągnęła nóż z brzucha Jakoba, krew wytrysnęła na przednią

szybę jak fontanna. W zasadzie myślała wtedy, że on po prostu umrze i tym samym zdejmie nogę z gazu. Ale on, walcząc w agonii, zareagował całkowicie absurdalnie i przyspieszył jak wariat.

Stracili kontrolę nad samochodem i dachowali. Na całe szczęście przyczepa oderwała się już wcześniej i potoczyła się dalej, tak że stanęła w miejscu kilka metrów od brzegu i załamujących się fal.

Na filmie wszystko by eksplodowało. Wszystko, poza tymi przekłętymi poduszkami powietrznymi, przez które wysiadanie przez otwarte drzwi pasażera stało się nieco utrudnione. Na myśl o tym Lynn uśmiechnęła się zadowolona, bo w gruncie rzeczy bardzo jej to odpowiadało. Bo siniaki i otarcia były jej bardzo na rękę. Bo volvo nie rozpadło się całkowicie, a jego reflektory wciąż działały i oświetlały jej drogę do przyczepy kempingowej. Do Zoe.

A także dlatego, że kleiło się do niej tyle krwi Jakoba, jakby się w niej skapała.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

– Proszę, proszę, nie rób tego – zaczęła błagać przerażona Zoe, gdy zobaczyła, że Lynn przyniosła ze sobą elektryczny zszywacz. Noża w tylnej kieszeni jej spodni jeszcze nie dostrzegła.

– Czy Jakob zrobił ci to w prawą, czy w lewą rękę? – zainteresowała się Lynn. – Zapomniałam go o to spytać, a teraz nie da się tego naprawić, skoro już nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak – powiedziała Lynn, która spostrzegła, że strzępki plastra opatrunkowego zwisają z lewego kciuka Zoe. – W zasadzie to wszystko jedno, prawa czy lewa. – Zacisnęła mocno zęby i wstrzeliła sobie zszywkę pod paznokcie kciuka lewej ręki, tak jak to wcześniej Jakob zrobił Zoe.

Poczuła nagły ogień, jakby wbiła sobie rozpalony kolec pod skórę. Potem, gdy już pierwszy szok minął, fala bólu potoczyła się przez całe jej ciało i zmusiła ją do wydania z siebie głośnego krzyku.

*Cholera, niewiele brakuje, a można by stracić przytomność.*

– Dlaczego to robisz?! – krzyknęła Zoe, która wciąż klęczała na podłodze.

– Aby wyglądało to tak, jakby Jakob nie torturował tylko ciebie jednej –

wyznała szczerze Lynn. Jej zęby szczękały przy mówieniu. Ból szalał w jej ciele jak gorączka.

*Bo dla rodziny trzeba ponosić ofiary. A może nie?*

Przyglądała się swojemu kciukowi i dziwiła się, że nie był tak duży, jak się jej wydawało. Przynajmniej rozmiaru piłki lekarskiej. Ale nie, co najwyżej kuli do kręgli.

*Wszystko jedno.*

Wstrzymała na chwilę oddech, ale potem spróbowała oddychać mimo bólu, nie wiedząc dokładnie, co to w zasadzie ma znaczyć. Po chwili zdecydowała, że jedna męka mniej czy więcej, ale ona nie ma już więcej czasu, i uklękła przy Zoe.

– A teraz zabierzemy się za ciebie – powiedziała. Odrzuciła zszywacz i wyciągnęła nóż z kieszeni spodni.

Rozumiał ich teraz dobrze. Tych wszystkich, których wcześniej uważał za idiotów lub kłamców.

Teraz wiedział, co mieli na myśli, gdy opowiadali, że się irytowali, gdy byli przywracani do życia. Ci w zasadzie już umarli, lecz reanimowani, którzy widzieli już światło i witali swych zmarłych krewnych i przyjaciół, którzy stali w szpalerze po bokach ich ostatniej drogi.

Gdy ból w brzuchu eksplodował jasnym światłem przed jego zamkniętymi oczami i nie czuł już nic poza całkowitym, błogim spokojem, Jakob doznał doświadczenia bliskiego śmierci, które przeniosło go na powrót do jednego z najpiękniejszych wspomnień z czasów jego młodości.

*A teraz jest już po wszystkim.*

Teraz, gdy znów musiał znosić tę zimną, moką brzydotę życia, wichurę wiejącą prosto w twarz, dłoń obolałą od odrzutu pistoletu, przyszło mu na myśl, że najprawdopodobniej to właśnie wiatr był tym czynnikiem, który sprawił, że w domniemanej ostatniej sekundzie swojego życia przypomniał sobie akurat tę podróż skuterem. Oraz Solveig, która się do niego przytuliła, głaskała podczas jazdy jego uda. A także jej dłoń bardzo blisko miejsca, gdzie jego erekcja wypychała spodnie. Razem ruszyli skuterem w drogę do Lohme, do jej córki Yvonne. Która tak dobrze bawiła się z Milanem, że nie odbierała telefonu, i dlatego matka nie mogła jej powiedzieć, że została poza domem z kluczami zatrzaśniętymi wewnątrz.

*Co za szczęście!*

Jakob spojrział w bok na przewrócone do góry kołami volvo i

zakrwawione poduszki powietrzne, które wystrzeliły. Prawdopodobnie to zapach prochu czarnego, którego eksplozja je napełniła, wywołał wspomnienie dymu. I dlatego film wyświetlany w chwili, gdy Jakob zbliżał się na spotkanie śmierci, zmienił się i teraz widział on Yvonne biegnącą ulicą w jego stronę.

– Zatrzymaj się, kochanie – poprosiła go Solveig. Wciąż jeszcze była mocno napalona, gdy już rozpoznali, że z jej córką jest coś nie tak.

Yvonne nie była naga, to nie to, ale nie miała na sobie żadnej bluzki. Tylko stanik, co nie było może złe przy jej twardych cyckach, ale w zasadzie było na to o wiele za zimno. Poza tym płakała.

Podczas gdy Solveig zatroszczyła się o swoją córkę („Co się stało, maleńka?”, „Czy coś się wydarzyło?”, „Zrobił ci coś?”), Jakob ruszył najkrótszą drogą w kierunku domu, którego numer przed chwilą usłyszał.

*Do domu Kurta i Jutty Berg.*

Dziwne światło migotało w salonie, a drzwi były uchylone. Śmierdziało palonym drewnem, ale gdy Jakob wszedł do sieni, nie było tam jeszcze dymu, przynajmniej w jego towarzyszącym śmierci przeżyciu. Za to w drzwiach stał Milan. Z pryszczami, z włosami o wiele dłuższymi niż dzisiaj. Najwyraźniej chciał pobiec za Yvonne – boso, w dzinsach zapiętych tylko w połowie.

– Kim jesteś? – zapytał Jakoba. – Spieprzaj – rzucił, gdy ten nie zareagował.

To była obraza, jakiej nie można było puścić płazem, dlatego Jakob uderzył Milana pięścią w twarz.

I wtedy wydarzyło się najlepsze: chłopak przewrócił się do tyłu. Nie podpierając się, nie wykonując żadnego obronnego ruchu, poleciał prosto przez otwarte drzwi do piwnicy w tym cholernie małym domku. A potem tak wspaniale zatrzęszczało, trzasnęło i skrzypnęło, po czym rozległ się głuchy łomot, gdy ciało Milana znieruchomiało u podnóża schodów do piwnicy.

Niestety ta cudowna sekwencja dźwięków nie powtórzyła się jak nagrana w pętli ani nie przeszła płynnie w inne wspomnienie. *Ani nawet w śmierć.*

Najwyraźniej ta chciała jeszcze na niego chwilę poczekać. Niestety wiatr przywrócił go do przytomności, uderzając w jego twarz jak mokra ścierka



do podłogi. I razem z nim powrócił do życia ból, który był tak nieznośny, że Jakob nie wyobrażał sobie, aby miał go znieść choćby przez sekundę dłużej. Lecz jeszcze trudniejsze do wyobrażenia było to, że miałyby żyć w więzieniu.

Lynn, „ta zachłanna suka”, pragnęła tej forsy tylko dla siebie. *Okej*, ale aby to osiągnąć, musiałyby go porządnie podziurawić. Dźgnąć go dwa albo trzy razy, a nie tylko drasnąć tak, aby był niezdolny do dalszej walki. *Cholera*.

Jeśli zostanie w samochodzie, bardzo możliwe, że go tu znajdą i poskładają do kupy, tak aby mógł trafić do więzienia.

*Za nic w świecie.*

Ta myśl przywróciła mu siły, dzięki którym poszedł w ślady Lynn i wyczołgał się z samochodu.

Ta myśl oraz widok Milana, który pochylił się nad trupem Solveig, były odpowiedzialne za cud jego zmartwychpowstania. Przynajmniej na krótki moment i w tym sensie, że zdołał rzeczywiście powstać na własne nogi, wyciągnąć z kabury na pasku pistolet i wystrzelić mu prosto w pierś, zaledwie ten obrócił się w jego stronę.

Analfabetą szarpnęło w tył. Jakby to nie kula, tylko jakaś niewidzialna pięść trafiła go, uniosła i rzuciła na plecy.

– Dlaczego? – zapytał Milan z boleśnie wykrzywionym obliczem, gdy Jakob pochylił się nad nim.

Nie pojmował swojego losu. Jakobowi zostawała przynajmniej ta satysfakcja.

– Bo nie pozwolę tak się traktować Lynn – powiedział Jakob i przyłożył Milanowi broń do czoła. – Jeśli ja nic nie dostanę, ona też nic nie dostanie.

Zobaczył błysk, zanim nacisnął spust, i to był błąd. To było niemożliwe.

Jakob spojrzał najpierw w górę, a potem do tyłu. Zrobił krok w bok i zrozumiał, że błysk nie był wynikiem wyładowania elektrycznego.

Wtedy się uśmiechnął.

Znów się zaczynało. Doświadczenie śmierci zrobiło sobie tylko krótką przerwę. Wprawdzie ból, który rozchodził się z jego brzucha, wciąż szalał w nim z tą samą mocą, ale on zobaczył już światło.

Tylko że to nie Jakob zmierzał w jego stronę. Tym razem to ono się

zbliżało.

Szybko. Bezlitośnie. Z rykiem.

Tym razem nie było odwrotu.

Tym razem rzeczywiście było ono śmiertelne.

**T**rafila Jakoba od przodu. Stał całkowicie bez ruchu, jakby miał nogi z ołowiu.

I ołowiane mankiety u rąk. Bo nie podniósł nawet ręki, aby wycelować do niej z broni, którą trzymał. Lub przynajmniej oddać strzał w kierunku opon. I dlatego bezpośrednio przed zderzeniem, w wyniku którego szyba popękała na kawałki, Andra zdążyła jeszcze przez chwilę się zastanowić, czy nie powinna przypadkiem skrócić lub zahamować. Jednak wcześniej zobaczyła, jak Jakob przykłada Milanowi broń do czoła.

*To on. Morderca. Który chce go zabić.*

Cokolwiek powstrzymało tego wariata o zakrwawionej twarzy przed natychmiastowym zrealizowaniem swego zamiaru, stało się jej jedyną szansą. Malutkim okienkiem czasowym przed ostatecznym końcem.

Zaprzepaszczenie tej szansy byłoby równe wyrokowi śmierci.

*Jeśli nie dla mnie, to z pewnością dla Milana.*

A Jakob wyświadczył jej jeszcze tę przysługę, że zrobił krok w bok, i dlatego rzeczywiście przejechała tylko mordercę, a nie swojego przyjaciela.

Kolana Jakoba zostały strzaskane na kawałki, jego korpus złamany w biodrach, jakby był lalką, a jego głowa uderzyła w przednią szybę. I podczas gdy wszystkie luźne przedmioty we wnętrzu jej mini – jej torebka, butelka po wodzie, ta przeklęta książka, za pomocą której Milan odszyfrowywał wiadomości – zostały wystrzelone do przodu, ciało Jakoba ześlizgnęło się pod koła. Z głośnym skrzypieniem samochód zatrzymał się w miejscu.

– Milan?

Andra odpięła pasy, szybko otworzyła drzwi i zaczęła raz za razem wykrzykiwać jego imię w stronę coraz silniej wiejącego wiatru. W drodze do Milana potknęła się o czyjeś nogi.

Nogi, które nie mogły należeć do Jakoba, bo ten leżał przecież pod kołami jej samochodu.

*Wielki Boże, iluż ja ludzi tu przejechałam?!*

Nogi tkwiły w spodniach do biegania i wydawały jej się w jakiś dziwny sposób znajome. Po chwili spostrzegła, że należały do Solveig. A więc i ona była martwa! Andra nie mogła się jednak przy niej zatrzymać, nie w tym momencie, gdy być może...

– MILAN?

Rzuciła się przed nim na piasek. Boso, bo w pośpiechu założyła na siebie ponownie tylko to, co absolutnie niezbędne.

– Cholera, nie rób mi tego. – Zobaczyła ranę postrzałową w jego piersi. Nie, raczej na wysokości ramienia, a w dodatku po prawej stronie, co było dobrym znakiem. Podobnie jak tętno, które wyczuła. I wargi, które się poruszyły.

– Jak...? Skąd...? – zapytał Milan. Wargi mu drżały.

*Jak się wydostałam z piwnicy? Skąd wiedziałam, gdzie cię znajdę?*

– Później. – Teraz nie był na to odpowiedni czas, aby wyjaśniać mu, że przypomniała sobie historię o zsywie na brudną bieliznę, w którym utknął jako jedenastolatek, i o tym, jak wtedy wybił sobie bark. Rura była ukryta za cienką ścianką z płyty gipsowo-kartonowej. Kurt wydłubał ujście rury na powrót spod tynku, a Andra na czas wspinaczki szybem łączącym poszczególne kondygnacje rozebrała się do bielizny, aby nie utknąć w środku tak jak wówczas Milan.

– Skąd...? – zaczął znów Milan.

– Zobaczyłam ślady roweru na śniegu przed garażem – udzieliła mu mimo wszystko odpowiedzi, gdyż zobaczyła, że Milan zaczyna odpływać. Musiała za wszelką cenę zapobiec temu, aby teraz zasnął. – Miejsce spotkania musiało być zatem w pobliżu. Byłam przy tym pewna, że morderca skierował cię do miejsca, które dużo dla ciebie znaczy. Tak jak każde z miejsc, w których byliśmy w ostatnich godzinach, było dla ciebie

istotne.

Kurt wskazał jej trzy miejsca, które były dla Milana ważne w czasach jego dzieciństwa. Jedno z nich odwiedzał na rowerze, gdy tylko to było możliwe.

– Tutaj zawsze spotykałeś się z Yvonne? – spytała łagodnie Andra.

Skinął głową i chciał się podnieść.

– Nie. Proszę cię, leż. Zadzwoiłam już na policję. Będzie tu lada moment razem z karetką pogotowia... – Andra zamilkła, bo podobnie jak Milan usłyszała jakiś krzyk.

Ostry, załamujący się. Pełen strachu przed śmiercią.

Krzyk młodej dziewczyny, który brzmiałby o wiele, wiele głośniej i byłby bardziej pełen udręki, gdyby nie dobiegał z odległości jakichś dziesięciu metrów i nie był tłumiony przez ściany przyczepy kempingowej.

**A**ndra krzyknęła na widok tego, co zobaczyła w środku przyczepy.

*Cholera, przybyliśmy za późno*, pomyślał Milan, podczas gdy jego przyjaciółka w szoku rzuciła się z powrotem do drzwi, przez które on dopiero co się przywłókł.

*Nie może tego znieść.*

Milan najchętniej uciekłby razem z nią. Był dalej stąd. Z przyczepy kempingowej. Z tego piekła.

*Krew.*

Nawet w rzeźni nie mogło być jej więcej.

Milan zobaczył ciała, nóż, włosy i krew. O wiele za dużo krwi. Jakby została wylana wiadrami na nieruchome postacie, które leżały jedna na drugiej. Zjednoczone w agonii.

– Zoe? – spytał nieśmiało. Nie chciał, aby go usłyszała. Bo gdyby krzyczał, a ona by mu nie odpowiedziała, wtedy miałby pewność, że naprawdę nie ma już żadnej nadziei. Jego podróż przez krainę szaleństwa skończyłaby się w niewyjaśnionym koszmarze.

Ale mimo że tylko szeptał, przez jedną z postaci przeszedł impuls. Przez tę, która leżała na górze. Poruszyła się, podniosła głowę, stoczyła z drugiego ciała, które bez wątplenia było już trupem. Nóż tkwił w nieporuszonej postaci, wbity aż po rękojeść w lewą część tułowia.

Mimowolnie Milan złapał się za własną ranę. Otwór od postrzału. Wymagała jak najszybszego opatrzenia, ale w tej chwili były ważniejsze rzeczy do zrobienia. W tej chwili był tu jeszcze jeden człowiek, który się

poruszał, oddychał, mrugał. I patrzył na niego.

– Zoe?

To była ona. Bez wątpienia. Mimo masy krwi. Mimo łez i śliny płynącej z ust. Mimo cierpienia, które wykrzywiało jej twarz.

Milan po jednym spojrzeniu rozpoznałby ją wśród tysięcy innych.

Wyglądała dokładnie tak samo jak na fotografii, którą odnalazł w opuszczonej willi obok starego telefonu.

*Zoe, lato nad jeziorem.*

Oczywiście była teraz starsza. Tylko dziś w ciągu kilku godzin postarzała się o wiele lat.

Z zewnątrz trzynastolatka. W środku musiała znosić cierpienie, którego wystarczyłoby na całe życie dla wielu osób.

Ale w tej udręczonej powłoce bez wątpienia wciąż tkwiła ta sama drobna blond dziewczynka z melancholijnym spojrzeniem i wyrazem oczu, na którego widok Milan natychmiast poczuł duchowy związek.

*Wspólne więzy utkane z psychicznych okrucieństw.*

Milan poczuł to już w chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wczoraj. Na tylnym siedzeniu volvo stojącego na moście Gotzowsky'ego. Nie wiedząc, co jest napisane na kartce, którą przyciskała do szyby, odczytał z jej twarzy, że jest w wielkich kłopotach. Nie przewidział wtedy jednak, że przybiorą one aż takie rozmiary, będą tak brutalne i okrutne.

– Jestem tu, jestem – powiedział, klękając obok niej. Podniósł jej ciało z podłogi i przycisnął do siebie. Ból w jego ramieniu został przyjemnie zagłuszony przez wyczuwalne bicie serca, które galopowało w piersiach dziewczynki. – Wszystko będzie dobrze. – Chętnie by uniknął tego wyświechtanego zwrotu, ale co innego miał powiedzieć? Jakie słowa były w stanie w tym momencie złagodzić cierpienie, zagłuszyć ich nędzę? Nie było takich. – Boże, co on wam takiego zrobił?

– Jakob – zapłakała dziewczynka.

Skinął głową.

Ta świnia zamordowała je wszystkie.

*Kobietę w toalecie dla niepełnosprawnych na parkingu. Solveig. A na koniec...*

– Czy to twoja mama? – spytał, patrząc na zwłoki.

Skinęła głową i zaszlochała. I skinęła. I wyryczała mu cały swój ból w ramię.

– Ja... ja...

– Ciii – starał się ją uspokoić. Równie dobrze mógł ją jednak zachęcać, aby ruszyła do tańca. – Co robisz? Co chcesz mi powiedzieć? – Milan starał się rozluźnić jej uścisk, aby zobaczyć, czy Zoe jest ranna, czy tylko powalana krwią własnej matki.

Czy też i swoją własną.

– Musiałam... nożem... – Mówiąc, doprowadzała się do hiperwentylacji. Oddychała tak, jakby właśnie ukończyła sprint. Albo maraton ucieczki przed psychopata.

– Co zrobiłaś nożem? Co chcesz mi powiedzieć, Zoe?

Dziewczynka pokręciła głową.

A następnie wypowiedziała zdanie, które zmieniło wszystko, a którego Milan w pierwszej sekundzie w ogóle nie pojął.

Którego nie był w stanie pojąć.

– Nie nazywam się Zoe – powiedziała.



Milan zamrugał. Skurczył mu się żołądek, pot wystąpił na czoło. Uznał, że przyczyną tych reakcji jest rana postrzałowa, której nie był w stanie dłużej ignorować.

– Mam na imię Lynn.

– Ale...

*Jak to w ogóle możliwe?*

Przez chwilę Milan sądził, że stoi przed nową nierozwiązywalną zagadką, lecz tym razem sam wpadł na rozwiązanie.

Fotografia! Przyjęli, że na jej odwrotnej stronie znajduje się imię dziecka. Ale po co notować coś takiego, skoro i tak każdy to może zobaczyć? Dlatego pismo wydawało się tak dziecinne. Dziewczynka zapisała na odwrocie imię osoby, która zrobiła zdjęcie: swojej mamy Zoe.

Milan oswobodził się z objęć dziewczynki i na kolanach przesunął się odrobinę w bok. W kierunku leżącego na podłodze ciała kobiety.

Złapał zwłoki za rękę. Odsunął przesiąknięte krwią włosy z twarzy, którą zakrywały jak zasłona. Podniósł welon śmierci i rozpoznał ją.

*Nie!*, pomyślał, niezdolny do głośnego krzyku, tak bardzo obezwładnił go własny smutek.

Nie widział jej przez czternaście lat, a ten czas ją odmienił. Lecz mimo martwych, szeroko otwartych oczu – zadziwionych, pytających, krzyczących, rozwartych tak samo jak jej usta – rozpoznał ją: to była Yvonne. Jego pierwsza wielka miłość. Dziewczyna, którą wolno mu było całować, głaskać i dotykać. Yvonne, która porzuciła swoje dawne imię i przyjęła nowe: Zoe. Nazwała się jak bohaterka z książki, która dostarczyła im wzorca dla miłosnego szyfru ich młodości, szyfru, z którego lata później

skorzystała, aby wołać o pomoc.

– Yvonne – powiedział i ponownie przyciągnął dziewczynkę do siebie. – Znałem twoją matkę pod innym imieniem.

– Wiem – zaszlochała Lynn. – Dużo mi o tobie opowiadała.

– Och, kochanie, Lynn, tak mi przykro – powiedział Milan całkowicie obezwładniony nagłym przyływem uczuć. Marzył o tym, aby zamknąć oczy i poddać się omdleniu, które coraz głośniej pukało do drzwi jego świadomości, ale teraz, gdy po raz pierwszy nazwał tę dziewczynkę jej własnym imieniem, słowa zaczęły wręcz z niej kipieć.

Najpierw jękając się, potem zacinając, wreszcie z niepohamowaną złością powiedziała:

– Jakob nas torturował. Obciął mojej mamie palec, potem wbił mi w kciuk zszywacz. O tu. – Podniosła zakrwawioną dłoń. – On jest zły, po prostu zły.

– Wiem.

– Dziś zadźgał moją babcię Solveig. I mamę. – Lynn chciała się wyzwolić z objęć Milana, ale jej nie puszczał. – Musiałam siedzieć koło niego z przodu. – Zapłakała. – Ukryłam tam nóż w samochodzie. Wbiłam mu go w brzuch, dlatego się przewróciliśmy. Gdy poszłam szukać mamy, znalazłam ją leżącą tutaj. Czy ona nie żyje?

Oparła się łokciem o jego pierś. Ból rany był zbyt silny i dlatego Milan musiał ją odsunąć.

– Czy mama nie żyje? – spytała ponownie, a jemu zdawało się, że serce mu pęknie. – O Boże, czy to ja? Czy to ją zabiłam, powodując wypadek?

– Nie – powiedział Milan i głęboko się zastanowił. Jego następne słowa były teraz niezmiernie ważne. Musiały brzmieć wiarygodnie i przekonująco, aby uraz, który się u niej niechybnie pojawi, nie był nie do przewyciężenia.

Potrzebowała nadziei. A także pewności, że jest ktoś, kto jej wierzy. Że nie jest temu winna.

– Nie, Lynn – powiedział, słysząc już zbliżające się syreny. Kawalkadę pojazdów służb ratunkowych, które przybywały za późno. Było już po bitwie. – Zrobiłaś wszystko dobrze.

Czerwono-niebieskie światła błyskowe przeszywały kemping i wdzierały się przez brudne okna przyczepy. Zrobiło się jaśniej, gdy drzwi za nimi

zostały nagle otwarte.

– Twoja matka została zamordowana przez Jakoba – zdołał jeszcze powiedzieć Milan, zanim ktoś położył mu rękę na ramieniu. – Była już martwa, gdy znalazłaś ją tu w tej przyczepie kempingowej.

– Nie ponosisz żadnej winy – zdołał jeszcze powiedzieć, zanim stracił przytomność.

### Lynn, 3 godziny później

**P**olicjantka z kręconymi włosami, która weszła do gabinetu zabiegowego, przekroczyła jego próg w chmurze świeżego dymu tytoniowego i wilgotnego powietrza.

– Bardzo przepraszam, że ci się naprzykrzam, Lynn – powiedziała, przedstawiając się uprzednio dwoma imionami, z których drugie chyba było jej nazwiskiem. Annegret Franke, funkcjonariuszka śledcza z wydziału zabójstw.

Jak dotąd wszyscy obchodzili się z Lynn jak z jajkiem. Od ślicznego sanitariusza, który towarzyszył jej w drodze z karetki pogotowia do izby przyjęć szpitala, aż do lekarki z wyraźną nadwagą i przepalonym głosem, która opatrzyła jej kciuk i zaprowadziła ją pod prysznic, aby tam zmyła z siebie krew. Także lokowato-tytoniowa Annegret wyraźnie się starała rozpocząć przesłuchanie tak ostrożnie, jak to tylko możliwe.

– To nie będzie długo trwało. Potem będziesz mogła w końcu pójść spać.

Najwyraźniej policjantka sama poczuła, że dym dopiero co wypalonego papierosa wniknął w jej kurtkę i we włosy. Uchyliła więc okno, przez które Lynn jeszcze ani razu nie popatrzyła. Na dworze było już ciemno, a ją samą zbytnio zajmowały własne myśli. Pozytywne myśli, które napełniały ją szczęściem.

– Czy mogę? – Pani komisarz przysunęła sobie krzesło, ale stwierdziła, że był to zły pomysł. Lynn siedziała na stole do badań, mając w powietrzu nogami, ubrana tylko w koszulę nocną, więc gdyby Annegret usiadła przy niej, patrzyłaby w jej kolana, a nie w oczy. Tak więc

policjantka przewiesiła przez oparcie kurtkę i stanęła obok. Z pełną empatii miną zaczęła ostrożnie formułować swoje w zasadzie całkowicie żałosne pytania.

– Jak się czujesz?

*Hm, zastanówmy się chwilę. Oficjalnie dopiero co straciłam moją matkę Zoe i moją babkę Solveig, zaszlachtowane przez mojego psychopatycznego dziadka Jakoba. Co zatem twoim zdaniem powinnam odpowiedzieć?*

– Czy możemy do kogoś zadzwonić?

*Jasne, to wolny kraj. Dzwońcie sobie, do kogo chcecie.*

– Czy masz jakichś krewnych, których możemy zawiadomić?

*O tak, jest ktoś, ale jeśli zdradziłabym wam jego imię, równie dobrze mogłabym się od razu przyznać, że to ja zabiłam moją matkę, a nie Jakob.*

Lynn zachowała oczywiście wszystkie te odpowiedzi dla siebie – poza ostatnią kwestią.

– Czy wiesz, gdzie możemy znaleźć twojego ojca?

W tym momencie nie mogła się powstrzymać. Ze smutkiem wyszeptała:

– Wydaje mi się, że tam, gdzie są zabierane zwłoki.

Oczy pani komisarz powiększyły się ze zdumienia. Jednocześnie odruchowo złapała się za jeden z loków nad lewym uchem. *Wyglądałaby ślicznie, pomyślała Lynn, gdyby nie psuła sobie zębów i cery ciężłym paleniem.* Praca i stres nie mogły się jednak aż tak szybko odbić na jej ziemistej skórze. Lynn mogłaby się założyć o wszystko, że Annegret nigdy jeszcze nie przeżyła w swej karierze policjantki na wyspie nic tak wyniszczającego psychicznie jak ten przypadek.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że...?

– Jakob Ende to mój ojciec. Właśnie. Moja matka... – Lynn musiała przerwać w połowie zdania, aby się nie zdradzić nagłym chichotem.

Policjantka wzięła chyba jednak jej drgającą dolną wargę i rozedrgany głos za oznakę nadchodzących spazmów i złapała ją uspokajająco za rękę.

– Mama mi wszystko opowiedziała – ciągnęła Lynn. – Jakob ją wówczas zgwałcił. A rezultat tego siedzi przed panią. – Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się krzywo. Zimne powietrze wpadało przez uchylone do połowy okno, co było o tyle dobre, że Lynn zatrzęsała się z zimna. Doskonale pasowało to do jej opowieści. – Gwałt w wykonaniu Jakoba i to,

co się później wydarzyło, to znaczy, że musiała z nim żyć pod jednym dachem, całkowicie ją wykończyły. W pewnej chwili mama zwariowała, tak mi przynajmniej opowiadała babcia Solveig. Pewnego pięknego dnia z jakiegoś tam powodu nie chciała już, aby nazywano ją Yvonne. Od tej chwili chciała być Zoe. Myślę, że jest to określane jako ucieczka od rzeczywistości – dodała nieco przemądrzale.

Policjantka odetchnęła głęboko, napełniając powietrze zapachem tytoniu. Potem przeprosiła i opuściła pomieszczenie.

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, Lynn zaczęła chichotać, a potem ugryzła się w kłęb kciuka, aby nie krzyknąć głośno z radości.

Wręcz niewiarygodne, jak dobrze przebiegała realizacja jej planu. Od momentu, w którym w Berlinie przyciskała kartkę do bocznej szyby volvo, aż do chwili, gdy Milan jej powiedział, że nie ponosi żadnej winy. Okej, raz mało nie przedobrzyła w swych gierkach, a tym samym prawie wszystko schrzaniła. To było w motelu przy autostradzie, gdy zadzwoniła z łazienki do Milana i udawała przed nim porwaną dziewczynkę. Tym samym jednak rozzłościła Jakoba aż do czerwoności, *ale czy ten idiota musiał ją podsłuchiwać po kryjomu?* Jak to się trafnie mówi: zazdrość jest namiętnością, która z zapalem szuka tego, co sprawia cierpienie<sup>12</sup>. Sam sobie był winien, *dureń jeden*.

W sumie jednak Lynn mogła być zadowolona z siebie, bo osiągnęła wszystko to, co zamierzała.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła lokowato-tytoniowa pani komisarz. Razem z doktor Paulsen, która przedtem opatrywała Lynn, lekarką w typie mamuśki ze zbyt obszernymi biodrami i z fałdami na podwójnym podbródku. Obie zwróciły się do niej z zakłopotanymi uśmiechami, które przybierają osoby odpowiedzialne za opiekę nad kimś, gdy próbują przekonać swojego podopiecznego do czegoś, co ma służyć jego dobru, ale może mu się nie spodobać.

– Czy zgodziłabyś się na test na ojcostwo? – spytała pani komisarz.

– Czemu nie – odparła Lynn, która znów musiała powstrzymać uśmiech.

Watka w ustach. Wymaz był szybki i całkowicie bezbolesny. *Szkoda*.

Także pod tym względem Lynn chyba różniła się od innych, bo nie robiło to na niej wrażenia, jeśli żuła papier, watę lub nawet wełnę. Podobało jej się

nawet, gdy u laryngologa musiała wysuwać język, a on wywoływał u niej odruch wymiotny swą szpatułką. Najbardziej by jej pasowało, gdyby doktor Paulsen dla pobrania próbki śliny pogrzebała jej wacikiem głęboko w gardle.

– Minie kilka tygodni, zanim będziemy mieli wyniki testu – powiedziała lekarka i posortowała waciki w stojaku.

Lynn wzruszyła ramionami.

– Co teraz będzie ze mną? – spytała tylko dlatego, że sądziła, iż takiego pytania spodziewano się po sierocie.

Obie kobiety, zarówno lekarka, jak i policjantka, spojrzały na nią ze smutkiem i Lynn ponownie musiała oprzeć się pokusie, by roześmiać się im głośno w twarz. Tak bardzo chciałyby zobaczyć ich reakcje. To przerażone niezrozumienie, które pojawiło się także w oczach Jakoba, gdy wbiła mu nóż w brzuch.

– Ach, moja maleńka – westchnęła doktor Paulsen i pogłaskała ją po włosach. – Nie mogę sobie wprost wyobrazić, przez co musiałaś przejść.

*Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.*

– A ja obawiam się, że jeszcze nie jest po wszystkim – dodała policjantka.

*Mam taką nadzieję.*

– Prawdopodobnie na razie zajmie się tobą urząd do spraw młodzieży. Już ich poinformowaliśmy.

Lynn skinęła głową. Pozornie była całkowicie zdruzgotana, wewnątrz rozsadzała ją z radości.

Nawet teraz wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Nie mogła się wprost doczekać, aż doprowadzi go do końca. *A do tego tak niewiele już brakuje* – pomyślała, podczas gdy doktor Paulsen jeszcze raz pogładziła ją po włosach.

*Tak niewiele.*

Musiał umrzeć jeszcze tylko jeden człowiek.

**Milan, 32 godziny później**

**A**le czym jest siła, która spaja od środka świat?

W swoim śnie Milan leżał z wgniecioną czaszką u podnóża schodów prowadzących do piwnicy i znów miał czternaście lat.

Pochyliła się nad nim jakaś postać z książką w ręce, która wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą zwędził z biblioteki szkolnej.

Tak jak bardzo często w jego snach na widok szarego tomu Milana ogarnął wielki strach. Bo tu i teraz, w stanie nieprzytomności było możliwe coś, czego jego mózg normalnie nie był w stanie zrobić. Umiał czytać.

Przypomniał sobie końcowe zdanie z tyłu okładki, które jego ojciec, być może nieświadomie, zacytował podczas ich ostatniej rozmowy: „Niewiedza jest czasami największym prezentem na ziemi”. O to właśnie chodziło w tej książce. Dlatego dzieci opracowały swój tajny język. Aby wszyscy inni pozostawali w nieświadomości i tylko one mogły dzielić się tajemnicami, które je łączyły.

Historia kończyła się smutno. Ostatnią tajemnicą, której Zoe dowiedziała się od swojego najlepszego przyjaciela, okazało się to, że był on śmiertelnie chory i że pewnie od niej odejdzie. I nagle przestało im chodzić o niepewność innych. Na końcu Zoe sama życzyłaby sobie prezentu w postaci niepewności.

*Milan?*

Kobieta (postać bez wątpienia była żeńska) otworzyła książkę i przytrzymała mu ją tuż przed nosem. „Faust, tragedii część pierwsza”, przeczytał Milan na głos. Słyszał przy tym brzmienie własnego głosu, ostre



i spiczaste jak okruchy szkła, które wbijały się w jego rozum. „Zoe nie miała ochoty na lekcję niemieckiego i tak banalnie proste pytania, jak to, co spaja od środka świat. »To zło«, mogłaby odpowiedzieć Goethemu, gdyby miała ku temu okazję. »Oraz nasza walka z nim, która nas jednoczy«”.

– Yvonne? – spytał Milan, bo postać kobiety przybrała znane mu kontury. Podobnie jak on sam jego przyjaciółka ponownie była nastolatką. Uśmiechnęła się, kręcąc głową.

– Nazywam się Zoe – powiedziała, zamykając książkę z głuchym trzaskiem, który odbił się grzmiotem piorunów. Huk zaczął narastać jak lawina, robił się coraz to głośniejszy, a drgania wstrząsnęły ciałem Milana, szarpały nim i rzucały, aż jego głowa i rana postrzałowa krzyknęły z bólu – tak głośno jak sam Milan, który ocknął się przebudzony własnym rykiem.

– Panie Berg?

Otworzył oczy, cały zlany potem. Ponad nim unosiła się nieznana mu twarz. Zniknęła z jego pola widzenia i Milan musiał przymknąć oczy, ponieważ patrzył teraz prosto w lampę, którą jeszcze przed chwilą zasłaniała głowa jego gościa.

– Gdzie ja jestem? – Poczul, że leży na łóżku, a pod kołdrą ma na sobie tylko koszulę nocną. Nawet najmniejszy ruch wywoływał takie odczucie, jakby ktoś odrywał mu bandaż z klatki piersiowej i polewał ranę kwasem.

– W klinice Sana. Był pan operowany. Wszystko się udało.

– Jest pan lekarzem? – spytał z niedowierzaniem Milan, ponieważ wysoki mężczyzna z siwymi, lekko falującymi włosami miał na sobie drogi, szyty na miarę garnitur. Spinki jego mankietów, z pewnością z platyny, a nie z podłego srebra, błyszcząły jak świeżo wypolerowane. Roztaczał drzewny zapach płynu po goleniu i tylko zmarszczki na jego czole sprawiały, że mimo paznokci prosto po wizycie u manikiurzystki nie wyglądał jak jakiś wydelikacyony goguś. Obraz postaci uzupełniały niemal depresyjne cienie pod oczami.

– Nazywam się Robert Stern. Jestem obrońcą.

– Nie prosiłem o żadnego.

W dodatku sądząc po tym, jak ten gość wyglądał, z pewnością nie mógł sobie na niego pozwolić.

– Zatrudnił mnie pański pracodawca. Harald Lampert.

*Hulk.*

Milan zamknął oczy i się zamyślił.

Pomyślał o odciskach swoich palców na zwłokach kobiety ukrytych w bagażniku jej samochodu stojącego w Lesie Brandenburskim. O świadkach, którzy mogli go zobaczyć u Solveig, nim została zamordowana. O Andrze, która prawdopodobnie mogłaby być najlepszym świadkiem obrony, gdyby jej nie związał, nie groził jej i nie zamknął razem ze swoim ojcem w piwnicy. O krwi na swoim ubraniu. Oraz oczywiście o Jakobie, który do niego strzelił.

– Jak głęboko tkwię w tym szambie? – zapytał adwokata.

– Nie na tyle, żebym nie mógł pana z tego wyciągnąć. Miałem już dużo trudniejszych klientów.

*Chwileczkę*, pomyślał Milan. Przycisnął podbródek do klatki piersiowej – jedyny ruch, który był choć trochę znośny – i upewnił się, że rzeczywiście znajduje się w pokoju jednoosobowym. Spojrzenie za okno nie przyniosło nowych rozstrzygnięć. Szyba była ciemna jak wyłączony telewizor. O tej porze roku mogły to być wczesny ranek, późne popołudnie lub głęboka noc.

– Proszę posłuchać, sam tego wszystkiego jeszcze nie rozumiem – powiedział Milan. – Może byłoby lepiej, gdyby udzielił mi pan najpierw kilku odpowiedzi, zanim przedstawię moją wersję.

– Co chciałby pan wiedzieć? – Adwokat przysunął sobie krzesło i otworzył skórzaną aktówkę.

– Zacznijmy od najważniejszego pytania: Kim jest Jakob? – *Kim jest ten sadysta, który uczynił sobie ze mnie zabawkę dla swej perwersji?* – Pierwszy raz zobaczyłem tego człowieka, gdy nagle przede mną stanął i do mnie strzelił.

Stern wyciągnął z aktówki brązową papierową teczkę, rzucił do środka okiem, po czym zreferował zawartość bez czytania.

– Jakob Ende w wieku siedemnastu lat po śmierci swojej matki przeprowadził się z Berlina na Rugię. Zrobił to na krótko, zanim pan postąpił tak samo, ale w przeciwną stronę, i opuścił wyspę. Po pożarze jego ojciec Frank-Eberhardt Ende kupił i odrestaurował dom pańskich rodziców. W ten sposób doszło do pierwszego powiązania między wami. Kapitał własny potrzebny na zakup i remont pochodził z ubezpieczenia na życie

jego zmarłej żony.

– Istnieją jeszcze jakieś inne powiązania?

– Jakob Ende przed dwunastu laty ożenił się z Solveig Schlüter, co stało się podłożem licznych plotek. Powtarzano je dlatego, że Solveig w tym celu rozwiodła się ze swoim mężem, który był w okolicy bardzo lubiany, ale szerzyły się one głównie ze względu na dużą różnicę wieku. Jakob przez całe swoje życie nie miał stałej pracy. Żył z dnia na dzień. Alkohol i narkotyki doprowadziły do tego, że cała rodzina się stoczyła. Solveig porzuciła pracę na pół etatu w supermarkecie, aby jako gospodyni domowa i matka zająć się swoją ciężarną córką Zoe, która jest wszak panu znana.

– Nazywała się Yvonne – szepnął niemalże do siebie Milan.

– Zgodnie ze świadectwem urodzenia tak. Ale nikt jej już tak nie nazywał. Rzekomo po urodzeniu swojej córki Lynn sama obstawała przy tym, aby mówiono do niej Zoe. Gdy miała piętnaście lat, została przyłapana na kradzieży pieluch. Nawiasem mówiąc, została wtedy odnotowana po raz pierwszy i ostatni. Przesłuchiwana podała wtedy do protokołu, że tylko prawdziwy ojciec jej córki mógłby zrozumieć przyczynę, dla której zmieniła nagle imię na Zoe.

*Zoe, bohaterka książki ze szkolnej biblioteki. W języku starogreckim: „Prosty fakt życia, wspólny wszystkim istotom żywym”.*

Stern musiał zajrzeć do akt, aby odświeżyć sobie wiadomości.

– Najpierw przez pewien czas mieszkali w Sassnitz, ale po rozwodzie z mężem Solveig musiała się wyprowadzić. Degradacja społeczna doprowadziła ich w końcu do życia na kempingu. Jakob, Solveig, jej córka Yvonne alias Zoe i córka tej ostatniej Lynn. Odosobnienie od otoczenia nie było tajemnicą dla urzędu do spraw młodzieży, ale najwyraźniej nie było aż tak źle, aby przekazać dziecko pod czyjąś opiekę.

Gdzieś na korytarzu zapiszczały kółka jakiegoś urządzenia, które było przetaczane z jednego pomieszczenia do drugiego. Być może był to respirator, przenośny elektrokardiograf lub tylko wózek z jedzeniem.

– Wygląda na to, że Jakob z czasem ostatecznie zszedł na złą drogę – ciągnął Stern. – Znam jednego ze śledczych z policji, który zdradził mi po cichu aktualny stan dochodzenia.

– I jaki on jest?

Kolejne spojrzenie do akt.

– Jakob Ende zmusił Zoe i Lynn do współudziału w swym planie wymuszenia od pana szantażem, panie Berg, absurdalnie wysokiej sumy pieniędzy. Aby zmusić pana do współpracy, musiał pokazać, że traktuje sprawę poważnie. Zaczął torturować na zmianę swoje zakładniczki. Zoe amputował palec. Lynn i Zoe wstrzelił zszywkę pod paznokieć kciuka.

Milan zacisnął z wściekłości zęby. Już raz musiał się temu przysłuchiwać.

– Odcięty palec ukrył dla pana na terenie parkingu, gdzie musiał się pozbyć przypadkowego świadka. Plan zwabienia pana na Rugię się powiódł, katastrofa nastąpiła dopiero w ostatnim momencie, tuż przed przekazaniem pieniędzy. Gdy Jakob chciał się pozbyć swoich ofiar, doszło do walki pomiędzy Lynn i jej ojczymem. Dziewczynce udało się zadać mu wprawdzie bolesną, ale nie śmiertelną ranę. Sprawca stracił kontrolę nad kierownicą. Ostatkiem sił dziewczynka poczołgała się do swej matki leżącej w przyczepie kempingowej, jednak jej obrażenia były zbyt ciężkie. Umarła na rękach córki.

Milan zwinął prawą dłoń w pięść.

– Mała musiała przejść przez prawdziwe piekło – powiedział, jednocześnie z wściekłością i smutkiem w głosie.

– To prawda. Wśród wielu pytań szczegółowych, które śledczy zadadzą panu już niedługo, jedno wybija się na pierwszy plan.

– A mianowicie?

– Czy ma pan pojęcie, dlaczego Jakob Ende zwrócił się właśnie do pana?

*Tak. Mam. Niestety.*

– Solveig myślała, że jestem ojcem Lynn – odparł Milan.

Stern zachował twarz pokerzysty.

– Nie tylko Solveig. Moja kancelaria zatrudnia prywatnych detektywów, panie Berg. Czas, w którym pan tu leżał, wykorzystaliśmy, aby się trochę popytać. W sąsiedztwie wciąż mieszkają ludzie, którzy przypominają sobie tamten pożar. Na przykład pański dawny kolega szkolny Martin Spokowski.

*Ślina, o tak,* pomyślał sarkastycznie Milan. *Po nocy, którą spędziłem w Stubbenkrugu, będzie on z pewnością moim najlepszym świadkiem obrony.*

– Jego zdaniem krążyły plotki, jakoby Yvonne, a więc Zoe, twierdziła, że

to pan zgwałcił ją w dniu pożaru.

Milan spróbował podnieść się na łokciu. Fala bólu, która przetoczyła się przez jego ciało, niezbyt poprawiła mu nastrój.

– Nie wierzę w to. Czy są na to jakieś oficjalne dokumenty? To znaczy, czy Yvonne poszła wtedy na policję?

– Nie. I nie było żadnego dochodzenia. Przeciwnie niż w przypadku pożaru. Tutaj służby poszły tropem anonimowego doniesienia, że to prawdopodobnie pan może być odpowiedzialny za pożar, a tym samym za śmierć pańskiej matki. Śledztwo pozwoliło jednak tylko bez wątpienia wykazać, że pożar zaczął się od bluzy. Przez kogo, ewentualnie czy celowo została ona wrzucona do kominka, przy tym w ten sposób, że jeden rękaw znalazł się poza paleniskiem, tego już nie udało się wyjaśnić.

*Nic dziwnego.*

– To był nieszczęśliwy wypadek – stwierdził Milan. – Nie ponoszę żadnej winy za śmierć swojej matki. A już z pewnością nie jestem ojcem tego dziecka.

– Bardzo dobrze. – Stern schował akta do walizki i wstał.

– Co w tym wszystkim jest „bardzo dobrze”?

– Że ta część pańskich zeznań pokrywa się ze słowami profesora Karsova.

– Karsov? – Zmieszany Milan spostrzegł, że Stern chciał już opuścić jego pokój. – Co ten szalony facet zeznał?

Stern podszedł do drzwi, otworzył je i skinął do kogoś stojącego na korytarzu.

– Proszę wejść – odezwał się, po czym odwrócił się z powrotem do Milana. – Profesor Karsov prosił mnie o to, aby wolno mu było opowiedzieć o tym panu osobiście.

## 70

**S**tarszy mężczyzna musiał zostać popchnięty przez Sterna. Wyglądał bardzo krucho. Aż dziw, że lekarze pozwolili mu opuścić swój pokój.

Ale zanim gość wypowiedział choć jedno słowo, Milan uświadomił sobie, że słabość Karsova nie wypływała tylko z dopiero co podjętej próby samobójczej. Coś zjadało go od środka. Robak o imieniu wina, który pochłaniał wszystko, co niegdyś obdarzało tego mężczyznę energią i siłą woli.

I dlatego pierwszym zdaniem, które profesor wygłosił, zanim usiadł na krześle dla gości obok łóżka, było:

– Przepraszam.

Stern zachował dystans i oparł się o drzwi do toalety.

– Czego pan tu, do diabła, szuka? – wyrwało się Milanowi.

– Popelnilem błąd. Przepraszam. Strasznie mi przykro.

– Okaleczyliście mnie. – Milan ze zdziwieniem zauważył, że wcale nie był aż tak wściekły, jak to było słyhać w jego głosie. Tylko wyczerpany i zmęczony.

– Tak. Byłem oślepiiony, otumaniony przez własne teorie.

Taki był właśnie problem wszystkich ludzi, pomyślał Milan. Nie mieli pojęcia, dlaczego w ogóle pojawili się na tym świecie, ale zgadzali się w jednym, że życie musi mieć sens. I aby obronić to, miejmy nadzieję, sensowne życie, niszczyli życie innych. Nawet nie złośliwie, ale mimo to planowo. Gdyż droga do piekła nie była wybrukowana samymi tylko dobrymi chęciami, lecz także czynami tych, którzy w zaślepieniu wcielali swe plany w życie, a tym samym w dobrej wierze wywoływali cierpienie.

– Naprawdę myślałem, że jest pan właściwym kandydatem.

*Dręczenie zwierząt.*

*Podpalanie.*

*Moczenie się do łóżka.*

– Wówczas dodałem dwa do dwóch i wyszło mi pięć. – Karsov odetchnął, jednak sweter, który założył na koszulę, nawet się nie poruszył. Był dla niego o kilka numerów za duży. Jak życie, do którego już nie pasował. – Wiem, że to było nieetyczne. I że nic nigdy nie usprawiedliwi moich czynów. To, że spotęgowałem krwawienie w mózgu, jest... – Nie mógł znaleźć słów, więc zaczął od początku: – Naprawdę sądziłem, że panu pomagam, panie Berg. Że zaburzenie, które wywołuję, skompensuje to drugie. Chciałem zapobiec złemu i zrobiłem coś jeszcze gorszego.

*Minus i minus nie dał tym razem plusa.*

– Dlaczego zmienił pan zdanie na mój temat? – spytał Milan.

*W przeciwieństwie do mojego ojca.*

Odezwała się komórka Sterna, który przełączył ją natychmiast na tryb cichy i zignorował połączenie.

Karsov mówił dalej:

– Na początku sierpnia przysłała do mnie, do mojego gabinetu Zoe. Cierpiała na zawroty głowy i zaburzenia równowagi, nic dramatycznego. Teraz myślę, że to był tylko pretekst.

– Do czego?

– Pojęła w tamtym czasie, że Jakob ma zamiar wykorzystać rzekomy gwałt na niej, aby zdobyć dla siebie pieniądze. Powiedziała mi, że on chce wystąpić z pozwem o koszty utrzymania. A jeśli to nie poskutkuje, znajdzie jakiś inny sposób. Stało się to dla niej bodźcem, aby wreszcie uporządkować sprawę. Mam wrażenie, że przez wszystkie te lata nie była w stanie pana zapomnieć, panie Berg.

*No pewno, pomyślał gorzko Milan. Widok jej córki Lynn każdego dnia na nowo przypominał jej o kłamstwie.*

– Ta wina ciążyła jej wtedy tak jak dzisiaj mnie. Powiedziała mi coś, co przez wszystkie te lata chyba przypuszczałem, ale wypierałem ze świadomości. Wyznała mi, że wówczas kłamała. Yvonne, bo tak brzmi jej prawdziwe imię, ten gwałt tylko sobie wymyśliła. – Karsov oblizał zeschnięte, popękane wargi. – Było to dla mnie jak grom z jasnego nieba.

Przecież poza wszystkimi innymi oznakami jej twierdzenie, że wbrew własnej woli zaszła z panem w ciążę, stało się bodźcem, który kazał mi wtedy działać. Powiedziała mi to wcześniej osobiście, a teraz się dowiedziałem, że to wszystko było wymyślone.

Milan musiał pokręcić głową w prawo i w lewo, aby złagodzić nieco napięcie mięśni karku, ale jednocześnie ból pod opatrunkiem wybuchł na nowo.

– Dlaczego Yvonne wtedy kłamała? – spytał. Zawsze myślał, że z powodu kłótni ostatniego wieczoru dziewczyna nie chciała już mieć z nim nic więcej wspólnego. Ale przecież ta kłótnia nie była tak gwałtowna, żeby z tego powodu Yvonne oczerniała go przed całą wyspą?

W kąci oka Karsova pojawiła się łza.

– Nie tylko mnie okłamała. Także pańskiego ojca, swoją matkę. Wszystkich. Jej miłość do pana przemieniła się we wściekłość. Była impulsywna i uparta. Powiedziała mi, że się wtedy pokłóciliście, bo pan myślał, że Yvonne się z pana naśmiewa. A ona wcale nie miała tego na myśli. Była wściekła sama na siebie, że popsuła tę romantyczną sytuację swym niedorzecznym śmiechem, i w porywie gniewu wybiegła z domu.

– Wrzucając po drodze bluzę do kominka – powiedział Milan. Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

Karsov skinął głową.

– Chyba się bała, że to wyjdzie na jaw. W gruncie rzeczy była przecież winna śmierci pańskiej matki.

– I aby nie udowodniono jej winy, wołała zrzucić ją na mnie?

Profesor wzruszył ramionami.

– Została do tego przymuszona. Gdy nie pojawiła się miesięczka, jej matka Solveig zmusiła ją, aby zważyła „hańbę”, jak sama to nazywała, na pana. Z pewnością nie stało się to z własnej woli Yvonne. Kochała pana. Miłość przerodziła się w zwątpienie. Najpierw w siebie, a potem w pana, bo pan wyjechał.

*Z Rugii do Berlina.*

– Z perspektywy czasu widzę, że powinienem wtedy rozpoznać objawy. Po pańskim odejściu oddała się z całym poświęceniem swoim najbliższemu. Yvonne zawsze wychodziła z założenia, że to ona ponosi winę. Nie tylko za



kłótnię z panem, ale przede wszystkim za śmierć pańskiej matki. Bo bez kłótni do tego by nie doszło. – Dolna warga Karsova drgała. Nie tyle szukał słów, ile starał się uspokoić.

Podobnie jak Milan.

– Cięża nasiliła jej depresję i dlatego poddała się naciskowi matki. Przypuszczam, że zrobiła to, aby ukarać samą siebie.

Milan zamrugał.

– Nie rozumiem.

– Zamknęła sobie w ten sposób możliwość powrotu do pana. A mimo to poprzez kłamstwo zachowała tę więź.

Milan zawsze traktował śmierć swojej matki i opuszczenie potem Rugii jako ważną cezurę w swoim życiu. Zawsze był świadomy, że wraz z Yvonne i swoim dzieciństwem pozostawił tam coś bardzo ważnego. Nigdy jednak nie przypuszczał, że była to jego własna tożsamość.

Zwinął dłonie w pięści. Czuł, jak męczący brak wiary we własne siły szuka jakiegoś ujścia. I znalazł je w gniewie na Karsova.

– O co chodziło z tymi pigułkami w Berlinie? – zapytał lekarza, który akurat oglądał się na Sterna. Najwyraźniej uznał rozmowę za zakończoną.

– Powinien był pan je zażywać – stwierdził Karsov nieco pewniejszym tonem. Teraz, gdy rozmowa zeszała na tematy medyczne, stąpał po pewniejszym dla siebie gruncie. – Naprawdę. Badania nad komórkami macierzystymi, które pierwotnie odnosiły się do leczenia osób z porażeniem połowicznym, wykazały, że odpowiednia kombinacja białek potrafi doprowadzić do odbudowy zniszczonej tkanki mózgowej. Miałem nadzieję, że także w pańskim przypadku ponownie aktywowane zostaną uszkodzone obszary mózgu.

*Jeśli będzie pan zażywać te tabletki, panie Berg, być może znów będzie pan umiał czytać.*

– To było żdźbło, którego się uchwyciłem. Poza zadośćuczynieniem finansowym, które chciałem, aby przypadło w udziale panu i pańskiemu ojcu, szukałem też innych sposobów na naprawienie popełnionego przeze mnie błędu medycznego.

*Białka?* Milan niemal wybuchnął śmiechem. *Zadośćuczynienie, naprawienie szkody*, kolejna ze sztuczek, którą wymyślili sobie ludzie, aby

nie stracić rozumu. Nie było możliwości odkręcenia popełnionych błędów. Nigdy. Człowiek nie może zostać odgwałcony, odraniony lub odzabity.

– Czuję się nieco słabo. Chciałbym już wrócić do siebie – powiedział Karsov i podniósł się z miejsca.

Ale zadając pytanie:

– Co Andra ma z tym wszystkim wspólnego? – Milan sprawił, że profesor ponownie opadł na krzesło.

– Ta dziewczyna to prawdziwy dar Boży – odpowiedział, niemal uśmiechając się przy tym.

– Bo potajemnie faszerowała mnie pigułkami?

– Z tego co słyszałem, to uratowała panu życie na plaży – sprzeciwił się Karsov i dodał cicho: – Mnie w pewnym sensie też.

– Co pan ma na myśli?

– Odstawiłem środki antydepresyjne. Po tym, jak ani pański ojciec, ani pan nie chcieliście zaakceptować mojej próby naprawienia szkody, nie widziałem żadnego sensu w tym, aby dalej to ciągnąć. – Karsov spojrzął na swoje dłonie, jakby dopiero teraz zauważył, że mu wyrosły. Nieco drżącym ruchem ręki przeczesał włosy, ponownie oblizał wargi i kontynuował: – Pańska przyjaciółka odwiedziła mnie w szpitalu. Chciała się ponownie upewnić, że naprawdę jestem przekonany co do pańskiej niewinności. Wsunęła mi wtedy do ust citalopram. Zostawiła też dla lekarzy pudełko z lekarstwem oraz kartkę z informacją, że zażywam je od lat i że nie powinienem go odstawić. – Złożył usta w dzióbek, jakby za chwilę miał zacząć gwizdać, ale po drgnieniu kącika jego oka Milan poznał, że tak naprawdę profesor napina mięśnie twarzy, aby powstrzymać zbierające się łzy.

– Skąd się znacie? I to tak dobrze, że ona orientuje się, jakie lekarstwa pan zażywa?

– Och, spotkaliśmy się raz. – Karsov machnął ręką. – Ona świetnie potrafi słuchać. Mogłaby być wybitnym psychologiem. Zwierzyłem się jej z wielu rzeczy, których zwykle nie mówi się poznanym dopiero co, obcym ludziom, ale tak było mi dobrze z nią rozmawiać.

– Ale jak się poznaliście?

– Przykro mi. – Uśmiechnął się słabo. – Nie mogę tego panu powiedzieć.

Nie wolno mi. Obiecałem to Andrzejowi i nie chcę po raz kolejny nadużywać czyjegoś zaufania. Konto moich błędów i tak jest pod tym względem przepełnione. – Podniósł się i choć istniały jeszcze miliony pytań, Milan przyglądał się tylko bez słowa, jak starszy mężczyzna opuszcza o lasce jego pokój.

– No i co? Co teraz będzie? – zapytał adwokata, gdy tylko za profesorem zamknęły się drzwi.

Stern podszedł do jego łóżka.

– Teraz Karsov będzie musiał złożyć zeznanie i odpowiedzieć karnie za ciężkie i niebezpieczne naruszenie ciała.

– Miałem na myśli mnie.

– Damy panu jeszcze jeden dzień, potem zostanie pan przesłuchany przez policję. Dłużej tego się nie da odwlec, panie Berg. – Położył na jego stoliku nocnym wizytówkę pokrytą wyszukany drukiem w kolorze srebra i wyjaśnił Milanowi, że jego biuro jest dla niego dostępne o każdej porze dnia i nocy.

– Ach, i jeszcze jedno – powiedział, trzymając już rękę na klamce od drzwi. – W celu porównania ze zwłok Jakoba została pobrana próbka DNA. Czy miałby pan coś przeciwko udostępnieniu policji próbki także swojej śliny? Tak abyśmy mieli całkowitą pewność, kto jest ojcem Lynn.

# 71

## Sześć tygodni później, 22 grudnia

Słońce świeciło tego pięknego zimowego poranka przez duże okna starego budynku położonego w dzielnicy Moabit i napełniało cały gabinet ciepłym, jasnym światłem.

I choć sprawiało ono, że wszystkie przedmioty znajdujące się w pomieszczeniu zaczynały błyszczeć – czerwone fotele, na których siedzieli Milan z Andrą, rzeźba kobiety z brązu stojąca obok drzwi, skórzane oprawy różnych fachowych podręczników na regale – w przypadku Henriette Rosenfels miało ono całkowicie odmienne działanie. Terapeutka par była biała jak ściana. Z pełną niedowierzania miną przysłuchiwała się już od ponad pół godziny wynurzeniom tych chyba najbardziej osobliwych pacjentów, jacy kiedykolwiek nawiedzili jej gabinet. Podobnie jak podczas pierwszego spotkania nie udało jej się zachować profesjonalnego, nieporuszonego wyrazu twarzy.

– Może spróbuję to podsumować – odezwała się po wysłuchaniu długiego monologu Milana. – Pan jest analfabeta, co przez całe lata ukrywał pan przed swoją przyjaciółką. Podobnie jak pani – jej wzrok powędrował ku Andrze – przemilczała, że jest członkinią organizacji, która nazywa się... przepraszam, jak?

– Anioły Winy – odpowiedziała Andra. – Próbujemy doprowadzić do wyrównania win.

Milan uśmiechnął się. Gdy Andra mu to wyjaśniała, sam musiał wyglądać na podobnie zmieszanego jak teraz terapeutka par.

Było to pięć i pół tygodnia temu. Spotkali się w kawiarni na

Ludwigkirchplatz, aby tam móc bez przeszkód porozmawiać. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, a potem – jej kawa była już całkiem zimna, piana w jego latte macchiato całkiem opadała – Andra złapała go za rękę.

– Wyjaśniałam ci już, dlaczego już nigdy w życiu nie wsiądę do taksówki.

– Pewnego razu sprzątnęłaś sprzed nosa taksówkę ciężarnej kobiecie, która wobec tego postanowiła, że sama usiądzie za kierownicą. Z powodu nadchodzących bólów porodowych spowodowała wypadek, w którym zginęła.

– No właśnie. To wyjaśnia, dlaczego czuję się winna jej śmierci. Rzecz, której ci jeszcze nie powiedziałam, to czyja to była żona.

*O Boże!*

Andra próbowała jeszcze mocniej ścisnąć go za rękę, ale Milan nagle już wiedział, co mu chciała powiedzieć, a to przekonanie sprawiło, że odruchowo się wzdrygnął.

– Hulk?

– Dlatego Lampert chodzi co piątek na cmentarz.

Zdawało mu się, że wszystkie głosy w restauracji ucichły.

Andra i on siedzieli jakby pod niewidzialnym kloszem, który odcinał odgłosy mamrotania innych gości, wyjącego młynka ekspresu do kawy i stukania naczyń.

– Udało mu się mnie wtedy odnaleźć. Ale nie po to, aby na mnie nakrzyczeć, pobić mnie lub zagrozić, że mnie zaskarzy do sądu. Ale by dać mi możliwość naprawienia tego, co zrobiłam. – Wyjaśniła mu, że Lampert zbił fortunę na swoich nieruchomościach i restauracjach. – On chce teraz wykorzystywać swoje pieniądze, aby pomóc ludziom, którzy w sposób przez siebie niezawiniony popadli w kłopoty. I to tak, aby sami się nic o tym nie dowiedzieli. Przy tym powinniśmy pomagać ludziom, którzy dopuścili się czegoś złego. Nie tyle w prawnym, ile w etycznym tego słowa znaczeniu. Dlatego nazwał nas Aniołami Winy.

– Nas? – Milan zadał pierwsze z długiego szeregu pytań, które mu się nasuwały.

– Większość pracowników restauracji ma za sobą jakąś historię. Dlatego nas zatrudnił. Na przykład moja praca w charakterze kelnerki jest tylko

przykrywką dla urzędu skarbowego. W rzeczywistości płaci mi za to, że sprawdzam kandydatów. Mam mieć oczy i uszy otwarte na dusze, które warte są tego, aby je ratować.

– Ludzi takich jak ja?

Odgłosy restauracji zaczęły się ponownie pojawiać wraz ze świadomością, że dla Andry był tylko kolejnym zadaniem. Nie partnerem, lecz ofiarą.

– No więc, uczciwie mówiąc, Hulk myślał raczej o ofiarach stalkingu lub nadużyć seksualnych, ludziach, którzy cierpią przemoc domową. Nieszczęśnikach, którzy nie potrafią się sami obronić. A zatem o takich, którzy bez winy popadli w biedę. Od czasu do czasu takie osoby trafiają także do jego restauracji. Całkowicie legalnie, przednimi drzwiami, a nie tak jak ty w masce narciarskiej na głowie.

Milan poszukał swojej szklanki, wziął ją do ręki, ale nie upił nawet łyka.

– Jeśli jesteśmy zdania, że znaleźliśmy wymagającego pomocy, uczciwego i porządnego kandydata, prześwietlamy go bardzo dokładnie. Ale tak, aby niczego nie zauważył. Tym zajmuje się Günther.

A więc taka była jego właściwa profesja: Günther, prywatny detektyw, który nie szuka w ludziach złego, lecz dobrego.

– I gdy dochodzimy do wniosku, że dana osoba rzeczywiście nie ponosi winy za swoją nędzę, wspieramy ją. Ale oczywiście tak, aby niczego nie zauważyła.

– Tak więc odpracowywałaś na mnie swoją winę za śmierć żony Hulka i ich nienarodzonego dziecka? – Choć Milan ponownie poczuł się oszukany przez Andrę, nie mógł ukryć, że jej wywody wzbudziły w nim pewną fascynację. Trudno też było zaprzeczyć, że jej motywy, o ile mówiła prawdę, były altruistyczne i dobre.

– Nie. Przynajmniej na początku nie taki był mój cel. Naprawdę cię polubiłam. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego ktoś, kto jest tak kreatywny, marnuje swoją inteligencję na popełnianie przestępstw. Gdy wstawiłam się za tobą u Lamperta i poprosiłam go o pracę dla ciebie, nie chciał się zgodzić. W końcu byłeś przestępcą, a więc kimś dokładnie przeciwnym niż osoby normalnie uważane przez nas za odpowiednich kandydatów.

– Nazywacie ludzi takich jak ja kandydatami? Jak w jakimś teleturnieju?

– Wolałbyś pojęcie „ofiara”?

*Nie*, pomyślał Milan i zadał sobie pytanie, jak to się stało, że słowo „ofiara” stało się obelgą, a słowo „sprawca” mogło być nawet tytułem serialu Netflixa.

– Lampert zarządził twoją rutynową kontrolę, tak samo jak w przypadku każdej zatrudnionej przez niego osoby. Sprawdzanie ciebie zostało zlecone wspólnie Güntherowi i mnie, a poszukiwania zawiodły nas na Rugię. Do profesora Karsova, a tym samym do twojej przeszłości. Wielokrotnie się z nim spotykałam. Ostatnim razem latem. I tak dzięki naszemu śledztwu dowiedzieliśmy się, że także ty jesteś ofiarą. I dlatego ci pomogliśmy.

To były ostatnie słowa Andry. Chwilę potem Milan wyskoczył z kawiarni, zostawiając Andrę przy stoliku. Przez dwie godziny krążył bez celu po dzielnicy Charlottenburg, aż w końcu trafił jako jedyny widz do pustej sali kinowej, gdzie był wyświetlany jakiś hiszpański film – w oryginale i z napisami, ale jemu i tak było wszystko jedno.

Potrzebował dwóch tygodni, zanim ponownie zameldował się u Andry, aby zadać jej kolejne pytanie. Oraz kolejnych dziesięciu dni, by w końcu zauważyć, że zbyt wiele do niej czuje, aby postawić krzyżyk na ich związku i nie spróbować zacząć przynajmniej jeszcze jeden raz. Gdy na nowy początek przystał na terapię par, zdawał sobie jasno sprawę, że będzie to strasznie duże wyzwanie dla doktor Rosenfels. Jeśli miał być szczery, po części zdecydował się na to, ponieważ chciał na własne oczy zobaczyć reakcję terapeutki. Jak na razie radziła sobie zadziwiająco dobrze, jeśli pominąć zaczerwienioną z gorąca szyję i drżący głos.

– I tym klientom, jak ich nazywacie, pomagacie w taki sposób, aby oni niczego o tym nie wiedzieli? – zapytała Andrę doktor Rosenfels.

– Właśnie tak.

– W moim przypadku Andra dała mi porządną pracę i nieco mniej porządny seks – stwierdził Milan. – Choć ta ostatnia rzecz nie odbyła się tak całkiem niepostrzeżenie.

– Dupek. Przez ten seks zostałeś prawie skreślony z listy. Lampert ma pewną niepisaną regułę: żadnych związków pomiędzy aniołem a klientem. – Wycelowoła palec wskazujący w pierś Milana, mniej więcej w to miejsce, gdzie trafiła go kula Jakoba. Rana już się dobrze zagoiła i sprawiała mu ból

tylko wtedy, gdy dźwigał zbyt dużo siatek. – Jeśli chcesz dobrze wiedzieć, pomogliśmy ci, znajdując ci pracę i miejsce dla twojego ojca w domu starców.

– Że co proszę?

– Nie patrz tak na mnie jak srający pawian. Naprawdę myślałeś, że luksusowy zakład przy parku Rehwiесе oferuje rabaty dla byłych pracowników szpitali? Za wszystko płaci Lampert.

W gabinecie zaległa ciężka cisza.

Twarz Milana piekła, jakby został spoliczkowany.

– No tak. Chyba nie odważę się już zadawać więcej pytań – oznajmiła doktor Rosenfels, a jednak zapytała na koniec: – Czy są jeszcze jakieś tajemnice, które macie przed sobą?

– Nie – odpowiedziała Andra, podnosząc ręce w obronnym geście.

– Nie – powiedział także Milan, po czym chrząknął zakłopotany. – Jeśli nie liczyć wyników testu na ojcostwo, które noszę przy sobie od kilku dni.



23 grudnia

Impreza zamknięta, głosiła kartka wywieszona na wejściu do amerykańskiej restauracji i to mimo że była sobota, a trójka mężczyzn siedzących przy stoliku numer 19 nigdy nie byłaby w stanie wyrównać strat w obrotach, których doznał dzisiaj Hulk w wyniku przedwczesnego zamknięcia lokalu. Zwłaszcza że dwoje z tych gości było jego własnymi pracownikami.

Milan przyszedł jako ostatni i chciał zrobić w tył zwrot, gdy zobaczył, kogo Lampert zaprosił jako trzeciego uczestnika rozmowy.

– Siadaj – zawołał szef firmy i wskazał mu miejsce na ławce, na której sam siedział. – Usiądź tutaj. Zostawię was samych.

Nietypowy dla Hulka potok słów nie pozostawiał żadnej możliwości sprzeciwu, tak więc Milan postąpił zgodnie z tym, co mu nakazał szef. Nawet jeśli nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę.

Rany wciąż były zbyt świeże. Zwłaszcza te, które nie znajdowały się w ramieniu, lecz w głębi jego duszy.

– Nie wiem, co dla mnie jest gorsze – zaczął Milan, gdy jego ojciec podniósł głowę i spojrzał mu w oczy. – Czy to, że pozwoliłeś na to, co Karsov mi zrobił, czy też to, że wciąż jeszcze myślisz, że miałeś rację.

Kurt potarł sobie dłońmi twarz jak chłopak myjący się byle jak przed pójściem spać. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego, niż czuł się Milan.

– Już tak nie myślę, chłopcze. Być może jestem głupkiem, ale nie idiotą.

– Tak jak ja?

Kurt wciągnął głośno powietrze.

– Nie mów tak. Nie mów w ten sposób. – Rozejrzał się wokół, ale jeśli chciał zamówić coś do picia, to miał pecha. Hulk wycofał się do swojego biura. Milan wprawdzie wiedział, że na zewnątrz Günther pali papierosa, ale ten prędzej by nalał kawy z ekspresu komuś prosto do ust, niż miałby się bawić w kelnera. – Andra do mnie zadzwoniła – dodał Kurt.

– Jak widzę, zawsze istniała między wami nić porozumienia.

Wargi ojca drgnęły. Z kącika oka popłynęła łza.

– Opowiadała mi o teście na ojcostwo. Przykro mi.

– Przykro ci słyszeć, że nie jestem ojcem Lynn?

Nie było niespodzianki. Jego adwokat, Robert Stern, zdradził mu to. Test wypadł negatywnie. W przeciwieństwie do testu Jakoba. Lynn była jego córką. Ten drań przed laty zrobił dziecko swojej pasierbicy, a prawdopodobnie nawet ją zgwałcił.

– Bardzo mi przykro, że przez wszystkie te lata wątpiłem w ciebie. Naprawdę myślałem, że ty...

Klatka piersiowa ojca silnie zadrżała, po czym rozległ się głośny szloch, który uniemożliwił mu dalsze mówienie.

– Powiedz to na głos. Myślałeś, że twój syn był gwałcicielem i podpalaczem. Dręczył zwierzęta i moczył się do łóżka. Że był psychopata, któremu najlepiej wydlubać oczy, aby nie był w stanie zobaczyć swych ofiar. A skoro to było niemożliwe, to hej, zrobmy może z niego analfabetę. Mogę mówić o szczęściu, skoro skończyło się tylko na takim problemie, że muszę się zmagać z obcym mi światem pisma. To znaczy, równie dobrze mogliście sprawić, że zostałem sparaliżowany.

Głos Milana tym głośniejsz odbijał się echem w jego uszach, im dłużej trwała cisza, która nastąpiła po tych słowach. Normalnie słyszeć by było stare przeboje z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dobiegające z szafy grającej przy wejściu, ale Hulk wyłączył nawet ją.

– Nie przyszedłem tu po to, aby się kłócić.

– A po co?

– Aby dać ci prezent. W końcu jutro jest Boże Narodzenie, chłopcze.

To samo miejsce. Nawet ten sam stół.

I ponownie jakiś starszy człowiek chce mu dać coś, o co on nie prosił.

– iPad? – spytał Milan. Jego ojciec położył go przedtem obok siebie na

ławce, a teraz przełożył na stół.

– Jego też możesz zatrzymać, ale w zasadzie jest to tylko opakowanie. Nagrałem to wtedy osobiście. No wiesz, kamerą, którą Jutta podarowała mi na urodziny. Chciałem was zaskoczyć. Zrobić wam żart. Ukryta kamera, no coś w tym stylu.

Kurt dowcipniś, który dla żartu był gotów przekraczać granice dobrego smaku. Milan przypomniał sobie, że był taki czas, gdy jego ojciec nie wychodził z domu bez kamery w rękę. Przecież musiał zebrać odpowiedni materiał dla swoich „wesołych” wieczornych projekcji. Robił zawstydzające nagrania mamy, jak myje włosy, lub kręcił wideo, jak ściąga z niej skoro świt kołdrę.

Siedzący po drugiej stronie stołu Kurt rzucił uwagę, że musi wyjść na chwilę do toalety. Milan spojrzał za nim, po czym dotknął ekranu dotykowego. Na jego środku pokazała się strzałka.

Play.

Milanowi udało się stawić jej opór. Może przez dwie sekundy, bo potem nacisnął na symbol odtwarzania.

Film zaczął się od szarpnięcia, jasna plama przeleciała przez środek ekranu jak płomień, który pochłania fotografię. Potem stało się jasne, gdzie znajdowała się kamera i co uchwyciła. Milanowi zrobiło się niedobrze.

Jego kolana pod stołem zadrżały podobnie jak jego dłonie, które nie były już w stanie utrzymać tabletu, więc musiał go położyć na stole.

*A więc jednak.*

Film musiał mieć ponad czternaście lat. Yvonne wyglądała tak jak ostatniego dnia ich krótkiego związku. Była ubrana w bluzkę w kropki. Tę samą, którą kilka dni później miała zamienić na jego bluzę. Milan siedział obok niej, obejmował ją ramieniem. Znajdowali się w starym koszu plażowym stojącym przy kempingu.

Kurt miał zapewne nadzieję, że przyłapie ich, jak się obściskują. Prawdopodobnie był rozczarowany tym, że zobaczył tylko otwartą książkę leżącą na kolanach Yvonne. I nie nagrał żadnego obcałowywania i migdalenia się, tylko wybijający się na tle cichego szumu fal i krzyku mew młodzieńczy głos Milana.

– ...i dzięki tej wiedzy poczuła się szczęśliwa i wolna – powiedział na

nagranium. Zacinając się, nieskładnie i bez właściwej intonacji, jak ktoś, kto ma duże trudności z pisaniem i czytaniem. *Niewiarygodne*. Milan zrobił wówczas coś, co teraz, czternaście lat później, sprawiło, że przez plecy przebiegł mu zimny dreszcz. Przez co jego oczy wypełniły się łzami, a z głębi jego duszy wyrwał się pełen bólu jęk.

*Jak to możliwe, że nie potrafię sobie tego przypomnieć?*

Na nagraniu wideo nie mówił czegoś Yvonne. Nie wyrażał na głos swoich myśli, a kamera nie uchwyciła też fragmentu ich rozmowy. Tylko połowę zdania, które Milan przeczytał na głos.

*Karsov miał rację, pomyślał Milan.*

Rzeczywiście był taki czas, kiedy Milan potrafił czytać.

– Tato?

Rozejrzał się, lecz ojciec jeszcze nie wrócił.

Zamiast tego od baru oderwał się Günther. Wraz z nim do Milana zbliżył się zapach dopiero co wypalonego na zewnątrz papierosa. Z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach szytego u krawca dresu do biegania zastępca szefa poszedł tak blisko stolika, że Milan najchętniej by się odsunął nieco do tyłu.

– Twój ojciec nie poszedł do toalety.

Milan skinął głową. Spodziewał się tego.

*Poszedł sobie.*

On sam tak bardzo był pochłonięty filmem, że nie zauważył, jak Kurt wyszedł ani jak Günther wrócił do restauracji.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Günther wskazał na tablet.

Przez chwilę Milan zastanawiał się, czy nie cytuje on w tej chwili fragmentu jakiegoś przeboju, ale chyba nawet Günther rozpoznał, że jego kolega nie jest teraz w nastroju do rozwiązywania zagadek muzycznych.

Pokręcił głową.

*Nie. Nie chcę o tym z nikim rozmawiać.*

– Okej. Nie to nie. Wesołych świąt.

Milan prawie zapomniał, o co poprosił Günthera tydzień wcześniej. Teraz jednak, gdy mała paczka leżała już na stole, znów to sobie przypomniał.

– Dla Lynn?

– Jutro przecież świętujecie razem? – spytał Günther.

– Taki jest plan.

– To się dobrze składa. Postarałem się o ten prezent dla ciebie. Tak jak chciałeś.

Gdy Milan powrócił już do domu i jeszcze raz zrobił w myślach przegląd wydarzeń na Rugii, przyszła mu do głowy pewna myśl. Nasunęło mu ją jedno ze zdań wypowiedzianych przez Jakoba.

– Czy jesteś pewien, że Lynn przyda się ten prezent? – spytał Günther.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Milan i wstał. – Zdecyduję dopiero na krótko przed Gwiazdką, czy naprawdę jej go dam.

## 24 grudnia Wigilia

**M**ieli nawet choinkę. Po raz pierwszy. Milan zaproponował, aby kupić drzewko z tworzywa sztucznego, ale Andra odparła tylko: „Ale wtedy będziesz obchodził święta z nadmuchiwaną lalką, a nie ze mną”.

I tak doszło do tego, że dwupiętrowe mieszkanie Andry jeszcze długo po Gwiazdce pachniało igłami i górami Harzu, choć jodła, którą wyszukali, nie była szczególnie duża. Pomiędzy czerwoną gwiazdką na jej czubku a sufitem odnowionego mieszkania z końca XIX wieku bez najmniejszego problemu zmieściłaby się walizka podróżna, którą Milan dostał w prezencie od Andry.

– Gdybyś miał ochotę wybrać się na normalną wycieczkę – powiedziała, obserwując z zadowoleniem, jak obie dziewczynki dokazywały pod choinką.

Dom dziecka, w którym została umieszczona Lynn, wprawdzie oświadczył, że jest to wyjątek, ale w rzeczywistości podejmująca decyzję pracownica ośrodka nie dała się długo prosić. Choć minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd wprowadziła się tam ciężko strauumatyzowana dziewczynka, nic w zasadzie nie przemawiało przeciwko temu, aby spędziła święta z ludźmi, którzy ją uratowali.

Wręcz przeciwnie. Dom dziecka pękał w szwach, ponieważ szczególnie w okresie świąt należało się liczyć z większą liczbą konfliktów małżeńskich i rodzinnych niż zwykle. A więc także z przyrostem liczby niepełnoletnich, którzy byli zabierani od ich rodzin. Liczyło się każde wolne łóżko.

I każdy, kto podczas rozdawania prezentów i późniejszej kolacji

obserwowałby Lynn, doszedłby do tego samego wniosku co Andra: „Jest szczęśliwa u nas. Rozumie się nawet z Louisą”.

Z początku Andra niepokoiła się, że jej córka będzie widziała w Lynn konkurentkę. Obce ciało w ich rodzinie, z którą nawet Milan nie tak od razu się zintegrował. Ale obie nastolatki śmiały się, wygłupiały, pokazywały sobie nawzajem prezenty i dzieliły się ostatnimi kawałkami steków, które Milan upiekł na grillu.

Pogoda w Wigilię była tak ciepła, że Milan rozstawił na balkonie grill na węgiel drzewny. Teraz wciąż jeszcze czuł w nosie jego korzenny zapach, ale dziś nie musiał myśleć o pożarze. Przynajmniej nie to było dla niego najważniejsze.

Po obejrzeniu wspólnie wybranego filmu (*Strażnicy galaktyki*) obie dziewczynki prawie zasnęły na sofie. Było więc naturalną konsekwencją, że spały teraz razem w pokoju Louisy. Wręcz w tym samym łóżku.

Także Milan miał już zaraz iść na górę, do Andry, która z powodu lekkiego bólu głowy spowodowanego zbyt dużą ilością wypitego wina pożegnała ich wcześniej.

Na razie chciał jeszcze zostać na chwilę sam ze swoimi myślami. Oraz z otrzymanym od ojca prezentem, który teraz ponownie wyciągnął, gdy reszta jego małej rodziny przebywała już w królestwie snów.

– ...niewiedza jest czasami największym prezentem – usłyszał swój własny głos sprzed lat.

Wstał, podszedł do regału, na którym Andra ułożyła książki alfabetycznie według nazwisk autorów, i nie mógł nic rozszyfrować z tego, co widział, choć przed czternastu laty najwidoczniej było to dla niego możliwe.

*Umiałem czytać. Wówczas. W innym życiu.*

Pigułek Karsova oczywiście nie zażywał. Były tylko pozbawionym wszelkiego działania urojeniem. Ostatnią, rozpaczliwą nadzieją, której chwycił się Karsov. Równie dobrze Milan mógłby przyjmować preparat z alg na raka. *A nawet gdyby, pomyślał, gdyby lekarstwo tak poprawiło krążenie, że obszary w jego mózgu znów by zaczęły właściwie pracować, to czybym tego naprawdę chciał?*

Wziął do ręki książkę, która zajmowała na regale honorowe miejsce, tuż obok wspólnego zdjęcia jego i Andry.

Jedyną książkę, która coś dla niego znaczyła. Która zarówno wówczas, jak i dzisiaj była kluczem do prawdy.

Milan lubił zapach, który pojawiał się podczas otwierania książki. Nawet jeśli nie był to ten egzemplarz, który wówczas ukradł, pachniał tak jak dawniej. Papierem, węglem, kurzem i szkołą.

Spomiędzy stron wysunęła się mała kartka i Milan musiał się uśmiechnąć. Poznał pismo Andry. Najwyraźniej przypuszczała, że on znów weźmie do rąk tę książkę, i pozostawiła dla niego wiadomość.

R11A9W7A7W5A4W6L9-10A1W10L1A2W1A1W3L1W16L8A41W16

Na szczęście dostali książkę z powrotem od ekipy zabezpieczającej ślady po tym, jak początkowo zarekwirowane zostały wszystkie przedmioty znajdujące się w mini Andry, którym przejechała ona Jakoba. Znaleźli też egzemplarz Zoe w przyczepie kempingowej, ale był tak ubrudzony krwią, że strony skleiły się nieodwracalnie.

R11A9W7A7W5A4W6L9-10A1W10L1A2W1A1W3L1W16L8A41W16

Będzie musiał odcyfrować ten szyfr później.

– Nie możesz spać?

Tak bardzo się przestraszył, że niechcący zamknął książkę z kartką w środku.

– Lynn?

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

Dziewczynka miała na sobie jedwabną piżamę, którą pożyczyła jej Louisa. Jej świeżo wyszczotkowane blond włosy opadały lokami na ramiona.

– Mam prezent dla ciebie, ale nie chciałam kłaść go przedtem pod choinką. – Podeszła do niego z uśmiechem na ustach i bosą, trzymając obie ręce za sobą.

Milan stał wciąż nieporuszony przy regale.

– Co to jest? – spytał, gdy wyciągnęła w jego kierunku dłoń.

– Rurka. Nie do końca rurka, ale z pewnością zrozumiesz symbolikę. – Spojrzała na choinkę na prawo od niego, na której wciąż paliły się światełka. – Nie chciałam, abyś rozpakowywał to przy innych.

– Co?

Lynn uśmiechnęła się. Wyglądała na delikatną i kruchą, była uprzejma i



miła, ale w jakiś dziwny sposób to wszystko nie pasowało do siebie. Podeszła jeszcze krok bliżej, tak że stała teraz tylko półtora metra od niego.

– Wtedy, w klinice Sana wzięli od ciebie próbkę śliny. W celu przeprowadzenia testu na ojcostwo.

– No i...

– Ode mnie też – powiedziała. – To logiczne. Musieli je przecież porównać.

– Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. – Milan poczuł się zapędzony do narożnika. Za sobą miał regał, po lewej choinkę, a przed sobą Lynn, która mimo swej drobnej postaci nagle wydała mu się groźna. To, co mówiła, tylko wzmacniało jego chęć, aby przemknąć na prawo od niej i uciec z pokoju. Przez drzwi. Do schodów, *na zewnątrz, aby tylko...*

– Zostawili mnie samą z próbkami, a wtedy zamieniłam rurki.

Było to jak ukłucie igłą. Jedno jedyne słowo, które trafiło prosto w nerw Milana. Ten, który jest odpowiedzialny za odczuwanie strachu.

– Kłamiesz.

Lynn się uśmiechnęła.

– Ciesz się, tato. Twoja próbka była podpisana jako Jakoba. I na odwrót.

Milan pragnął jednocześnie zrobić krok do przodu i oddalić się od Lynn najbardziej jak to tylko możliwe. Jednak dziewczynka stała tak, że bez najmniejszego trudu mogła mu zastawić drogę, jeśli by się choć trochę ruszył.

– Jesteś moim ojcem, Milan. Wiedziałam o tym od samego początku. Tylko z tego powodu zrobiłam to wszystko.

– Co wszystko? – spytał, choć wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

Zaśmiała się.

– Nie udawaj głupka. To był mój plan. Jakob był tylko moim narzędziem. To ja wpadłam na pomysł, aby trzymać kartkę przy szybie. Powiedziałam Jakobowi, kiedy ma do ciebie zadzwonić i co ci powiedzieć. Wciąż myślał, że chodzi tylko o pieniądze. Ale ja zawsze chciałam tylko do ciebie.

*Ty durniu! Miałaś nadzieję. Gdy dzisiaj tu się jej przyglądałeś. Tak zgodnie siedzącej z Louisą. Przy stole, na sofie. Myślałeś sobie...*

– Jesteśmy rodziną. Mama tak wiele mi o tobie opowiadała. Musiałam znaleźć sposób, aby się ich wszystkich pozbyć.

*Wszystkich.* Jakoba. Solveig. Yvonne.

Wszystko się w nim skurczyło. Szok prawdy był obezwładniający.

*Mój Boże, ona naprawdę zabiła własną matkę.*

– Abyśmy byli razem. Jako ojciec i córka.

– Jesteś szalona – powiedział Milan, nie mając wcale tego na myśli. Ktoś, kto tak jasno i na zimno kalkulował swoje czyny, kto był tak przekonujący i potrafił tak manipulować ludźmi, musiał umieć rozróżniać między dobrem a złem, między tym, co właściwe, a co niewłaściwe.

– Jestem taka jak ty – odpowiedziała Lynn. – Oboje jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Czy nie tak się mówi? Nikt nas nie rozumie. Nikt nie wie, co czujemy.

Milan wciąż trzymał w ręku książkę, która teraz stała się tak ciężka, że musiał ją odłożyć.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Obawiałam się tego. Zróbmy więc test.

Zamrugaj, nic nie rozumiejąc.

Musiała to zauważyć, bo dodała:

– Test na ojcostwo. Tu i teraz.

– Jak miałby on wyglądać? – spytał Milan, jakby ogłuszony pewnością, że stoi przed nim morderczyni jego pierwszej ukochanej. Jednocześnie zapytał samego siebie, dlaczego Lynn przez cały ten czas trzymała wciąż prawą rękę za plecami.

– Wszystko już zaaranżowałam – powiedziała. – To mój prezent dla ciebie. Tak przy okazji dziękuję za szal. Moja niespodzianka dla ciebie jest o wiele bardziej osobista. Że tak powiem, ręcznie robiona. – Podeszła do stołu. – Chodź.

Milan zastanowił się, czy nie wykorzystać tej szansy i nie pozostać po prostu tu, gdzie stał, ale Lynn wszak miała jakiś plan. Nie miało sensu uciekać od niej teraz, gdy jeszcze nie wiedział, gdzie tkwi pułapka.

– Czy coś zauważyłeś? – usłyszał jej słowa. Stała plecami do niego, z prawą ręką przed brzuchem, i patrzyła przez drzwi balkonowe.

– Co takiego?

– Gdy byłeś przed chwilą w łazience, a wszyscy siedzieli już na górze, zesłałam jeszcze raz na dół i zabrałam.

Milan podszedł do niej bliżej.

*Cholera jasna. Nie...*

Zrobiło mu się gorąco, choć nagle otworzył drzwi na balkon i wionęło na niego zimne powietrze.

– Gdzie on jest? – Odwrócił się w jej stronę.

*Gdzie jest grill?*

– Stoi w pokoju Louisy. Stop!

Milan, który już chciał przemknąć obok niej i pobiec schodami na górę, musiał zatrzymać się w miejscu, bo Lynn wycelowwała w niego pistolet.

Jej prawa dłoń nie była już dłużej schowana.

– Dzięki, że tak często zostawiasz pistolet w swojej szafce nocnej – powiedziała. – Zaoszczędziło mi to sporo zachodu.

– Czego chcesz? – spytał. Stał tylko dwa kroki od niej.

– Zrobić test. Mówiłam ci już. – Kierowała broń na przemian w głowę Milana i jego klatkę piersiową.

Choć nie mógł nic na to poradzić, odzywały się kolejno jego blizny na czaszce i w ramieniu, w zależności od tego, w co skierowana była lufa.

– Zastanówmy się – powiedziała Lynn z uśmiechem na ustach. – Grill, w którym ponownie rozpałam węgiel, stoi teraz od dziesięciu minut w pokoju Louisy. Sądzę, że została jej co najwyżej godzina, zanim umrze od zatrucia tlenkiem węgla. Dokładnie tak samo jak wówczas twoja ukochana mama.

*Boże!* Milan szukał jakiegoś innego wyjścia niż to, które się przed nim otwierało, ale nie znajdował żadnego.

– Lynn, nie chcesz przecież zostać sierotą. Jeśli naprawdę jestem twoim ojcem, nie zastrzelisz mnie przecież.

Skinęła głową.

– Ciebie nie. Nie, to właśnie jest ten test. A funkcjonuje on tak! – Skierowała wylot lufy pistoletu pod swój podbródek i mówiła spokojnie dalej: – Zastrzelę *siebie*, gdy tylko zrobisz choćby jeden krok w moją stronę. Na tym polega *twój* test. Dowiedzmy się wreszcie, po której stoisz stronie.

– Co to za przeklęty test?! – krzyknął Milan w nadziei, że obudzi w ten sposób kogoś, kto wezwie policję.

– Czyje życie wybierzesz, Milan? Moje, twojej rodzonej córki, czy Louisy, całkowicie ci obcego dziecka? – Lynn przestała się uśmiechać. Zrobiła się całkowicie poważna. Dużo poważniejsza, niż może być czternastoletnia dziewczynka. – Jeśli jesteś wobec siebie uczciwy, wiesz to już w głębi swej duszy. Oboje należymy do siebie. Nie zwlekałeś ani chwili, aby mnie ratować. Poczuleś łączące nas więzi, prawda? Już od chwili, gdy zobaczyłeś mnie pierwszy raz. Gdy trzymałam kartkę przyciśniętą do szyby. Poczuleś wtedy to co ja. Należymy do siebie.

– Tak – powiedział Milan, bo nie widział żadnej innej możliwości.

– Wiesz o tym, prawda?

Skinął głową.

*Tak.* Przedtem nie był pewien. Nie w stu procentach. Ale to przeczuwał.

Sam Jakob mu to zdradził. Już kilka tygodni temu.

„Bo nie pozwolę tak się traktować Lynn”, powiedział mu wtedy, zanim chciał go zabić.

Powiedział *Lynn*, a nie *Zoe*!

„Jeśli ja nic nie dostanę, ona też nic nie dostanie”.

– Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny – powiedział Milan i w ten sposób wyczarował na twarzy Lynn uśmiech. Szczery, otwarty, odprężony.

Jej ostatni uśmiech, jak się miało okazać.

Nacisnęła spust, gdy tylko zobaczyła, jak Milan do niej doskakuje.

## Dzisiaj Zakład Penitencjarny Tegel

**A** więc zabiłeś ją? – Głos Zeusa odbił się echem od wyłożonych płytkami ścian więziennej pralni. Wydawał się skonsternowany. – Słucham przez cały ten czas historii z tysiąca i jednej koszmarnej nocy, aby się na koniec dowiedzieć, że naprawdę jesteś winny, *morderco dziewczynki*?

– Sama strzeliła.

– I ja mam w to uwierzyć?

Zeus zawołał Gładkiego, dodając, żeby tylko nie zapomniał żelazka, ale Milan nie usłyszał, aby na zewnątrz, za drzwiami ktoś się poruszył.

Za to Zeus podszedł bliżej.

Boże, jak bardzo Milan miał już dosyć tych wszystkich starych facetów. Swojego ojca, Karsova i tego żalosego boga więzienia. Postanowił, że rzuci temu bufonowi z przedziałkiem okulary z łepetyny. Przynajmniej tyle chciał zrobić, zanim kolejny raz zostanie pobity, zgwałcony, a być może nawet zabity.

– Wiesz, co sobie myślę? – spytał Zeus. Jego oddech był nieświeży, a głos ochrypły, choć przecież to Milan nieustannie mówił, walcząc o swoje życie. – Myślę sobie, że cały czas wciskałeś mi gówna, co kosztowało mnie stratę całej nocy mojego życia. I teraz Gładki rozerwie ci za to dupę. **GŁADKI, GDZIE, DO CHOLERY, JESTEŚ?**

Po chwili ze słowami:

– No w końcu – odwrócił się w kierunku drzwi do więziennej pralni, które się wreszcie otworzyły.

Nieoczekiwanie na scenie pojawił się brzuchaty funkcjonariusz wymiaru

sprawiedliwości, którego Zeus ofuknął:

– Czego tutaj szukasz? Mam rezerwację na to pomieszczenie trwającą jeszcze dwie godziny.

Mundurowy chwycił za swoją pałkę, co było często praktykowanym rytuałem sygnalizującym gotowość zastosowania przemocy, z czego ten człowiek prawdopodobnie już nie zdawał sobie nawet sprawy.

– Przyszedł jego adwokat – powiedział i zmrużył oczy. To, co zobaczył: zakrwawiony ręcznik na Milanie i widoczne rany, które mu zadano, najwyraźniej mu się nie spodobało.

– Do diabła z jego adwokatem. Czego chce?

– Ma przy sobie dokumenty. Niejaki Robert Stern. Musi być niezły, skoro udało mu się tak wcześnie rano uzyskać zwolnienie.

Funkcjonariusz skinął na Milana, że ma wstać, ale Zeus popukał się w czoło.

– Usłyszałem przed chwilą „zwolnienie”?

– Właśnie. Dziewczynka obudziła się ze śpiączki. Najwyraźniej potwierdziła wersję tego ptaszka.

W swoich snach Milan oglądał raz za razem, jak udaje mu się zdążyć akurat na czas, aby kula musnęła tylko dolną szczękę. Niestety świat realny był o wiele brutalniejszy od koszmarów sennych. W rzeczywistości udało mu się wprawdzie oderwać broń od jej szczęki, z tym jednak skutkiem, że podbita w ten sposób lufa była skierowana w górną część skroni, gdy Lynn nacisnęła spust. Lekarze powiedzieli, że może tego nie przeżyć. Najwyraźniej się mylili.

– Ale jego odciski palców! – zaprotestował Zeus. – To była jego broń.

– Co ja tam wiem? – Funkcjonariusz z wyraźnym mięśniem piwnym wrzasnął do Milana: – Wstawać!

Gdy Milan z trudem podnosił się na nogi, miał wrażenie, jakby ktoś bawił się z jego jelitami w przeciąganie liny.

– Ruchy, Berg, ruchy! – Strażnik rzucił mu uniform więzienny. – A może wolałbyś tu dłużej zostać? Jak w ogóle tutaj trafiłeś? – spytał obłudnie.

Ból był straszliwy, a mimo to Milanowi udało się jakoś wślizgnąć w ubranie. Szorowało go w kroku, a także po całym obolałym ciele, gdy z trudem przechodził najpierw obok Zeusa, a potem mundurowego, stąpając

boso jak po żwirze.

Funkcjonariusz szepnął mu jeszcze do ucha:

– Moi ludzie szukali cię przez całą noc, Berg. No ale nie chcę być złośliwy i po tym, co tu widziałem, posądzać cię o próbę ucieczki. Zrozumieliśmy się?

**Piątek, godzina 17.00**  
**Cmentarz leśny**

**N**ie było żadnego innego miejsca, w którym mógłby jej szukać. Oraz bardziej odpowiedniego miejsca na pierwszą wycieczkę po zwolnieniu z więzienia. Przecież dopiero co patrzył śmierci w oczy. A gdzie, jeśli nie na cmentarzu, człowiek był w tej samej chwili świadomy zarówno swojego życia, jak i swej śmiertelności?

Nawet jeśli Zeus i jego zbiry nie załatwiłyby go jeszcze dzisiaj, było to tylko kwestią czasu. Mordercom dzieci nie przysługuje w więzieniu okres ochronny. Nieważne, czy są winni, czy też nie.

Było pochmurno i zimno. Już od pierwszych dni ferii świątecznych nad Berlinem zalegał głęboki niż i wyjątkowo panujące tego dnia temperatury pasowały do pory roku. Milan przyjechał taksówką i z postawionym wysoko kołnierzem przekroczył bramę wiodącą na cmentarz.

Nie orientował się, gdzie znajduje się grób rodziny Lamperta, ale nie miał najmniejszych problemów z jego odnalezieniem. Günther, stały towarzysz Hulka, już z daleka wyróżniał się z grupy trzech osób, które zgromadziły się przy ciemnym nagrobku w pobliżu wierzby płaczącej. Z daleka wyglądał jak obelisk albo jak grabarz, który wysłał swoich kolegów do domu, ponieważ bez problemu sam mógłby nosić trumny.

Stojący obok niego Andra i Lampert sprawiali wręcz wrażenie karłów.

Milan zachował odstęp jakichś dziesięciu metrów i oparł się o pień drzewa, ale instynkty Günthera reagowały najwyraźniej nawet na spojrzenia, które z tego dystansu były wycelowane w jego plecy. Oderwał



się od grupki i podszedł do Milana. Jego ponura mina pasowała do szarego nieba i otoczenia. Nie rozjaśniła się nawet wtedy, gdy stanął bezpośrednio przed Milanem.

– Chcę żyć aż do ostatniego tchu – wychrypiał Günther.

*Dlaczego większość ludzi szepcze na cmentarzach? Czy boją się, że obudzą zmarłych?*

– Tim Bendzko, *Nie jestem maszyną*, Sony Music, rok dwa tysiące szesnasty – odpowiedział Milan. – A ten tekst denerwuje cię dlatego, że każdy człowiek żyje do ostatniego tchu. Czy tego chce, czy nie.

– Hm – chrząknął Günther. Wskazał na grób, od którego właśnie odszedł.

– Lampert nie chce, aby mu przeszkadzano.

Milan pokręcił głową.

– Nie chciałem rozmawiać z nim, tylko z tobą.

– Dlaczego? – Nawet jeśli Günther był zaskoczony, dostrzec można to było co najwyżej po lekkim drgnieniu brwi.

– Chciałem raz jeszcze podziękować ci za prezent, który dla mnie zorganizowałeś.

– Myślałem, że prezent był dla Lynn.

Milan zauważył, jak Andra na nich spogląda. Z tej odległości wyglądało to tak, jakby szeptała coś do Lamperta, być może słowa pożegnania, bo także ona odwróciła się teraz i ruszyła w ich stronę.

– Nie jestem taki pewien, czy rzeczywiście wyrządziłem ci przysługę – powiedział Günther i wrócił do swojego szefa.

Wyglądało to jak zmiana warty. Spojrzenia Andry i Günthera skrzyżowały się na chwilę, gdy przechodzili obok siebie żwirową alejką.

– Hej – powiedziała Andra, gdy była już dostatecznie blisko Milana, aby podać mu rękę. Jej dłoń była cieplejsza niż jego, choć dziewczyna stała tu na zimnie o wiele dłużej od niego. – Odebrałabym cię, ale nikt mi nie powiedział, kiedy...

– Dobrze, wszystko dobrze. Masz chwilę?

– Jasne.

Odeszli kilka kroków dalej cmentarną alejką. Mijali w większości zadbane groby, tylko tu i ówdzie Milan dostrzegał zamarzniete rośliny lub uschnięte iglaki. Chętnie przeczytałby inskrypcje na nagrobkach. Na jego

powinno być napisane: „Kiedyś musiało się tak stać”. Postanowił to już dawno temu. Teraz nie był już pewien, na ile poważnie traktował kiedyś ten napis.

– Jak się czuje Lynn? – spytała Andra. Jej oddech tworzył gęste obłoki zbierające się przed jej smagłą twarzą. Miała na głowie szarobłękitną czapkę zakrywającą uszy, pasującą kolorystycznie do wystających spod niej włosów. Kolczyk w jej nosie błyszczał jak kawałek lodu i zapewne tak właśnie go odczuwała.

– Stern powiedział, że przeżyje. Ale prawdopodobnie na zawsze pozostanie ślepa.

– O Boże! – Andra stanęła i spojrzała na Milana. – Nie wiem, co powiedzieć. To znaczy, wygląda na to, że zabiła własną matkę. – Pokręciła w niedowierzaniu głową. Jej glany zaskrzypiały na żwirze. Brzmiało to tak, jakby rozgniatała nogą orzech. – A mimo to wciąż jest dzieckiem.

– Jest z natury zła – odparł Milan.

– Nie mów tak. Nikt nie jest.

*Ależ tak. Gdybyś tylko wiedziała.*

Zatrzymał się i chwycił drugą dłoń Andry. Stali teraz naprzeciw siebie jak zawstydzeni uczniowie podczas pierwszej lekcji tańca.

– Wiedziałem.

– Co?

– Wiedziałem, że Lynn mnie okłamała.

*Mnie. Lekarzy. Policję.*

*Prawie jej się udało.*

Andra się nie odzywała. Zostawiła Milanowi miejsce, którego potrzebował, by jej opowiedzieć, jak świadomie naraził życie ich wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Wiesz, wtedy na Rugii, gdy Jakob chciał mnie zabić. Przyłożył mi już pistolet do czoła. Gdybyś wtedy nie nadjechała... – Puścił jej ręce i ruszył dalej. – Wówczas Jakob mi powiedział. Mówił o tym, że Lynn go oszukała i że nie dostanie nic z tych pieniędzy. Nic wtedy nie pomyślałem. W ogóle nie byłem w stanie myśleć. Ale później ostatnie słowa Jakoba nie wychodziły mi z głowy.

– Dlaczego mnie w nic nie wtajemniczyłeś? – Andra była wzburzona, co

było najzupełniej zrozumiałe. Złapała go od tyłu za rękę i nawet to lekkie dotknięcie poczuł w ramieniu jak oparzenie. – Boże, wpuściłeś ją do naszego domu!

– Zabezpieczyłem się.

– Jak? – Jej dolna warga drżała. Nie wyglądała na wściekłą. Raczej na zdezorientowaną.

Nie rozumiała tego wszystkiego, ponieważ *nie chciała* tego pojąć. *To właśnie jest miłość*, pomyślał Milan. Zmusza nas do tego, że widzimy tylko te rzeczy, które chcemy widzieć. Tak długo, aż zaprzeczanie rzeczywistości stanie się już dłużej niemożliwe. A wtedy jest już najczęściej za późno.

– Günther postarał się dla mnie o broń. Z nabojami ćwiczebnymi. Urządziłem to tak, aby Lynn zobaczyła, jak chowam pistolet do szafki nocnej.

– Nie mówisz poważnie.

Milan skinął w milczeniu głową.

– Nie miałem pewności. Musiałem wystawić ją na pokusę.

– I dlatego nie zginęła. Broń nie była naładowana prawdziwą amunicją.

Milanowi wprost pękało serce, gdy patrzył, jak Andra nawet teraz próbuje widzieć w jego postępowaniu samo dobro. Jak bardzo miłość może zaślepiać.

– Przeciwnie. Broń tak naprawdę była naładowana. Wiesz co, mogłem poprosić Günthera, aby włożył do pistoletu całkowicie bezużyteczną amunicję hukową, ale chciałem...

*...żeby odniosła rany. Nie tak straszne, aby od nich zginęła, ale na tyle poważne, aby położyły się cieniem na całym jej życiu. Tak bardzo na nią wpłynęły, aby już nigdy nie była w stanie zaszkodzić żadnemu innemu człowiekowi, bo zawsze będzie musiała wyęźać wszystkie swoje siły, aby kompensować ubytek, który będzie znacznie większy i bardziej decydujący niż jej pociąg do czynienia zła.*

*Żeby minus i minus dały w końcu plus.*

Wszystkiego tego Milan nie wypowiedział na głos, bo czym innym było myśleć o tych wszystkich straszliwych prawdach, a zupełnie czym innym było dzielić się nimi z ludźmi, których się kochało. Mimo wszystko.

Powiedział więc tylko:

– Chciałem, by stała się taka jak ja.

– Nie rozumiem – powiedziała Andra ze łzami w oczach. – Jesteś cudownym, troskliwym, dobrym, serdecznym człowiekiem.

– Nie, wcale taki nie jestem. – *Mój ojciec miał rację. Przez cały ten czas.*

– Spójrz tylko na mnie. Poznałaś mnie jako oszusta, osobę skłoną do przemocy, kogoś, kto ukrywa zwłoki i torturuje ludzi. I muszę przyznać, że coś na tym zyskałem. – Obejrzał się wstecz na wierzbę płaczącą i grób rodziny Lamperta, ale nikogo już przy nim nie było. Hulk i Günther poszli już sobie. – Żaden normalny człowiek nie zdecydowałby się na to szaleństwo. Mogłem spojrzeć wtedy w inną stronę albo poinformować policję, ale zdarzyło się dokładnie to, czemu chciał zapobiec Karsov. Skoro tylko moja głowa zrobiła się wolna i nie musiałem już walczyć sam ze sobą, zakorzenione we mnie zło odzyskało należne mu miejsce. Stałem się porywczy, zapalczywy, chciałem bić innych bez żadnego powodu i...

– Przestań! Przestań! – prawie krzyczała Andra. Drżała i szlochała, mówiąc: – Kocham cię, Milan. I nic z tego, co przed chwilą powiedziałaś, tego nie zmieni. – Wtuliła się w jego ramiona. – Kocham cię.

Milan zdjął z jej głowy czapkę, upuścił ją na ziemię i pocałował Andrę w ucho.

– A co, jeśli ci to udowodnię? – wyszeptał.

– Co?

– Że zło istnieje i jest dziedziczne.

– Nie.

Wyrwała się z jego objęć i uderzyła go w klatkę piersiową. Raz i drugi.

– Nie możesz temu zaprzeczyć. Mój dziadek był psychopata, a we mnie są jego geny.

Trzecie uderzenie.

– No i co z tego? Człowiek ma wolną wolę. Może walczyć. Nawet z największymi przeciwnościami. Nawet sam ze sobą. Sam tak wiele razy to udowadniałaś. A może zaakceptowałaś to, że jesteś analfabetą? Nie. Doprowadziło cię to do niesamowitych rezultatów. – Po raz ostatni jej pięść wylądowała na jego klatce piersiowej. Potem obtarła sobie nos rękawem. Już nie płakała, tylko była wykończona. Tak samo jak Milan.

– A co, jeśli zawiodę? Jeśli przegram w walce z samym sobą? – spytał.

– Tak czasem bywa.

Trzy słowa. To jedno zdanie, tak proste i nieskomplikowane, odebrało mu całą energię do działania. Opadł w ramiona Andry, czując jednocześnie, jak zajmują się ogniem wszystkie odniesione w przeszłości rany. Staw barkowy, wybity w zsybie na brudną bieliznę, wielokrotnie złamana czaszka, zablizniona rana postrzałowa w piersi i świeży uraz we wnętrznościach, będący wynikiem gwałtu. Symfonia bólu, która uniemożliwiła mu przesunięcie dłoni choćby o jeden milimetr. Z łopatki Andry w kierunku kieszeni jego spodni, gdzie tkwił list, który w zasadzie chciał jej tu dać.

Na pożegnanie.

Sam wyciągnął go dopiero godzinę temu ze skrzynki na listy. Sfotografował go i przesłał do aplikacji skanującej w swoim telefonie, która mu go odczytała na głos.

Formularz składał się z wielu zdań i mnóstwa obcych słów, ale chodziło w nim przecież tylko o jedno jedyne słowo. Znajdujące się na samym dole. W ostatnim akapicie.

– Kocham cię – powtórzyła Andra chyba już po raz dziesiąty, nie wiedząc, kogo tak naprawdę trzyma w swych ramionach.

A Milan pozwolił jej na to i nie powiedział jej prawdy.

Nie zrobił tego ani na cmentarzu, ani w drodze do samochodu, ani też podczas jazdy do domu, gdzie czekała na nich Louisa. Przed telewizorem zamiast odrabiać lekcje.

Potem siedzieli razem przy kolacji i rozmawiali o szkole i planach wakacyjnych, a także o nowym kursie dla dorosłych, opierającym się na całkowicie nowym koncepcie wspierania analfabetów. Milan kiwał głową, śmiał się i próbował wmówić samemu sobie, że im się uda.

I podczas gdy świece na stole wypalały się powoli, a wieczór przechodził w noc, Milan podjął decyzję.

Przeprosił na chwilę, zostawił kobiety na sofie i wyszedł do toalety. Tu podarł na kawałki list, który chciał dziś po południu na cmentarzu wręczyć Andrzejowi, i spuścił zawartą w nim prawdę wraz z wodą do berlińskiej sieci kanalizacyjnej.

*Pozytywny.*

Wysłał dwie próbki. Włos swój i Lynn, który jeszcze przed Gwiazdką skradł z jej szczotki do włosów.

*Wynik testu: pozytywny.*

Nigdy sobie nie wyobrażał, że to słowo może w jego życiu mieć tak bardzo negatywne znaczenie.

*Ojcostwo potwierdzone z prawdopodobieństwem 98,7 procent.*

Gdyby miał się zakładać, że było inaczej, jego szanse byłyby na takim samym poziomie jak wtedy, gdyby od samego włożenia członka można było zajść w ciążę.

Umył ręce i spojrzął do lustra na swoją zmęczoną, wychudzoną twarz. Myśląc o tym, że miał już w życiu znacznie mniejsze szanse niż 1,3 procent, wrócił do pokoju, pogłaskał Andrę po włosach, uśmiechnął się do niej i do Louisy. Zachowywał się tak, jakby byli czymś w rodzaju rodziny.

Jakby rzeczywiście mieli szansę.

# Tło i podziękowanie

**N**ie prowadzę żadnych statystyk, ale najczęściej stawianym mi pytaniem jest z pewnością to, ile czasu poświęcam na wyszukiwanie informacji. (Pojawia się ono zaraz po pytaniu, czy sam też jestem stuknięty i jak w ogóle moja żona może koło mnie spać w nocy. Na tę ostatnią kwestię w zasadzie należy odpowiedzieć „jak dziecko”. Wobec faktu, że ostatnio w naszej łazience stał kanister sztucznej krwi, której Sandra potrzebowała do wykończenia swojego „stroju” na koncert rockowy, *to ja* byłem chyba tą osobą, która powinna czekać przed zaśnięciem z otwartymi oczami, aż oddech dobiegający z drugiej połowy łóżka powoli stanie się regularny... ale jeszcze bardziej odbiegam od tematu).

Zbieranie informacji (przynajmniej w moim wypadku) nie przebiega zgodnie z jakimś standardowym schematem. W rzeczywistości doszedłem do przekonania, że główna część kwerendy na dany temat odbywa się wtedy, gdy wyruszam w drogę w zasadzie w całkowicie innej misji. Na przykład zostałem kiedyś zaproszony przez mojego przyjaciela i kata fitness Karla-Heinza Raschkego na galę bokserską, gdzie jego syn Leroy (którego trenuje Karl) brał udział w profesjonalnej walce. Ze względu na moje dobre kontakty z trenerem dostałem miejsce w pierwszym rzędzie i usiadłem tam obok mocno wytatuowanych młodych mężczyzn. Ponieważ tak jak każdy autor jestem niezmiernie ciekawski, zapytałem ich, co ich przygnało tu, do Poczdamskiej Hali Bokserskiej, i jak zarabiają na życie. Rozbawieni spojrzeli po sobie i wymruczeli: „Tatuażami i tego typu rzeczami”. Natychmiast przestawiłem się na tryb zbierania informacji i zacząłem się dopytywać: „Słyszałem, że nie jest tak prosto otworzyć studio tatuażu, a jeśli już, to w Berlinie trzeba płacić bardzo duży haracz za ochronę. Wy też

jesteście do tego zmuszani?”. Spojrzeli na mnie zupełnie tak, jakbym ich zapytał, czy słyszeli o najnowszym trendzie w tatuażach o nazwie zdirowata dziara. I zaprzeczyli, zgodnie kręcąc głowami.

W przerwie między dwiema walkami spotkałem mojego kumpla Frutiego (żywy pierwowzór Diesla z *Makabrycznej gry* i *Pasażera 23*), który klepnął mnie w plecy i się odezwał: „No to cię posadzili między właściwymi gośćmi w pierwszym rzędzie!”. Gdy zapytałem go, co ma na myśli, odparł: „Nie poznałeś ich po tatuażach? To są Hells Angels”.

Pomyślałem sobie wtedy: O kurde, naprawdę zapytałeś członków gangu Hells Angels, czym się zawodowo zajmują? I czy sami płacą za ochronę?

Dokąd zmierzam: myślałem, że pójdę na galę bokerską, aby zapoznać się ze środowiskiem zawodowych bokserów, a tymczasem wróciłem do domu z kontaktem do subkultury gangów motocyklowych, bo jeden z tych facetów był tak rozbawiony piszącym książkę durniem, że dał mi swoją wizytówkę na wypadek, gdybym potrzebował informacji o tym środowisku. Lub zdirowatej dziary na dupie.

Podobnie rzecz się miała podczas Targów Książki we Frankfurcie w 2017 roku. Zakładałem, że spotkam tam moich kolegów po piórze i ludzi z wydawnictw, a przede wszystkim Was, Czytelniczki i Czytelnicy. W ogóle nie liczyłem się z tym, że wejdę w kontakt z ludźmi, którzy nie potrafią czytać ani pisać, i to na ich własnym stoisku stowarzyszenia samopomocowego Alfa-Selbsthilfe. Analfabeci na targach książki? To, co początkowo brzmiało jak czysta sprzeczność, okazało się doświadczeniem, które w dosłownym tego słowa znaczeniu otworzyło mi oczy.

Według najnowszych badań w Niemczech żyje ponad 6,2 miliona analfabetów funkcjonalnych. (To większa grupa od tej, która choć raz w tygodniu bierze do ręki książkę!) Dorosłych, których umiejętności czytania i pisania nie są na tyle wykształcone, aby mogli oni brać udział w życiu społecznym i zawodowym w taki sam sposób, jak jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Choćby dlatego, że nie potrafią odcyfrować wskazówek umieszczonych na biletomatach, zrozumieć formularza w urzędzie meldunkowym czy odszyfrować karty dań w restauracji. Nie mówiąc już o ulotkach dołączanych od opakowań, instrukcjach obsługi, artykułach



gazetowych, czasopismach, książkach, listach, wpisach w internecie czy postach w sieciach społecznościowych. My, potrafiący czytać, niemal nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie trudności, jakie przedstawia dla tych ludzi nasz świat pisma.

Trudności, które większość z dotkniętych tym problemem pokonuje dzięki nadzwyczaj kreatywnym strategiom, ponieważ mimo wszystko 62,3% analfabetów pracuje zawodowo.

Metody, których chwytą się Milan w *Prezencie*, aby móc wykonywać pracę kelnera i przy tym nie wpaść, są oparte na prawdziwych relacjach analfabetów.

Przy czym muszę w tym miejscu podkreślić, że ciężka forma analfabetyzmu występująca u Milana – a więc kompletna aleksja – jest wyjątkiem. Tylko bardzo niewielu dotkniętych tym problemem jest tak jak on całkowicie niezdolnych przeczytać choćby jednego zdania. Jednak dla większości z nich nawet ten jeden akapit to wyzwanie przekraczające ich siły.

Podobnie jak Milan żyją oni w ciągłym wstydzie i strachu, że wpadną i zostaną uznani za stukniętych, głupich, chorych lub nic niewartych. Przy tym analfabetyzm nie jest chorobą, nie ma jednej przyczyny i w żadnym przypadku nie jest dowodem braku inteligencji.

Tim-Thilo Fellmer jest tego najlepszym dowodem. Tak jak wielu innych w czasach szkolnych był traktowany po macoszemu. Przeciężeni opiekunowie, zbyt duże klasy, niedobór nauczycieli. Jeśli zaległości w domu rodzinnym i w szkole podstawowej zostaną zbyt późno wyeliminowane, nie da się tego nadrobić w trakcie późniejszej nauki. Po jedenastu latach uczęszczania do szkoły Tim-Thilo otrzymał wprawdzie świadectwo końcowe, nie umiał jednak dobrze czytać ani pisać. Dzisiaj, po długim okresie cierpień, udało mu się niemałym wysiłkiem nadrobić zaległości. Stał się w tym czasie autorem, a nawet wydawcą. I w tej ostatniej funkcji spotkałem tego godnego podziwu człowieka, którego droga życia brzmi jak bajka z Hollywood, podczas Targów Książki we Frankfurcie, gdzie jako osoba dawniej dotknięta tym problemem starał się zwrócić uwagę na kwestię analfabetyzmu w Niemczech.

Od razu uświadomiłem sobie trzy rzeczy. Po pierwsze, analfabeta

idealnie nadaje się na głównego protagonistę powieści. Spotkałem mało tak bohaterskich osób jak te przy stoisku organizacji Alfa-Selbsthilfe. Dawnych i obecnych analfabetów, którzy wspinają się na szczyty swych intelektualnych możliwości, aby tylko utrzymać się w świecie ludzi czytających. Po drugie, chciałem jakoś wesprzeć społeczną pracę ich sojuszniczek i sojuszników i jestem bardzo rad, że tymczasem mogłem zostać patronem organizacji Alfa-Selbsthilfe, która zajmuje się między innymi aktywnym wspieraniem swoich podopiecznych, a także upominaniem się o ich prawo do kształcenia oraz o dostęp do szkoleń. A po trzecie... eee, zapomniałem.

Jeśli zainteresował was ten temat, chcecie dowiedzieć się czegoś więcej lub pragniecie wesprzeć pracę tego stowarzyszenia, więcej informacji oraz numer konta znajdziecie na mojej stronie internetowej [www.sebastianfitzek.de](http://www.sebastianfitzek.de).

I w ten sposób doszliśmy do starej dobrej tradycji podziękowań, w których to tradycyjnie pragnę pokłonić moją poznaczoną zakolami głowę przede wszystkim przed Wami. W charakterze przedstawiciela wszystkich moich Czytelniczek i Czytelników chciałbym raz jeszcze wspomnieć Tim-Thilo Fellmera, który przeczytał wstępną wersję manuskryptu. Książka ta znacznie zyskała dzięki jego uwagom, wpływającym z jego własnego doświadczenia jako byłego analfabety. To piękne, żeśmy się poznali, Tim, i że udało mi się dzięki błędom ortograficznym w moich mailach wywołać uśmiech na twój twarzy.

Na tym jednak tym razem koniec z tradycyjnymi podziękowaniami. *Prezent* to dla mnie szczególna książka, gdyż przedstawia ona mój ukochany świat liter z całkiem odmiennej perspektywy. Czyż nie nasuwa się zatem pomysł, aby dalszą część podziękowań sporządzić w duchu tego thrillera? A więc w postaci zaszyfrowanej i możliwej do odczytania tylko z wielkim trudem? Ale mimo wszystko w porządku alfabetycznym!

Zatem życzę zabawy z poniższymi hieroglifami<sup>13</sup>.

R1A1W2L2A4W4L4-5W2L1W8L3

R1A1W1L1W6L4A4W4L5W8L1A5W1L5W2L1 W12L3W18L3

R3A1W9L3-4W1L1W4L2

R3A3W1L1W9L1A4W2L3A3W5L5-

6R4A1W4L7W7L11W40L2W6L2-3

R2A5W7L2-3A6W7L1A1W1L1-2  
R2A6W4L1A7W19L6A6W10L1A10W1L3  
R25A4W3L1-2A2W12L3A4W1L2A7W1L4A14W1L3A2W9L3  
R26A1W6L2A6W1A1W2L3W7L1A7W1L1A3W3L4A6W2L2  
R28A2W44L1-2A1W6L2A2W16A4W5L3A1W12L3  
R28A2W8L4A4W2L2A4W14A1W9L2A10W2L1  
R68A1W1L5A3W7L1A2W2L4A1W3L8A4W2L3A1W8L5A8W3L1  
R68A2W21L1A1W18A3W2L3A3W6A2W8L5A3W1L3  
R67A1W3L1A1W9L2A2W2L1A3W7L5A8W4L1A3W1L1  
R67A6W1L1A7W1L2A1W7L3A5W1L5A9W1L3A1W3L2  
R55A5W1L1A3W1L2A1W6L4A1W1L2A2W6L2A1W9L7A1W4L5  
R56A3W5L1A3W22L3-4A1W3L5A4W7L6A4W1L3  
R18A2W33L1-2A1W6L2W7L6A2W19A3W5L5A1W1L4  
R18A6W8L1A2W13L1-2A1W20L1-  
2A3W3L1A2W2L2A4W2L5A5W7L1  
R70A1W7L1-3A3W6L4A34W1L4A4W1L4A2W2L3  
R71A2W17L7A1W6L4W1L1A3W1L4A5W1L3W2L5A6W1L1A2W2L1-  
2  
R46A3W2L4-5A2W2L3W21L8-9  
R47A4W21L2A1W5L5A3W1L4A2W5L1W4L5-  
6A5W10L5A2W2L4A4W1L2W7L3-4  
R74A1W9L3A2W2L5-6W1L3A3W6L1W5L1 R74A1W24L1W22L2-  
3W18L2A10W3L3-4A9W5L1-2W7L3A10W7L1W10L1A12W16L2-3  
R53A1W4L2W10L1W12L1A2W4L3A4W3L8W2L4-5  
R53A6W12L1A7W11L5-6W6L1A1W5L1A3W3L4-5A6W3L1  
R52A5W1L1-2A3W6L1A1W10L4-5 R52A1W26L5-  
6A4W1L4A3W3L3W6L4  
R44A2W12L7W2L4W5L5W3L1A3W3L1W6L2W8L1 R44A6W16L2-4  
R45A1W1L3W6L6W13L2W15L3A2W1L8W6L5A3W1L2W6L2W14L1  
R23A7W6L1-3A2W34L2W16L5-6A1W1L5W2L4-5  
R23A2W2L2W11L4W20L3A5W3L2W8L3  
R55A1W2L4W4L7W8L3 R55A3W2L1W3L3W14L2W18L5  
R56A2W1L3A3W1L2A4W7L5-6W10L2 R56A3W23L1-  
2A4W7L6W10L1

R40A1W11L3-4W14L4W23A2W3L7 R40A3W4L1A1W3L4-5A2W7L12W3L7A1W1L4-5

R18A1W1L1W9L12W6L4W17L1 R18A1W24L2A2W8L2W2L4-5

R18A2W13L2W9L4W10L1W23L9W5L2A1W7L4A2W1L2

R63A1W1L1-2W11L2A2W6L3A1W12L2W6L1

R63A2W14L1W4L2A1W4L2W6L3A3W3L4

R21A3W1L1-2A2W5L4W10L3A1W3L3-4A3W4L4A2W1L4-5

R21A5W1L4W4L10A4W5L5W9L4A5W7L1

R19A1W1L7A3W13L4-5A5W7L4-5W18L7W2L5

R19A7W3L1W8L4A5W7L5A7W4L6-7

R7A3W2A4W1L3A1W6L7A2W10L6W12L1 R7A2W1L1-2W14L1-2W18L6W2L3-5

R4A5W14L1-2W11L6-7A1W6L9-10

R4A1W4L4W7L14W17L1W13L5A5W4L2W7L6A2W3L3

R2A3W2W4L1W8L1A6W7L2-3W15L4A2W1L2

R2A4W6L1A3W4L2A6W10L4-6A4W1L2W5L8-9-  
-R2A7W2L3W7L1W8L3R73A2W39L1

R75A4W21L1A1W10L5W4L2-3A2W1L2

R75A3W2L1W9L1W11L2R74A6W1L1A10W7L1R75A1W19L7-8W21L1-2A3W2L5W12L8W7L3-4

R19A10W2L3-4A11W23L1A9W6L1W10L7A3W9 R19A11W21L3-4A8W3L3A11W2L3-4

R39A1W6L2-3W1L1W9L1A2W2L4A1W4L3-4 R39A1W16L2-3A2W2L2W19L5-6A1W14L3W17L5

R66A2W7L7A1W1L1A2W2L7W5L6A1W7L7 R66A2W1L6-7W12L1A4W2L4-5W12L1-2

R73A2W34L3A3W4L4-5W7L1W11

R73A2W39L1A1W2L2A15W2L6A1W6L3-4 R73A2W7L8W8L2-3A1W9L2A1W1L3-4

R32A1W1L1W6L4W17L1-3 R32A5W3L1-2W13L1-2

R59A1W9K1W4L5A2W26L1-2A2W3L6 R59A1W8L1-2A2W1L2A1W5L1W14L4

R60A2W1L2W4L1A3W3L6A1W3L4-5 R60A2W8L1W17L1-2W11L2-3W2L1A4W1L1

R64A1W4L1W8L7-8A2W1L1W6L1W21L3-4 R64A2W30L1A3W4L5-6W8L2W13L3W12W2L1A4W2L2-3

R11A1W4L1W7L1W15L6A2W2L1A4W13L4-5A5W2L4

R11A2W7L1-2A4W3L4W13L9W8L3A6W2L4W6L5-6A7W2L2

R8A1W7L3-4W12L3W1L3A2W4L1W12L11

R75A1W6W13L5W17L1.R74A1W2L2W9L2-3W24L1W1W7L3A4W3L4A1W14L6-7 Q R1A2W4L2

A1W2L2A2W7L1W15L1A4W4L4-5R2A6W10L1-2A7W2L5-6W4L7-8W10L1A1W3L1-2A5W1L3

R4A2W17L6-7A4W1L7-8A1W17L6-7R5A3W20L2-4A1W4L1A6W6L3-4R6A4W19L1-2R7A1W5L2-3

A4W1L5R10A9W9L3-4R11A1W2L1.R13A4W9L3-4

R10A1W1L1-2A4W1L4-5A5W2L4W4L4A8W5L3

R10A4W3L1A5W3L6W4L4A2W5L5A8W2L1A9W5L2A8W11L3-4

R6A1W2L4W8L4A2W1L1W11W16L1W26L4

R5A3W2L1A2W1L2A3W5L2-3A4W4L3-4W6L2A3W10L6

R31A4W15L4W7L3W4L2A2W3L3-4A3W3L2 R31A5W4L1A6W8L7-8A6W10L7W12L1A4W24L5-6

R16A1W12L2W14L3W6L1W51L1-3

R16A1W1L1W8L1W3L1A2W7L1-2W8L3-4

I to, jak sądzę, byłoby tyle. Jeśli kogoś pominąłem, to i tak wszystko jedno. Jaki szalenciec zadałby sobie tyle trudu, żeby przedrzeć się przez tę plątaninę liter i cyfr tylko po to, by sprawdzić, czy rzeczywiście tam występuje? Najważniejsze i dlatego otwartym tekstem: Oczywiście dziękuję wszystkim księgarcom i księgarzom, bibliotekarkom i bibliotekarzom oraz pracownikom i pracownikom wszystkich instytucji, którzy podczas targów, festiwali i odczytów starają się o to, aby ludzie nawiązywali kontakt z tym najpiękniejszym medium świata.

Do ponownego spotkania, także poprzez e-mail:

[fitzek@sebastianfitzek.de](mailto:fitzek@sebastianfitzek.de)

Wasz Sebastian Fitzek

Berlin, początek maja, przy temperaturze 4 stopni Celsjusza.

(Jak to dobrze, że zmieniłem wczoraj opony).

- 1) Szkoła dla uczniów klas 5–9, która nie kończy się maturą i pozwala na podjęcie nauki zawodu (wszystkie przypisy od tłumacza). ↵
- 2) Budowa portu lotniczego Berlin-Brandenburg im Willy’ego Brandta (kod BER) rozpoczęła się w 2006 r. i miała być zakończona w 2012 r. Po wielu skandalach i wielokrotnym przekładaniu terminu lotnisko ma być oddane do użytku jesienią 2020 r. ↵
- 3) Duży, luksusowy dom towarowy w Berlinie. ↵
- 4) Osobą urodzoną i wychowaną w Niemieckiej Republice Demokratycznej. ↵
- 5) Niemiecki aktor filmowy (1938–2016), znany m.in. z roli komisarza Schimanskiego w serialu *Tatort*. ↵
- 6) Największy szpital Berlina, a zarazem jeden z największych szpitali klinicznych w Europie. ↵
- 7) Kolumna stojąca pośrodku parku Tiergarten, upamiętniająca zwycięstwo Prus nad Danią w 1864 r. ↵
- 8) Po niemiecku dosłownie: koniec. ↵
- 9) W oryg. trudna do przetłumaczenia gra słów Läubich – Läufig „goniąca się, mająca cieczkę”. ↵
- 10) W miejscowości Prora na wschodzie Rugii w czasach Hitlera rozpoczęto budowę nigdy nieukończonego największego ośrodka wypoczynkowego na świecie, pozwalającego na przyjęcie 20 000 gości. ↵
- 11) Siły zbrojne Niemieckiej Republiki Demokratycznej. ↵
- 12) Znany aforyzm Franza Grillparzera, oparty na nieprzetłumaczalnej na język polski grze słów: *Eifersucht ist eine Leidenschaft, die mit Eifer sucht, was Leiden schafft*. ↵
- 13) Kodowanie zrobione jest na podstawie wersji książkowej (przyp. wyd.). ↵